

Sczytanie: Natalia Kłobukowska, Joanna Mentelis
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1917 (maj-lipiec)
Mateusz Rzymski
(Michał Römer)
17 maja rok 1917
Zegrze
Kadra I pułku piechoty wojska polskiego
I baon I kompania VI kapralstwo
Tom XXI

17 maja, rok 1917, czwartek

Wbrew zwyczajowi piszę dziennik nie tylko z opóźnieniem toku wypadków, co mi się nieraz zdarzało, ale bez notowania wcale kroniki bieżących dni, które jednak są każdy z osobna ciekawe. Zrobię to na końcu w streszczeniu, gdy wyczerpię cały tok tego przesilenia, przez które przeszliśmy i przeszliśmy, niestety, z bardzo smutnym doświadczeniem i pod bardzo smutnymi perspektywami. Wracam do toku referowanej w dniach poprzednich sprawy i cofam się do czwartku 10 maja, kiedy to w naszej radzie żołnierskiej stanęliśmy na rozdrożu wobec bardzo trudnej sytuacji. Postanowiliśmy w zarządzie poinformować o sytuacji i o zajętych przez nas wobec uchwały oficerskiej stanowisku radę żołnierską. Na razie, ponieważ jeszcze chodziło nie o samą decyzję, jeno o poinformowanie i przygotowanie terenu do przyszłej, choć bliskiej, decyzji, postanowiliśmy się ograniczyć do kół baonowych, nie zwołując zebrania pułkowego ani też plenum rady. Zagłoba zrobił to w II baonie, Pączek – w III-cim, ja – w I-szym. Zebranie naszego koła baonowego odbyło się w komplecie; obecni byli na nim: ja jako członek zarządu z ramienia baonu, dalej z I kompanii Nosarzewski, z II-giej – sierżant Figler, Malinowski i kapral Zieliński (przez pseudonim Longin, wciągnięty świeżo do rady), z III kompanii sierżant Dymidas i kapral Ślęzak (niedawno wciągnięty do rady; był już obecny na ostatnim ogólnym zebraniu rady, z IV kompanii – Angerstein (również nowy członek rady). Zebraniu przewodniczył Figler. Zreferowałem sytuację; zebranie udzieliło całkowitej aprobaty zarządowi. Tegoż dnia we czwartek rozeszła się wieść o zarządzonej przez Niemców poborze rekruta do tworzonego wojska polskiego. Pogłoskę o tym słyszałem jeszcze w wigilię, ale we czwartek mówiono już o tym jako o fakcie; potwierdził to Dreszer. Rzekomo Beseler zarządził pobór całego rocznika 1916 roku i termin poboru wyznaczył na 16 maja, Rada zaś Stanu natychmiast zaprotestowała, oczywiście, jak zawsze, papierowo. Wieść ta poruszyła nas bardzo. Pomimo bardzo żywej zawsze tęsknoty legionistów do poboru rekrutów jako najsilniejszej podstawy armii narodowej, której idea ożywia zawsze Legiony, nie cieszą się z tego tym razem, bo rozumiano, że to, co obecnie usiłują tworzyć Niemcy, to zmierza nie do narodowej armii i że wzięty rekrut mógłby w tych warunkach stać się w ręku niemieckim atutem do przeforsowania w drodze faktu dokonanego ich zamiarów. Specjalnie zaś dla nas w radzie żołnierskiej bliski termin tego poboru zmuszał nas do tym większej gotowości do jak najszybszej decyzji i wykonania tego, co postanowimy, by udaremnić zwycięstwo niemieckie w tej grze o wojsko polskie między nami a nimi. Na papierowe „protesty” słabiutkiej Rady Stanu liczyć sprawa polska nie mogła. Sprawa ta woła coraz bardziej o czyn, taki, jakim był czyn 6 sierpnia. A któż od Legionów może być lepszym tego czynu rzecznikiem i wykonawcą? Pod tym wszak znakiem powstała i żyła nasza rada żołnierska.

Przechodzę do dnia następnego, piątku 11 maja. Rano tego dnia zarząd rady żołnierskiej w osobach Zagłoby-Kamińskiego, Pączka i mnie, udał się do kapitana Dreszera, by go powiadomić o zajętych przez nas wobec uchwały oficerskiej stanowisku. U Dreszera zastaliśmy kapitana Piskora, należącego również do organizacji oficerskiej. Oświadczyliśmy Dreszerowi, że rada żołnierska przyjmuje do wiadomości odroczenie dalszych konsekwencji wszczętej akcji, ale merytorycznie nie uważa się związaną przez uchwałę oficerską, określającą warunki, na których oficerowie uważaliby za możliwe dla siebie pozostanie i pracę w obozach ćwiczebnych, zastrzegając pod tym względem wolną rękę dla samodzielnego powzięcia decyzji. Zaznaczyliśmy, że sprawa ta nie jest jeszcze u nas przesądzoną i że w samym zarządzie naszym wnioski są na razie różne, radykalniejsze w III baonie, umiarkowańsze w naszym I baonie. Dreszer i Piskor wysłuchali naszych oświadczeń dość sztywnie. Odniosłem wrażenie, że Dreszer w stanowisku naszym wyczuł pewną nieufność nie tylko do oficerów (bo do ich większości zresztą sam, zdaje się, nie żywi wielkiego zaufania), ale bodaj i do niego samego. Mógł to przypuszczać z tego, że jego to głównie dziełem była cała ta uchwała oficerska i że on, a nie kto inny ciągle dotąd z nami konferował i uzasadniał przesłanki i kierunek akcji oficerskiej, sterowanej przezeń. Dotąd byliśmy z nim w ciągłym najlepszym kontakcie, doskonałym porozumieniu i dochodziliśmy zawsze do zupełnie zgodnych pojęć rzeczy, wypadków i sposobów działania. To nasze oświadczenie było pierwszą rysą jakby rozdziewku w tym naszym współpracowniczym stosunku, pierwszym rozejściem się naszych dróg. Dreszer uzasadniał nam znowu słuszność drogi uchwały oficerskiej, zastrzegając, że nie wierzy w spełnienie „zobowiązań” Berbeckiego. Dreszer zaznaczał, że trudno było z góry potraktować „zobowiązania” Berbeckiego z niewiarą, bo to by było po prostu policzkiem, więc należało „zobowiązania” te terminowo przyjąć, tak, jak się traktuje układ, licząc na to, że niespełnienie ich da tym większą siłę dla konsekwencji, które stąd zostaną wyciągnięte, tym bardziej jeszcze, że sam Berbecki dla większego ugruntowania wiary w swe obietnice wyraził się w ten sposób, że gdyby były jakiegokolwiek rozkazy Komendy Legionów, przeciwne tym zobowiązaniom, to oficerowie mieliby pełną podstawę do niesłuchania tychże. Wyszliśmy od Dreszera bez wielkiego skutku. Rzecz pozostała w zawieszeniu. W zawieszeniu też pozostała ewentualność nastania rychłej chwili, kiedy drogi konsekwencji oficerów i naszej konsekwencji rozejdą się kategorycznie w dwóch różnych kierunkach. W rezultacie tej wizyty wyczuło się pewne oziębienie w naszym tak miłym i pełnym dotąd ufności stosunku z Dreszerem. Tegoż dnia, w piątek, dowiedzieliśmy się, że pogłoska o poborze rekruta rocznika 1916 roku była nieścisła. Chodziło nie o pobór rekruta, lecz o powołanie na dzień 16 maja tych ochotników, którzy się po 5 listopada zapisali w biurach werbunkowych do wojska polskiego.

18 maja, rok 1917, piątek

Dnie 11 i 12 maja upłynęły bez wybitniejszych wydarzeń w naszej akcji. Poza piątkową rozmową z Dreszerem nic w tych dniach nie mam do zanotowania, chyba tylko to, że w nastroju naszych kół oficerskich zaznaczył się bardzo wybitnie prąd do złagodzenia sytuacji i stępienia kryzysu. Oficerowie zaczęli ujawniać niechęć do jakiegokolwiek jaskrawego tonu, forsować prąd do uspokojenia umysłów i przystosowania się do istniejącego stanu w Zegrzu. Kierownictwo tej akcji ujął Scaevola, który bardzo energicznie zaczął się koło tego krzątać. Poszczególni oficerowie zaczęli wchodzić w rozmowy z żołnierzami, zwłaszcza z tymi, o których przypuszczali, że są wpływowi, przekonywać ich, perswadować itd., by tą drogą zasiać zwątpienie do rozpoczętej akcji i pozyskać na rzecz swoich nastrojów oraz przemycić je do masy żołnierskiej. Scaevola

zaś, czując nosem, że na dzień akcji żołnierskiej jest jakieś jądro organizacyjne, usiłował dobrać się do niego, by tam swe wpływy, rozkładowe dla naszej akcji, zaszczerpić. Zwąchał nieźle, bo natrafił w swym szukaniu na Pączka, którego znał od dawna; zaczął go wzywać do siebie i prowadzić z nim długie konferencje, nakłaniając do oportunizmu; faktem jest jednak, że natrafił właśnie na najradykalniejszego z rady żołnierskiej i zarządu i nic perswazją z nim wskórać nie zdołał. W tej akcji oficerowie powoływali się na najsilniejszy argument dla naszych żołnierzy – na autorytet woli Piłsudskiego, który, podług ich słów, skarcił z oburzeniem „wyrwanie się” pułku I i zalecił metodę powolnego oczekiwania, zachowując ewentualny moment wystąpienia do chwili przysięgi, gdy wszystkie pułki solidarnie wystąpią z postawą, pełną silnego protestu. Jakie było w tej sprawie stanowisko Piłsudskiego – bardzo trudno dociec. Oficerowie, ze Scaevolą na czele twierdzili o bardzo niechętnym, jeżeli nie wrogim stanowisku Piłsudskiego wobec przedsięwziętej przez nas akcji; w swoich usiłowaniach „uspokojenia” żołnierzy powoływali się na relację Piskora ze słów Komendanta. Natomiast Dreszer twierdził nam wręcz co innego, kategorycznie zaznaczając, że Piłsudski całkowicie zaakceptował nasze wystąpienie z góry i sam udzielił odpowiednich dyrektyw. I jako na świadka Dreszer powoływał się na tegoż kapitana Piskora, co jednak sprawdzać uznaliśmy za niestosowne ze względu na lojalność wobec Dreszera. W niektórych kompaniach oficerowie nasi zarządzili nawet publiczne i urzędowe „uspokajanie” żołnierzy w powyższym duchu przez sierżantów-szefów na zbiórce, co u nas także było zrobione przez sierżanta Krzymowskiego (komendantem kompanii jest u nas porucznik Barwiński-Hertz, człowiek skądinąd bardzo miły i taktowny, rodzony brat mego dobrego znajomego, bajkopisarza i dziennikarza Benedykta Hertza). Dla nas ten nastrój oficerów pogłębiał niebezpieczeństwo i trudność sytuacji. Czuliśmy, że oficerowie już się chwieją, jeszcze przed doczekaniem się spełnienia owych sławetnych „zobowiązań” Berbeckiego, od których ukazania się w formie rozkazu Komendy Legionów uzależnili swoją ostateczną decyzję, i że będą szukali okazji, aby całą sprawę utopić, choćby nawet wbrew własnej uchwale. Stwarzało to wobec nas coraz większe prawdopodobieństwo tego, że zostaniemy osamotnieni i że chcąc wytrwać na stanowisku naszej formuły raportu, które uważaliśmy za stanowisko obowiązku i sumienia, będziemy musieli iść przeciwko naszym oficerom. Na razie wszakże żadnych nowych faktów nie było. Jakem wspominał przed kilku dniami, rada żołnierska kadry I pułku w Zegrzu wyłoniła osobną komisję prasową do objęcia w „Rządzie i Wojsku” działu „Żołnierz Polski”. Komisja ta w osobach Pączka z III baonu, Marka z II baonu i mnie – rozpoczęła czynności. Ponieważ z redakcji „Rządu i Wojska” proszono nas nie tylko o artykuły do tego działu, ale także o krótkie, treściwe notatki informacyjne o faktach, zwłaszcza charakteryzujących jakieś gwałty lub metody działania Niemców itp., dla wydawnictwa tzw. „Rejestru” (wydawnictwo to ma być właśnie rejestrem faktów, a więc dokumentem protokołującym), więc wzięliśmy i to na siebie, polecając tę robotę Markowi. Ja w piątek 11 maja napisałem dłuższy artykuł zasadniczy pod tytułem „Noblesse oblige” dla działu „Żołnierz Polski”. W artykule tym nakreśliłem obowiązki, ciężące na Legionach z tytułu ich idei, przeszłości i uznania oraz zaznaczyłem, jakim powinien i może być ten obowiązek w zastosowaniu do obecnej chwili w Polsce, gdy się waga dwie metody tworzenia sprawy polskiej, metoda niemiecka niewolna (tworzenie Polski *à la suite* interesu niemieckiego) i metoda wolnej Polski. Artykuł udał mi się dobrze. Do tego Zagłoba napisał jędrną korespondencję z Zegrza o sytuacji tutaj i o naszej akcji, Marek zaś dość słaby, bo ogólnikowy artykułik na temat legionistów austriackich poddanych. Marek zebrał także kilka notatek do „Rejestru”, dość drobnych zresztą. Wszystkie te rzeczy odczytaliśmy w sobotę 12 maja na zebraniu komisji prasowej i po

zakwalifikowaniu ich względnie po dokonaniu poprawek, posłaliśmy do Warszawy przez Zagłobę, jadącego tam w niedzielę. Tegoż dnia w sobotę rozeszła się wieść o tym, że wreszcie nadszedł ów oczekiwany sfinks, rozkaz Komendy Legionów. Z wieścią tą łączyły się głuche pogłoski, że rozkaz jest bardzo miękki i bynajmniej nie zawiera jakichś kategorycznych „zobowiązań”, jak tego żądali nasi oficerowie. W sobotę 12 maja wieczorem pojechałem do Pomiechówka w gościnę do pułku, by odwiedzić przyjaciół i jednocześnie porozumieć się z pułkową radą żołnierską. Natychmiast po moim przyjeździe Heller i Wąsowicz zwołali na dzień następny rano plenarne posiedzenie rady żołnierskiej. Wszyscy koledzy w Pomiechówku z ciekawością dopytywali się u mnie, co słyhać u nas w Zegrzu. Ogólnie się też uwydatniał nastrój bardzo radykalny, gotowy do najdalej idących wniosków i konsekwencji czynnych. W niedzielę 13 maja od samego rana zaczęli się ludzie schodzić na radę żołnierską. Stawili się wszyscy członkowie rady ze wszystkich kompanii I i III baonów w Pomiechówku prócz przedstawiciela kompanii karabinów maszynowych, następnie grono członków rady z II baonu z Modlina, reprezentujących wszystkie, z wyjątkiem jednej, kompanie tegoż baonu, oraz przedstawiciel oddziału telefonicznego pułku. Zarząd modlińsko-pomiechowskiej rady żołnierskiej I pułku, obecny, oczywiście, w komplecie, składa się teraz z Hellera z I baonu, Lewickiego z II baonu i Mieleckiego z III baonu (ten sam Mielecki, który miał wejść do rady i zarządu poprzednio, lecz został potem zakwestionowany przez nas i zostawiony na uboczu). O tym posiedzeniu rady w Pomiechówku, które się odbywało w izdebce podoficerskiej Mieleckiego, zreferuję obszerniej jutro.

19 maja, rok 1917, sobota

Niedziela 13 maja. Ten dzień pamiętny w Pomiechówku referować będę dzisiaj. Posiedzenie rady żołnierskiej trwało od godz. 9 rano do godz. 6 wieczór z przerwą obiadową – posiedzenie niezwykle długie na stosunki obrad żołnierskich. Nastrój był radykalny, ton przemówień gorący. Ku końcowi głównego toku obrad w zasadniczej sprawie decyzji były momenty uroczyste i wzniosłe, pełne siły postanowień i głębi wiary. Przewodniczył zebraniu Heller. Lewicki zaczął od odczytania bieżących poufnych informacyjnych komunikatów CKN-u, dostarczanych obecnie stale radzie z Warszawy oraz tego tyle oczekiwanego rozkazu Komendy Legionów. Rozkaz ten w swym brzmieniu okazał się bardzo dalekim od tego, co zawierały „zobowiązania” Berbeckiego. Nie mówię już o tym, że nie spełnił się elementarny warunek – ratyfikacja tego rozkazu przez Beselerowski „Abteilung für polnische Wehrmacht”. Najbardziej, a bodaj jedyny, zasadniczy punkt obiecanych „wyjaśnień” Berbeckiego – o przysiedze – został całkowicie pominięty w rozkazie. Ale nawet te drobne poszczególne warunczki zostały w rozkazie Komendy Legionów albo tylko ogólnikowo i bardzo połowicznie dotknięte, albo zgola opuszczone. Wszystko zaś zostało rozwodnione patetycznym łązawym nawoływaniem do „wytrwania” oraz okraszone honorowym zastrzeżeniem, że Komenda Legionów nie brała żadnego udziału w układaniu projektów budowy kadry wojska polskiego, jak gdyby ta kwestia miała jakieś większe znaczenie dla decyzji o poddaniu się lub niepoddaniu przedsięwzięciu niemieckiemu. Zdawałoby się, że jeżeli tak, to raczej przemawiałoby to na rzecz większego oporu, podczas gdy pocziwa kunktatorska Komenda zdaje się używać tego właśnie za argument wytrwania. No, różne są logiki: inna jest logika czynu, inna – bezwładu, który się ubiera w szaty wytrwania i śmie nazywać się „aktywizmem”. Na ogół ten rozkaz Komendy Legionów to ubóstwo i niedołęstwo słabizny. Niewart byłby on słówka wzmianki, gdyby nie to, że przypadkowo wypadła mu duża, omalże nie centralna rola w danym momencie naszej akcji i że charakterystycznym faktem jest, iż dość było takiego rozkazu, aby oficerowie

nasi mogli znaleźć sobie pretekst do odstąpienia od swej akcji. Ale dość tego. Przechodzę do rzeczy ważniejszej i ciekawszej – do toku obrad zebrania w Pomiechówku. Zreferowałem szeroko naszą sytuację. Przedstawiłem, wobec jakich perspektyw stajemy i jak trudna stoi przed nami decyzja. Przedstawia się ona w formie dylematu: albo zrzec się konsekwencji naszej formuły raportu, co by się równało zaprzeczeniu nie tylko logice, lecz sumieniu i świadomości obowiązku także, albo okazać się w sprzeczności z naszymi oficerami i iść na akcję przeciwko nim. Zarysowywał się już bowiem coraz bardziej fakt takiego dylematu. Trzecia alternatywa ta, żeby nasi oficerowie wytrwali konsekwentnie na gruncie swej uchwały i wyciągnęli z niej konsekwencje dalszej akcji, coraz bardziej, wobec ujawniających się manifestacyjnie nastrojów oficerskich, traciła na prawdopodobieństwie. Rozkaz Komendy Legionów, tak śmiesznie bezbarwny i jałowy, nie tylko że nie polepszał, ale pogarszał perspektywy, bo tym większą zaiste wobec niego byłaby kompromitacja cofnięcia się do bezwładu. Gdy na zebraniu zaczęto tę sytuację po mojej relacji rozważać i omawiać, zdając sobie sprawę z trudności położenia, Wąsowicz rzucił projekt wymaszerowania całej naszej kadry I pułku z Zegrza do Modlina i Pomiechówka, bez oglądania się na Niemców, to znaczy, po prostu, zamiast papierowej i formalistycznej akcji jakichś protestów, raportów, podań itd., które działają na zwłokę i dają Niemcom możliwość robienia dalej tego, o co im chodzi i wytwarzania bądź co bądź faktów dokonanych, samym dokonać faktu: powrotu do pułku i niedania Niemcom użycia nas za narzędzie ich spekulacji. Projekt i przemówienie Wąsowicza nie trafiły w tej postaci do przekonania zebranych, ale usposobiły ich umysły do orientowania się w kierunku wytwarzania faktów dokonanych. Psychologicznie projekt Wąsowicza zrodził ten nastrój i tę decyzję, która następnie została przyjęta. Lewicki rzucił myśl, wprowadzić na razie nie w postaci konkretnego projektu, wymarszu jednocześnie kadry I i III pułków z Zegrza i I pułku z Modlina i Pomiechówka ni mniej ni więcej jak na... Warszawę i obwołania tam przez wojsko (pułk I, obie kadry i konsystujący w Warszawie pułk III) Rządu Narodowego! W tym wrzeniu, jakie jest teraz w Warszawie i w Polsce całej, taki akt czynu wojska zostałby gorąco poparty czynnie przez P.O.W. i przez ogarnięte fermentem tłumy, dla których postawienie sprawy polskiej na rewolucyjnym, antyniemieckim wolnym gruncie byłoby iskrą zapału i wielkiej popularności ruchu. Myśl swoją Lewicki rzucił tylko szkicowo, jako balon próbny, dla wysondowania myśli zebranych. Okazało się jednak, że myśl zebranych była zupełnie do takich koncepcji czynnych dojrzała i jak tylko natrafiła na coś skonkretyzowanego, zaraz się w to łóżysko wlała. Wszyscy mówcy pochwycili myśl Lewickiego, która wyrażała w formie konkretnej, ich własną niewyrażoną, a może przez niektórych nawet nieuświadomioną ideę. Lewicki wypowiedział to słowo, do którego tęskniono, ale nie śmiano jeszcze wyrzec, bojąc się jego przedwczesności i braku gotowości u innych. W myśli tej wszyscy mówcy znaleźli swój wyraz, a ona w nich – glebę. Myśl samorzutnie została w przemówieniach przetworzona we wniosek, nad którego zbadaniem i wykonalnością toczyły się całe dalsze obrady. Zdawano sobie w zupełności sprawę z tego, że mieści się w niej, jak w każdym projekcie czynu, pierwiastek ryzyka. Nie wiadomo, czy marsz na Warszawę się uda, czy Niemcy będą usiłovali stawiać opór czynny, doprowadzając do ewentualnego krwi rozlewu i wielkiego skandalu, jaką postawę przyjmą ewentualnie nasi własni oficerowie, jak się wreszcie zachowa pułk III, stojący w Warszawie, od którego będzie dużo zależało, czy rzecz się przedstawi mocną i poważną czy nie. Co do samego marszu na Warszawę jako takiego, to wykonanie jego zbyt trudnym zapewne by nie było. Wymarsz mógłby się ewentualnie dokonać nawet w postaci marszu ćwiczebnego, ewentualnie w nocy; wojsko jest wojskiem, a więc organizacją karną; zarządzenie alarmu czy zbiórki jest w każdej chwili możliwe. Gdyby

oficerowie daliby się wszyscy nakłonić, obeszłoby się nawet bez wtajemniczania z góry żołnierzy; gdyby nie – wystarczyłoby garść zdecydowanych oficerów i wszelki sprzeciw lub zdradę udaremniłoby się przez ewentualne aresztowanie opornych. Odległość od Warszawy niewielka; można byłoby dojść ewentualnie niepostrzeżenie dla Niemców, druty telefoniczne i telegraficzne przeciąć, wybrać drogi marszu po dokładnym zbadaniu rozlokowania garnizonów i arsenałów niemieckich w okolicy.

20 maja, rok 1917, niedziela

W ciągłości mego sprawozdania wracam do niedzieli 13 maja, do zebrania rady żołnierskiej I pułku piechoty w Pomiechówku, ściślej – do obrad nad wnioskiem Lewickiego – marszu na Warszawę. Szanse powodzenia samego marszu zdawały się nam rzeczą ważniejszą od szans dokonania drugiej części zadania już w samej Warszawie. Wiedząc, w jak trudnym położeniu politycznym są Niemcy, nie przypuszczaliśmy zbyt, aby dopuścili do wielkiego skandalu w Warszawie. Gdyby zdecydowali się na stawienie radykalnych przeszkód w naszym przedsięwzięciu, to raczej po drodze naszego marszu, niż w samej Warszawie. Gdybyśmy już weszli do Warszawy i obwołali Rząd Narodowy, poparci przez zmobilizowany lud Warszawy, Niemcy zmuszeni by zapewne zostali do „*faire bonne mine au mauvais jeu*”; wypadłoby im albo użyć na nas i na Warszawie gwałtu i stłumić nasz czyn, jak się tłumi powstanie, tracąc naraz wszystkie swe polityczne w sprawie polskie atuty, albo ustosunkować się do faktu dokonanego i stanąć na jego gruncie; jest dużo szans prawdopodobieństwa, że zdecydowałiby się na to ostatnie. A gdyby nawet wybrali pierwsze, to choćby nasz czyn był krwawo stłumiony i choćbyśmy osobiście ucierpieli, dla sprawy polskiej byłoby to aktem wyzwolenia, lepszym w skutkach od tej pseudopaństwowości, wytwarzanej przez Niemców *à la suite* ich interesu. Gorzej byłoby, gdyby nasze przedsięwzięcie spaliło na panewce w ten sposób, że Niemcy nie dopuściliby nas do Warszawy. To jednak niemożliwym bynajmniej się nie wydawało. Chodziłoby tylko o dobry wybór dróg i chwili wymarszu, o ściśle poinformowanie się o rozlokowaniu oddziałów niemieckich i arsenałów, w czym dużą pomoc mogłaby nam okazać P.O.W., wreszcie o utrzymanie konspiracji, aby się rzecz nie wygadała przed czasem. Nastroj naszych żołnierzy, zarówno w kadrze, jak w samym I pułku, jest tak mocny, że gdyby po wymarszu z Modlina i Zegrza wiara się dowiedziała, dokąd maszeruje i po co, byłby w niej z pewnością wyrósł taki zapal, jaki się da porównać chyba z dniem 6 sierpnia roku 1914, dniem wymarszu strzelców Piłsudskiego z Krakowa. Wiara by dostała skrzydeł i marsz na Warszawę przekształciłby się w lot. Z tej strony, z wewnątrz naszych szeregów żołnierskich, nie mieliśmy się o co niepokoić. Rozważano też na obradach inne względy, takie jak wzgląd na pozyskanie dla tej akcji oficerów i wzgląd na to, że przedsięwzięcie to byłoby tylko dziełem dwóch pułków, nie zaś całych Legionów. I jeden, i drugi wzgląd nie odstraszyły nas. Dla takiej akcji, jak podania o przeniesienie z kadry do pułku lub o zwolnienie z Legionów, akcji manifestacyjnej, akcji protestu, niezbędna jest powszechność udziału oficerów. Jeżeli manifestuje tylko część, większość zaś jest gotowa do ugody i jarzma, to wartość manifestacji się zatraci. Ten wzgląd na większość był właśnie tym, który krępował radykalny odłam naszych oficerów i zmuszał ich do połowiczności wbrew ich własnemu przekonaniu. Inaczej się rzecz ma, gdy chodzi o czyn. Tu wystarcza zupełnie mniejszość, byle była zupełnie zdecydowana i ważyła się na czyn. Tak samo co do pułków legionowych; wystarczy, żeby inicjatywę podjęło parę pułków; jeżeli pierwsze kroki będą dobrze obmyślane i uwieńczone powodzeniem, to i reszta oficerów, ociągających się na razie wobec ryzyka, pójdzie za nami, i wszystkie inne pułki Legionów połączą się z nami, i cały naród stanie po naszej stronie. Wszystkie

przewroty, dokonywane przez spiski wojskowe, w ten sposób się dokonały; stu kilkudziesięciu podchorążych napadło w nocy listopadowej na Zamek Belwederski; w przewrocie tureckim roku 1909, w obecnej rewolucji rosyjskiej brała inicjatywę przewrotu garść pułków w stolicy kraju, kierowana przez część zaledwie oficerów. Tchórzy spośród oficerów, karierowiczów lub takich, co chcieli pozostać wiernymi istniejącemu stanowi rzeczy albo się w takich razach wymordowało (trudny los!), albo gdzieś pouciekali i poukrywali się, albo wreszcie sami, znęcani powodzeniem, zrobili akces do ruchu. Tak było w roku 1830 w Polsce, tak w roku 1909 w Turcji, w 1917 w Rosji itd. Wystarczyłoby nam kilku morowych oficerów z Dreszerem w Zegrzu na czele. Przeszkody więc nie wydawały się niezwyciężalne, ryzyko co do wykonania i powodzenia – ponad wszelką możliwość. Natomiast do najważniejszych rzeczy, od których na zebraniu uzależniano ostateczną decyzję czynu, zaliczano słusznie porozumienie z czynnikami politycznymi w Warszawie oraz upewnienie się co do solidarnej z nami postawy III pułku w Warszawie. Trudno przyjść do Warszawy dla proklamowania rządu, gdy nie ma zapewnionych tych, co się zgodzą do proklamowanego rządu wejść. Klęską też całej sprawy byłoby to, gdyby stojący w Warszawie pułk III nie stanął po naszej stronie, ewentualnie wbrew swym oficerom, lub choćby tylko pozostał w roli biernego widza. Dlatego też uchwałę rady żołnierskiej w Pomiechówku o marszu na Warszawę zaopatrzone zastrzeżeniem, że ma się to dokonać „po zaistnieniu warunków politycznych i militarnych po temu”. Zadecydowanie o tym złożono w ręce zarządu rady, któremu udzielono takich samych nadzwyczajnych pełnomocnictw (do prawa rozkazywania włącznie), jakie zostały udzielone u nas zarządowi w Zegrzu. Polecono też zarządowi natychmiast i to nazajutrz jeszcze udać się wraz z zarządem rady w Zegrzu do Piłsudskiego do Warszawy, aby mu całą sytuację naszą i nasz projekt czynu przedstawić. Postanowiono też rozesłać emisariuszy do innych pułków dla szybszego nawiązania łączności organizacyjnej. Wniosek o marszu na Warszawę został uchwalony w Pomiechówku jednogłośnie. Licząc się z tym, że w głosowaniu jawnym niektórzy mogą głosować za wnioskiem wbrew przekonaniu, nie decydując się na sprzeciwienie radykalnemu nastrojowi poprzednich mówców, na propozycję Wąsowicza zarządzono tajne głosowanie kartkami, stwierdzającymi lakonicznie „tak” lub „nie”. Głosowało 15 ludzi. Wszystkie bez wyjątku kartki dały odpowiedź „tak”. Uchwała zapadła. Nastrój był podniosły, jaki bywa w chwilach wielkich postanowień, rodzących Czyn! Czuliśmy wszyscy, że stanęliśmy na szczycie tego, co było tylko gotowością i że przed sobą mamy już – tworzenie faktów. Mieliśmy świadomość, że wstępujemy na drogę dziadów belwederczyków i że sprawa, którą wyrażaliśmy dotąd, tak się w kołowaciźnie polityczne w Warszawie zagmatwała, że ją podźwignąć i wskrzesić jej moc może tylko czyn, który oto spełnić mamy.

21 maja, rok 1917, poniedziałek

Na zebraniu rady żołnierskiej I pułku piechoty w Pomiechówku w niedzielę 13 maja postanowiono, aby zaraz nazajutrz w poniedziałek zarząd modlińsko-pomiechowski pojechał do Zegrza i ewentualnie tegoż dnia stamtąd wraz z zarządem zegrzańskim wybrał się do Warszawy dla przedstawienia Piłsudskiemu uchwały marszu na Warszawę i omówienia z odpowiednimi czynnikami planu wykonania. Po powrocie z Pomiechówka zdałem natychmiast sprawę z całego posiedzenia Pączkowi i Zagłobie-Kamińskiemu. Nie potrzebuję dodawać, że wieść o uchwale marszu na Warszawę wywołała u nich szczerą radość i zapał. Ponieważ nazajutrz, w poniedziałek 14 maja, spodziewaliśmy się zaraz po południu przyjazdu członków zarządu rady żołnierskiej z Modlina i Pomiechówka – Hellera, Lewickiego i Mieleckiego, aby o godz. 3 i pół wyjechać z nimi kolejką podjazdową do Warszawy, więc musieliśmy się śpieszyć.

Zależało nam na tym, aby się poprzednio zobaczyć z Dreszerem i dowiedzieć, jak też przez oficerów został przyjęty rozkaz Komendy Legionów, oraz aby zwołać poprzednio zebranie naszej rady żołnierskiej dla przedstawienia jej uchwały pomiechowskiej. Czasu mieliśmy mało, bo rano mieliśmy zwykłe ćwiczenia. Do Dreszera poszliśmy we trójkę. Od Zagłoby, który w niedzielę był w Warszawie, dowiedzieliśmy się, że koła, najbliższe Piłsudskiego, usiłują zlewać nasz pęd radykalny zimną wodą i o wszczętej przez nas akcji mówią z pewnym przekazem niechętnym, uważając ją co najwyżej za manifestację, ale nie za coś więcej. Skądinąd dowiedzieliśmy się w Zegrzu przez oficerów, że Piłsudski, u którego na posłuchaniu była w sobotę czy niedzielę delegacja oficerska, potępia przejawskrawienie naszej akcji i oddziaływa w kierunku niewyciągania z niej radykalnych wniosków, co bardzo skwapliwie kolportują w Zegrzu nasi oficerowie, znajdując w tym stanowisku Piłsudskiego wygodny parawan dla swego oportunizmu. Wszystko to razem dawało nam już z góry pewność, że oficerowie ustaną w akcji i z własnej uchwały środowowej konsekwencji nie wyciągną, zadowolając się rozkazem Komendy Legionów. Nie traciliśmy jednak rezonu i nadziei, że stanowisko Piłsudskiego będzie innym, gdy my mu przedstawimy już nie tylko sprawę jakiejś tam akcji, papierowej, jakichś podań o zwolnienie z Legionów czy tam przeniesienie do pułku, słowem czegoś, co tchnie tylko protestem lub oporem biernym, ale konkretny projekt czynu, za którego wykonanie przyjmujemy odpowiedzialność z przekonaniem o posiadaniu i siły środków po temu. Znając Piłsudskiego jako człowieka, którego nade wszystko cechuje poczucie czynu, stanowiące całą wielkość jego, budowaliśmy na tym naszą wiarę w porozumienie z nim. Poszliśmy do Dreszera. Potwierdził on nam w zupełności całkowity upadek akcji, wszczętej we środę i sformułowanej w uchwale oficerskiej. Uważał, iż stała się rzecz zła, że do Piłsudskiego zwracali się różni oficerowie i to ostatnio tacy, którzy sami przekonania do tej akcji nie mieli. Stanowisko Piłsudskiego uważał Dreszer nie tylko za błędne, ale też za sprzeczne z tymi zleceniami, których udzielił Piłsudskie przed kilku dniami Dreszerowi i Piskorowi, gdy ci u niego byli. Dreszer bowiem przeczy stanowczo temu, jakoby wszczęta przez nich i przez nas akcja w czymkolwiek przekroczyła pierwotne instrukcje Piłsudskiego. O rozkazie Komendy Legionów Dreszer miał naturalnie sąd taki, na jaki on zasługiwał. Dreszer miał całą świadomość tego, że urwanie akcji po takim rozkazie Komendy Legionów i wobec własnej uchwały oficerów ze środy jest kompromitacją i skandalem, który nas ogromnie wobec Niemców osłabia, tym bardziej, że Niemcy, korzystając z czasu, gdy my się kompromitujemy, niezmiennie metodycznie robią swoje i stwarzają fakty dokonane: oto już w najbliższych dniach wydają nam nowe mundury kroju pruskiego, a 16-go, to znaczy za dwa dni, rozpoczynają pobór rekrutów, którzy się wpisali na ochotników do wojska polskiego. Ten ostatni fakt zwłaszcza stwarza wobec nas pozycję niezmiennie trudną i odpowiedzialną. Faktem jest, że Niemcy poboru dokonają i rekruta wezmą. Lekarze legionowi, którzy otrzymali wezwanie do komisji asenterunkowych do poboru rekruta, wprawdzie zgłosili swoją dymisję, ale z Komendy Legionów zapowiedziano im, że dymisję otrzymają, lecz tylko po spełnieniu rozkazu o asenterunku. I ostatecznie na asenterunek pojechali. Stanie się więc fakt, że asenterunek do skutku dojdzie, pobór się odbędzie, rekruci w najbliższych dniach do Zegrza przyjadą, zostaną wcieleni do kadry i my ich ćwiczyć będziemy. A jeżeli do tego dojdzie, jeżeli to dopuścimy, to staniemy się współnikami spekulacji niemieckiej. I gdybyśmy nawet potem z Legionów wystąpili, gdybyśmy nawet w momencie ewentualnej przysięgi, jak chce Piłsudski, odmówili jej złożenia, to nie zmienimy istoty rzeczy; Niemcy nas ewentualnie wtedy sami chętnie zwolnią, a będą za to mieli wyćwiczonych przez nas rekrutów, którzy zapełnią to utworzone przez nich wojsko polskie. My, pomimo naszego późniejszego protestu i nawet wystąpienia, staniemy się

pośrednikami między Niemcami a rekrutami, to znaczy w gruncie narzędziem niemieckiego przedsięwzięcia. Tak pojmował sprawę Dreszer i z tym miał we czwartek jechać do Piłsudskiego. Po wysłuchaniu tych oświadczeń Dreszera, wyrażonych tonem głębokiego przekonania, odpowiedziałem mu ja, że przesłanki jego są bez zarzutu i że odpowiadają całkowicie naszym założeniom, lecz że brakuje w myślach Dreszera jednej, bodaj najważniejszej rzeczy – z przesłanek tych jakiegokolwiek wniosku. I wtedy bez poprzedniego porozumienia się z kolegami Zagłobą i Pączkiem, ale w ich obecności i bez ich protestu, zastrzegając zupełną poufność, a by o tym tylko sam Dreszer osobiście wiedział, dopowiedziałem mu nasz wniosek z uchwały pomiechowskiej i marszu na Warszawę. Dreszerowi myśl ta, pełna energii czynnej, podobiała się bardzo i sprawiła nań wrażenie. Oczywiście, wszystko to, co do ostatecznego ustalenia pozostawało w zawieszeniu do naszego porozumienia z Piłsudskim.

22 maja, rok 1917, wtorek

Z kolei posuwam się dalej, docierając do samego kryzysu naszej akcji zegrzańskiej. W poniedziałek 14 maja, przed wyjazdem do Warszawy, prócz bytności u Dreszera, zwołaliśmy jeszcze zebranie pułkowe rady żołnierskiej, złożone, zgodnie z zasadami naszej organizacji, z delegatów kół batalionowych. Zebranie to odbyło się znowu w tej samej pustej umywalni II baonu, gdzieśmy odbywali nasze pierwsze zebranie rady w Zegrzu. Na zebraniu było sześciu delegatów kół baonowych (z I baonu delegatami byli Figler i Malinowski), trzech członków zarządu (Zagłoba, Pączek i ja), czterech pospolitych członków rady żołnierskiej zaproszonych przez nas na własną rękę (z I baonu był w ich liczbie Dymidas) i z dwóch przedstawicieli pułku III w osobach sierżanta Niemiry-Radomskiego i jeszcze jakiegoś sierżanta, przyprowadzonego przez Niemirę. Przedstawiciele III pułku zaprosiliśmy na nasze zebranie tak ze względu na doniosłość sprawy i ewentualnej decyzji, która miała zapaść, jak jeszcze bardziej ze względu na tę szczególnie ważną rolę, która by wypadła na pułk III, gdyby nasz projekt marszu na Warszawę miał dojść do skutku. Zebraniu przewodniczył Sztrauch z II baonu. Ja zreferowałem na wstępie tok obrad i uchwałę, zapadłą wigilią tego dnia na zebraniu rady w Pomiechówku. Omówiłem obszernie całą perspektywę przedsięwzięcia. Rzecz ta sprawiła głębokie wrażenie na obecnych. Przedstawiciele III pułku wprawdzie podnosili trudności pozyskania III pułku, a zwłaszcza jego masy liniowej, stojącej załogą w Warszawie, jednak uważali rzecz za wykonalną, byle tylko wykonanie było dobrze ustalone z czynnikami politycznymi w Warszawie. Kolega Radomskiego, sierżant III pułku, który stawił się na nasze zebranie w eleganckim mundurku z szabelką u boku, jak się przychodzi z uroczystą wizytą do kogoś, był, zdaje się, nie mniej od nas przejęty naszymi zamiarami. Jako żołnierz III pułku, był on nowicjuszem w sferze tego rodzaju ruchów. Wciągnął go do tego Radomski, który w III pułku organizuje radę żołnierską, taką samą, jakie istnieją w innych pułkach. Był on po raz pierwszy na naszym zebraniu w środowisku I pułku i atmosfera woli czynu musiała mu zaimponować. Imponowała mu również świetna rola historyczna, wypadająca ewentualnie pułkowi III w wykonaniu naszego projektu. Pułk III, dotąd najbardziej ze wszystkich pułków legionowych bezbarwny i pozbawiony zasług w ruchu niepodległościowym i w sferze idei, poza jedyną, pierwszorzędną zresztą zasługą dzielnych walk karpackich i wołyńskich, mógł oto od razu, gdyby przedsięwzięcie nasze się spełniło, okryć się wielką historyczną sławą wyzwolenia Polski z więzów, najciężej ją dziś krępujących. Pułk III wskrzeszający, wraz z piłsudczykami pułku I-go świetną tradycję czynu Belwederczyków z nocy listopadowej – to zaiste rzecz, która zdolna jest olśnić umysły i serca żołnierzy tego pułku. Wszyscy, którzy przemawiali na

zebraniu poniedziałkowym, akceptowali z gorącym uznaniem i zapalem projekt pomiechowski. Nie oponował i nie wniósł zastrzeżeń zasadniczych nikt. Z góry zresztą zostało ustalone zastrzeżenie, że projekt ten uzależnia się od ścisłego porozumienia z czynnikami politycznymi w Warszawie i zwłaszcza z Piłsudskim oraz od dokładnego omówienia technicznych szczegółów wykonania. Ponieważ jednak, jak to zwykle na zebraniach, szczególnie żołnierskich, bywa, nie wszyscy zabierali głos i wypowiadali się publicznie, więc dla skontrolowania istotnej woli i decyzji zebrania oddano sprawę pod tajne głosowanie kartkami, jak to zrobiono w Pomiechówku. I tu rezultat wypadł całkowicie zgodnie z pomiechowskim. Kartek podano tyleż, ile w Pomiechówku, 15, i wszystkie jednomyślnie brzmiały: tak! Gdy uchwała zapadła, uznano, na wniosek Niemiry-Radomskiego, że nadzwyczajne pełnomocnictwa, udzielone poprzednio zarządowi, są już dla tej skali czynu niewystarczające i wybrano specjalną komendę z trzech osób, której zadaniem jest wykonanie całego zamiaru. Do komendy tej, obdarzonej władzą bezwzględną, wydelegowano Niemirę-Radomskiego jako przedstawiciela III pułku, z kadry zaś I pułku większością głosów – mnie i Pączka (Pączek, Figler i Zagłoba otrzymali równą ilość głosów. O wyborze zaś między nimi zadecydowało starszeństwo rangi). Oczywiście, że akcja nasza i III pułku musiała być jak najzupełniej skoordynowana, organizacyjnie zaś – stopiona.

Tegoż dnia w poniedziałek pojechałem do Warszawy do Piłsudskiego. Heller, Lewicki i Mielecki spóźnili się i przyjechali dopiero koło godz. 5 do Zegrza. Zaraz też Pączek, Zagłoba i ja pojechalśmy wraz z nimi ich furą do Jabłonny, stamtąd zaś pociągiem wieczornym do Warszawy. Lewicki miał z Modlina przepustkę służbową dla nas wszystkich. W Zegrzu zaś w kadrze porucznik Barwiński, komendant naszej kompanii, został przez Dreszera o moim wyjeździe uprzedzony (formalnie z Zegrza przepustki mieć nie mogłem, bo przepustki udzielane są u nas tylko przez komendę baonu, będącą w rękach niemieckich). Niemira-Radomski pojechał do Warszawy wcześniejszym pociągiem. Zastaliśmy go już w Warszawie. Dowiedział się już, że Piłsudski wieczorem będzie w domu, w swoim mieszkaniu przy ul. Służewskiej, dokąd możemy się wprost do niego udać. Gdybyśmy się nie zaopatrzyli w przepustkę służbową z Modlina, nie moglibyśmy, jak się okazało, dostać w Warszawie z dworca kolejowego na miasto. Akurat bowiem wtedy, z powodu ciągłych wypadków udziału legionistów w różnych zajściach ulicznych między tłumem a patrolami niemieckimi, wydany został kategoryczny zakaz wjazdu legionistów do Warszawy w sprawach pozasłużbowych i zamknięte i przerwane wszelkie do Warszawy urlopy. Zakaz ten dotyczy w równej mierze żołnierzy i oficerów. Sam przez się jest on dla Legionów policzkiem i zamknięcie wojsku polskiemu dostępu do stolicy jest rzeczą co najmniej braku taktu i aktem zlekceważenia. Zresztą pozycja Niemców jest trudna. Warszawa wre i burzy się, zamieszki na ulicach są ciągłe; mają one charakter bezplanowy i chaotyczny, ale są znamienne; w Warszawie kipi odruch; legionisci z natury rzeczy współczują i bratają się z wyrazami tego odruchu.

23 maja, rok 1917, środa

Dziś znowu cofam się do tego poniedziałku 14 maja, dnia naszej wizyty u Piłsudskiego, dnia, w którym, niestety, załamała się nasza akcja, tak świetnie w naszych zamierzeniach rozkwitła.

Przyszliśmy do Piłsudskiego w siedmii: ja, Zagłoba-Kamiński, Pączek, Heller, Lewicki, Mielecki i Niemira-Radomski. Piłsudski, który przypadkowo otworzył nam drzwi, przyjął nas od razu z pewną rezerwą, dał nam do zrozumienia, że przybywanie doń delegacji żołnierskiej jest rzeczą co najmniej nieostrożną, jeżeli nie niewłaściwą. W toku też rozmowy później, zaznaczył już zupełnie wyraźnie, że mu jest dogodniej i

łatwiej porozumiewać się z oficerami, niż bezpośrednio z żołnierzami, co miało być przez nas przyjęte za wskazówkę, że Piłsudski, ten popularny bohater i kochanek masy żołnierskiej, uchylić się chce od obcowania z nią i postawić między nią a sobą ścianę oficerską. Moim zdaniem, wielki to błąd Piłsudskiego. Punkt ciężkości jednak nie na tym polegał. W dłuższym przemówieniu wyłożyłem Piłsudskiemu cel naszego przyjazdu i zwrócenia się do niego, sytuację, w jakiejśmy się znaleźli w obozie ćwiczebnym w Zegrzu, genezę naszej akcji i wreszcie ostatnią uchwałę rad żołnierskich w Pomiechówku-Modlinie i Zegrzu. Przedstawiłem wartość czynu, który pragnęlibyśmy dokonać. Następnie Radomski uzupełnił moje słowa relacją o stopniu gotowości pułku III. Piłsudski nie przerywał. Rozmawialiśmy stojąc. Wreszcie zabrał głos Piłsudski. To, co powiedział, było dla nas gorszym niż kubek zimnej wody, bo nie o to tylko chodzi, że ostudził nasze zamiary na bliższą metę, ale po prostu zwichnął przed nami całą perspektywę jakiegokolwiek czynu Legionów i w ogóle ich wartości dla dźwignięcia sprawy polskiej na tory wolności. Przede wszystkim zaakcentował, że pułk I przez swą akcję podań o zwolnienie z Legionów, względnie o przeniesienie z kadry do pułku wyrwał się przedwcześnie naprzód i przekroczył instrukcje, udzielone przez Piłsudskiego dla obozów ćwiczebnych. Gdy obozy ćwiczebne w Ostrowi i Zambrowie zachowały umiarkowanie w myśl dyrektyw Komendanta, ograniczając się do oporu biernego w zakresie różnych detalicznych zarządzeń niemieckich (szczególnie sprawa języka), kadra pułku I w Zegrzu nawarzyła swym radykalizmem piwa. Nie byłibyśmy zbyt dotknięci, gdyby Piłsudski stwierdził tylko, że chwila dla wystąpienia czynnego nie jest jeszcze stosowna. Ale Piłsudski poszedł dalej. Z tego, co mówił, a jeszcze bardziej z całego tonu, z całej głębi jego pesymizmu, tchnęła zasadnicza niewiara do jakiegokolwiek czynu. Założeniem całej naszej organizacji żołnierskiej we wszystkich pułkach była właśnie idea czynu, który w stosownej chwili zaważy na sprawie polskiej i przecinając śmiałym rzutem labirynt kombinacji politycznych, stworzy fakty dokonane i przechyli szalę w kierunku wolności. W tym założeniu masa żołnierska, której wyrazem była tylko rada, opierała się na wierze w Komendanta Piłsudskiego jako wodza i człowieka czynu, który wprawdzie chwilowo siedzi w Warszawie i Radzie Stanu, pogrążony w dusznej atmosferze beznadziejnych politycznych kombinacji, jednak w istocie gotuje czyn, mając w nas jedno z narzędzi. Toteż załamanie się w Piłsudskim pierwiastka czynu podważało nas od razu w całej budowie naszych dążeń. Co do ewentualnego wystąpienia samych Legionów z aktem protestu, to Piłsudski wskazał nam moment przysięgi jako ten, który będzie najstosowniejszy i zarazem najpożyteczniejszy, bo najlepiej wyczuły i pojęły w społeczeństwie. Jednak, w pojęciu Piłsudskiego, w tym ewentualnym proteście przeciwko przysiędze – wyraziłby się nie czyn, samodzielnie coś w sprawie polskiej wazący, jakiś czyn twórczy, ale tylko akt honorowego zejścia ze sceny Legionów, które by się następnie „rozsypały” (dosłowne wyrażenia Piłsudskiego). Ze słów i tonu Piłsudskiego wyczuliśmy tylko to, że zależy mu na tym, aby te Legiony, okryte sławą i zasługą, które spełniły tak piękne zadania i były dotąd tak szlachetną formą czynu polskiego, nie dały się spaskudzić i wtłoczyć w bagno niewolniczego narzędzia niemieckiego, aby, słowem – z honorem w stosownej chwili zeszły ze sceny. I nic ponadto. Wyczuliśmy, że w pojęciu Komendanta Piłsudskiego, któregośmy dotąd za wodza czynu naszego liczyli, jesteśmy już rzeczą martwą, która z siebie twórczego czynu wydać nie zdoła, podczas gdy my wciąż tą myślą czynu żyjemy. Z honorem się „rozsypać” – oto zadanie, które nam Piłsudski za drogowskaz wytyka. Legionom, które życia pragną, Komendant już określi grobowiec. I to przekonanie, to doświadczenie, wyniesione z rozmowy z Piłsudskim, było dla nas najcięższe. Żadnych żywych zadań on, wódz, nasz Komendant, Piłsudski – Legionom nie nakreśla. W takim razie cóż więc za tragizm! Przestajemy posiadać Komendanta,

straciliśmy wodza, bo wodzem może być tylko ten, co do czynu gotów prowadzić. Ale tracąc wodza, nie tracimy niestety, w naszej masie żołnierskiej legendy o wodzu, „religii” Piłsudskiego. Jest to religia Boga, który umarł. Bo jako wódz – Piłsudski (takie nasze wrażenie) umarł. Może się tylko zachwiał, ale to zachwianie jest już śmierci równe. Mam wrażenie, że wejście Piłsudskiego w politykę jest dlań zgubne. Piłsudski w istocie nie jest politykiem; był on zawsze klasycznym człowiekiem czynu. Wielkość jego na czynie, nie na polityce się zasadzała. Jako umysł polityczny, jako głowa – Piłsudski nigdy nic nadzwyczajnego nie przedstawiał, a za to był genialnym twórcą czynnym i wodzem rewolucyjnych faktów.

24 maja, rok 1917, czwartek

Nie będę streszczał całej naszej rozmowy z Piłsudskim. Nie przekonał on nas bynajmniej i nie odwiódł od myśli, że na Legionach ciąży obowiązek żywego czynu. Z tym, że nasza rola jest już odegrana i skończona, nie mogliśmy się pogodzić, znając ducha, ożywiającego naszych żołnierzy. Że to jest trup lub *moriturus*, którego ostatnim zadaniem – z honorem zejść ze sceny i „rozsypać się” – temu przeczyła nasza świadomość tętniących w żołnierzach uczuć. Piłsudski niewiarę swą do czynu zasadzał zresztą na braku ufności nie do nas, lecz do społeczeństwa polskiego. Na nasze perswazje o gotowości żołnierzy do czynu i o wadze takiego czynnego tworzenia sprawy polskiej w przeciwieństwie do metody spekulacji politycznej i kunktatorstwa, Piłsudski w rozmowie wyraził się raz tak: „Cóż ja wam na to poradzę, że wy macie taką ojczyznę; żeby się mogło stać po myśli Waszej, musielibyście sobie innej ojczyzny poszukać”. Tu jest „*clou*” niewiary Piłsudskiego. Patrząc z bliska na to społeczeństwo w Warszawie, należąc do Rady Stanu, uczestnicząc w niewyczerpanej zwlekaninie politycznej, pełnej skomplikowanych dziwacznie splotów, Piłsudski zaczął tracić wiarę w to, aby żywy czyn mógł dokonać sanacji i coś w tym bagnisku zmienić. Stał się pesymistą czynu, on, tego czynu wyznawca i człowiek. Spekulacja polityczna, do której sam żywi wstręt, zaćmiła mu przejrzystość czynu. Warszawa i polityka wykołajały Piłsudskiego. Mam wrażenie, że pesymizm Piłsudskiego jest bardzo skomplikowanej natury. Nie przestał on kochać czynu, ale zaczął tracić wiarę, żeby czyn mógł w tym bagnisku podołać, toteż zaczął żałować marnowania ukochanej siły na próżno, by ją potem paskudztwo zalało. I jest jeszcze inny głęboki czynnik psychiczny w tej niewierze i pesymizmie Komendanta: historyczny czyn Piłsudskiego z dnia 6 sierpnia roku 1914, czyn, który postawił sprawę polską na porządku dziennym zagadnień tej wojny i był w założeniu samodzielnym wyrazem jej woli, aktem upomnienia się Polski o swoje prawa i wymiaru sprawiedliwości własnym wysiłkiem – czyn ten natrafił na bierność i nawet niechęć własnego społeczeństwa i musiał skarlecć do formy Legionów Polskich w armii obcej. Z samodzielnego czynu polskiego przerodził się on w demonstrację. Lot Polski nie dorósł do lotu Piłsudskiego, który na skutek tego musiał zwinąć skrzydła i obniżyć swój pierwotny królewski, strzelecki lot. To zwichnęło dzieło Komendanta, zakrojone na miarę Fidyusza. Późniejsze doświadczenie, w którym Piłsudski wciąż patrzył na to, jak ludzie, stojący u steru Legionów, nieraz omalże nie najlepsi, jeden za drugim aż do ostatnich czasów – od Sikorskiego począwszy, a na Berbeckim kończąc – uginali się i tracąc związek z przewodnią ideą Komendanta – szli na powolne usługi obcych i za najtańszą cenę sprzedawali wszelkie rozporządzalne atuty, niszcząc plon mozolnie wytworzonych wartości narodowych; doświadczenie to jeszcze bardziej podkopało siłę rozmachu Piłsudskiego. Piłsudski walczył i nie ustawał w rewolucyjnym wytwarzaniu wartości narodowych przeciwko narzucanym z zewnątrz i akceptowanym zbyt tanio wewnątrz pętom obcym. Ale w duszy Piłsudskiego narastać zaczęło zwątpienie i pesymizm czynu. Dopiero teraz, po dwóch i pół latach, ujawniają

się skutki tego załamania się w duszy Piłsudskiego, sprawionego przez wykołajenie dzieła 6 sierpnia i przez całe doświadczenie późniejsze. Na umyśle Piłsudskiego zaciążył strach przed decyzją. Im bliższym staje się moment czynu, tym powolniejszą decyzją Komendanta. Mam wrażenie, że dochodzi do tego, iż w miarę zbliżania się do czynu Piłsudski się od niego cofa; z daleka, z perspektywy pojmując go i widzi, gdy jednak staje wobec niego – ucieka i zapiera się. Takie wrażenie zaparcia się wynieśliśmy wszyscy z rozmowy z Piłsudskim. Umysł jego jest w stanie opresji; w chwili, gdy się ważyć zaczyna decyzja, Piłsudski zamiast wyrastać w energii, chwieje się i ustaje, robiąc wrażenie starca i rozbitka życiowego; zamiast tego orła czynu staje człowiek stary, zgarbiony, człowiek o głosie słabym, złamanym, nie wódz, Piłsudski, lecz zjawia Piłsudskiego: jego postać i rysy, wcale nie jego duch żywy. Wszyscyśmy wyszli od Piłsudskiego nie przekonani bynajmniej, nie uspokojeni, lecz głęboko przynębieni. Wszyscyśmy odnieśli takie same wrażenie, wrażenie niemocy, płynące od Piłsudskiego. Nie to nas smuciło, że projekt nasz został uznany za niewykonalny i odrzucony, ale to, że Piłsudski odebrał nam wszelką perspektywę czynu i żywej twórczej wartości naszej dla sprawy. Wprawdzie żaden z nas, prócz Mieleckiego, nie dał się tym przekonać i nie zwątpił o potrzebie czynu i jego perspektywach ani o wartości dzieła Legionów, ale wiedząc, czym jest Piłsudski dla wojska, zrozumieliśmy, że w naszych warunkach żadne perspektywy czynu bez niego wytwarzane być nie mogą i że o ile on nie pójdzie z nami lub nie wyda rozkazu, my nic nie zrobimy i staniemy się istotnie rzeczą martwą, przeżytkiem szczątkowym formy, która już spełniła swoje zadania i powinna zginąć. Ja przynajmniej tak to zrozumiałem natychmiast po wyjściu od Piłsudskiego i dlatego też czułem się zupełnie wykołajony. Z nas wszystkich jeden tylko Mielecki nie stracił rezonu, ale bo też to najpłytszy ze wszystkich w zarządach obu rad żołnierskich. Piłsudski w rozmowie swej z nami, odbierając nam wszelką perspektywę czynu, zalecał nam jednak utrzymanie organizacji żołnierskiej i dokonanie jak najściślejszego związku między radami żołnierskimi wszystkich pułków. Tego się uczył Mielecki, uważając, że Piłsudski dał nam jednak coś realnego do spełnienia. Ale na Boga – co za sens miałyby te organizacje żołnierskie bez perspektywy czynu i działania w sprawie? Jest w tej instrukcji Piłsudskiego jawna niekonsekwencja. Rady żołnierskie mogą u nas powstawać i powstają tylko pod horoskopami i hasłami gotowania się do czynu. Pozbawić je tych horoskopów i haseł – to niepotrzebnie zachować ich istnienie.

25 maja, rok 1917, piątek

Cofam się więc raz jeszcze do poniedziałku 14 maja, to znaczy dnia naszej rozmowy z Piłsudskim. Jestem prawie o całe dwa tygodnie spóźniony od dnia dzisiejszego, ale mam nadzieję, że już teraz się pośpieszę i szybciej dogonię wypadki, których zresztą w toku tych dni ostatnich nie brakło. Rozmowa z Piłsudskim była punktem kulminacyjnym i zarazem zwrotnym w naszej akcji ostatniego czasu. Nasza akcja żołnierska była podobna do fali, która rosła i potężniała szybko, wpływając z pierwszej, leciutko zaledwie naszkicowanej myśli organizacyjnej w Zambrowie i konsolidując się wreszcie na wielkim projekcie rewolucyjnym – marszu na Warszawę, aż uderzyła o granitową skałę osoby Piłsudskiego, na którego oporze złamała się i rozsypała, zostawiając po sobie tylko pianę nawierzchni żołnierskiego morza. Jakie będą dalsze Legionów losy i czy będzie im sądzone odegrać większą rolę i spełnić zadanie, które instynktem przeczuwają żołnierze, marząc o nim i tęskniąc – tego nie wiem. Bliska przyszłość to zapewne okaże. Ale jeżeli nawet los pozbawi Legiony tej zaszczytnej roli, to niechże dni majowe naszej rady żołnierskiej będą świadectwem, że Legiony, a przynajmniej nasz pułk I wyczuł wagę czynu w przesądzeniu sprawy

polskiej i był zupełnie gotów do spełnienia swego obowiązku, biorąc na swe barki odpowiedzialność dziejową. Mam przekonanie, żeśmy lepiej i ściślej od warszawskich mężów politycznych potrafili ocenić sytuację i postawić diagnozę sprawy, a to, żeśmy nie wykonali zamiaru, to zaszło nie z winy naszej, lecz z braku decyzji wodza. Po rozmowie z Piłsudskim przygnębieni i znużeni, na poły przytomni, przenocowaliśmy w jakiejś niemieckiej żołnierskiej gospodzie noclegowej i nazajutrz rano we wtorek 15 maja, wyjechaliśmy – jedni do Zegrza, drudzy do Modlina i Pomiechówka. W drodze małośmy ze sobą rozmawiali, bośmy byli wszyscy przygnębieni, a zresztą cóż mieliśmy sobie do powiedzenia. Czuliśmy tak, jak żeby w sercu każdego z nas umarł ktoś wielki – umarł Wódz. Tego trupa ciężko nam było nosić w sercu.

U mnie powoli zaczęła kiełkować myśl. Czulem, że stało się coś zbyt poważnego, abym mógł pozostać bierny i nie wyciągając żadnych konsekwencji z tego, co zaszło, pozostać tylko żołnierzem pospolitym i stosując się do dyrektyw Piłsudskiego, trwać bez żadnej idei i wiary, tym bardziej, że to trwanie musiałoby się faktycznie stawać służeniem woli niemieckiej, woli wręcz przeciwnej temu co ja dziś w sferze historycznych powołań sprawy polskiej widzieć pragnę i pojmuję. Sumienie i obowiązek nie pozwalały mi na takie trwanie, które w istocie byłoby działaniem, skierowanym przeciwko mojej wierze i mojemu obowiązkowi. Myśl moja opierała się na przesłankach prostych: albo Legiony mogą spełnić wolnościową funkcję w sprawie, której służą, albo nie mogą: jeżeli, jak to wypływało ze słów Piłsudskiego, nie mogą, to nie mam racji pozostawiania w nich; gdyby nie mogły tej funkcji spełnić, ale też nie grozi im to, że się staną narzędziem na pognębienie jej ideałów, można byłoby w nich trwać, choćby bezcelowo; ale skoro trwanie grozi tym właśnie, to trwać nie wolno i należy się z nich wycofać. Ta myśl zaczęła się krystalizować u mnie; dochodziłem do wniosku, że powinienem się postarać o zwolnienie z Legionów póki czas, by wraz z nimi nie zabrnąć w bagno. Żal mi było wprawdzie, bo się do Legionów przywiązałem i czulem instynktem, że Piłsudski nie ma racji i że w Legionach mieści się olbrzymi królewski skarb zapasu i zdolności czynnych, które mogłyby być zużytkowane dla dzieła wolności, byle się znalazł wódz, co by zdołał te zakłute w nich skarby wydobyć i ująć. Wodzem tym byłby Piłsudski, ale skoro on się załamał, to w pułku I skarb jest zmarnowany. Pułk I bez Piłsudskiego nie pójdzie. Stąd budziła się u mnie alternatywnie druga myśl – przeniesienia się do pułku III. Myśl ta przed dwoma dniami jeszcze wydawałaby mi się dziwaczna, zakrawająca niemal na zdradę sztandaru – tak daleki był dotąd pułk III od obywatelskich ideowych tradycji dawnej I Brygady. Faktem jest jednak, że pułk III mógłby się w pewnych okolicznościach, gdyby istotnie zawiódł Piłsudski, okazać od pułków dawnej I Brygady skuteczniejszym dla spełnienia rewolucyjnych zadań wolnościowych. Pułk III jest bez tradycji; nie ciąży na nim żadne zobowiązania względem osób (jak w pułkach I Brygady względem Piłsudskiego) lub względem własnej przeszłości; nic go pod tym względem nie wiąże i nie krępuje; jest on „*homo novus*”, a dla zadań rewolucji *homo novus* może być nieraz lepszy od człowieka, na którym ciąży zobowiązania moralne. Pułk III, obcując z Warszawą, rewolucjonizuje się w swoich nastrojach i nasiąka tymi samymi prądami, które są w społeczeństwie; będąc wolny i nieskrępowany żadnymi uprzedzeniami lub zobowiązaniami moralnego posłuchu dla kogokolwiek bądź; dałby ewentualnie z łatwością posłuch własnym nastrojom, z nich radykalnie snując konsekwencje, i stać by się mógł rzecznikiem popularnych wolnościowych prądów w narodzie. Budziła się u mnie myśl, że kto wie, czy pułk III nie jest w obecnych warunkach wschodzącą gwiazdą, która przyjmie w wolnościowej służbie sprawy spadek po zmierzchu, ogarniającym pułki dawnej Brygady Piłsudskiego. Zaczynała więc klarować się u mnie

myśl alternatywy: albo zwolnienie z Legionów, albo przeniesienie do pułku III. Wieczorem we wtorek zebraliśmy się na pogadankę i wymianę myśli: ja, Zagłoba, Marek, Sztrauch i Lewicki, który w drodze z Warszawy wstąpił do Zegrza. Wyraziłem im moją opinię. W każdym razie z rady żołnierskiej w Zegrzu postanowiłem wystąpić. Wszyscy na pogadance byli przygnębieni. Zagłoba jeszcze nie decydował się na nic, a to jeden z najtęższych z nas. Marek stawiał rzecz radykalnie w kierunku zwolnienia z Legionów. Lewicki rzucał myśl sforsowania Piłsudskiego samorzutnym czynem Legionów. Moim zdaniem jednak, w I pułku sforsowanie Piłsudskiego czynem, nie liczącym się z jego wolą, byłoby niewykonalne, a nawet poniekąd nieuczciwe wobec specjalnego stosunku, łączącego ten pułk moralnie z Piłsudskim. Ja bym się wzdragał przyłożyć rękę do tego.

26 maja, rok 1917, sobota

Tegoż dnia po powrocie naszym z Warszawy od Piłsudskiego, we wtorek 15 maja, udaliśmy się wieczorem z Niemirą-Radomskim do Dreszera, by się z nim podzielić wrażeniem i wspólnie omówić sytuację, jaka się na skutek rozmowy z Komendantem wytworzyła. Radomski zresztą nie był tak przygnębiony, jak ja. Choć odniósł on zupełnie takie same wrażenie z rozmowy z Piłsudskim, jednak takich pesymistycznych wniosków, jak ja, z tego nie wyciągnął. Wpływała na to z jednej strony mniejsza konsekwentność Radomskiego, niż moja oraz leżąca w jego naturze tendencja przystosowywania się do warunków i okoliczności, z drugiej strony to, że przez sam fakt należenia do pułku III czuł się on wolniejszym wobec Piłsudskiego, niż my w pułku I i mógł sobie od razu, bez krępowania się szczególnymi skrupułami, nakreślić cel – robienie przez wojsko nadal swego, bez oglądania się na Piłsudskiego, owszem – z myślą o sforsowaniu Piłsudskiego i zmuszeniu go do aktywizmu inicjatywą z dołu. W środowisku, w którym działa Radomski, w III pułku, myśl taka jest możliwa do koncepcji, podczas kiedy u nas samo wystawienie jej byłoby omalże nie świętokradztwem – tak dalece nasz żołnierz uznaje w Piłsudskim bez zastrzeżeń wodza. Dreszer, któremuśmy zreferowali naszą rozmowę z Piłsudskim, nie miał nam właściwie nic do powiedzenia dla dodania jakiejś otuchy, zresztą nie po otuchę przyszliśmy do niego. Dreszer sam był przygnębiony tym wszystkim, co się stało. Rozpoczęcie jakiejś akcji, nadanie jej rozpędu i charakteru, oparcie o pewne tezy zasadnicze, zrobienie ruchu, a potem zaniechanie jej wpół drogi, bez otrzymania zadośćuczynienia i bez wyciągnięcia konsekwencji z własnych założeń i postanowień – jest rzeczą demoralizującą i przykrą, rzeczą, która nas tylko osłabia; osłabia nas tak wewnątrz, podważając na przyszłość wiarę w samych siebie i w czyn, jak na zewnątrz, wobec Niemców, którzy w całej tej „akcji” widzą oczywiście błazeńską hecę, wybryk dzieci, trochę niesfornych, ale ostatecznie takich, z którymi można sobie dać radę, byle ich niepotrzebnie nie drażnić, oszczędzać pewne ich uprzedzenia i ambicjki i dalej tworzyć dokonane fakty. I tak też istotnie postępują Niemcy. Gdy my się burzimy, wszczynamy jakieś protesty, jakieś nieskoordynowane ruchy, bawimy się w radykalizm frazesowy i ustajemy w pół drogi, oni – unikając ostrych środków i osobistego drażnienia – metodycznie robią swoje, wytrwale krok za krokiem budują fakty i wyciągają z nich i z naszej niesforności konkretną korzyść dla swych zamierzeń. Ten brak metody i połowiczność, pełna wewnętrznej niekonsekwencji, cechują całą działalność Rady Stanu i całą urzędową politykę polską w stosunku do Austrii i Niemiec, będąc głównym źródłem słabości Polski, która skądinąd ma dla swojej sprawy znakomite warunki obiektywne. Cała bieda w tym, że nie umie z tych warunków korzystać. Teraz ten sam błąd popełnia wojsko, a błąd ten jest największym narzędziem zniewolenia nas przez Niemców. My sami im to narzędzie dajemy. Gdybyśmy nie

dawali, Niemcy nie zdołaliby dokonać swojego. I właśnie to jest najgorsze, że wojsko popełnia te same błędy i używa tych samych metod, co politycy warszawscy w swej nędznej jałowej spekulacji. Wojsku przystoi czyn i postawa prosta. Wojsko do polityki nie jest zgoła zdadne i z chwilą, gdy się wda w sferę rezonowania, papierowych protestów, dyskusji i uchwał, słowem „akcji” politycznej, nie wyciągając z niej czynu, to zejdzie na manowce, na które my teraz zaszliśmy. Tę prawdę jako naukę doświadczenia uświadomiłem sobie ja pierwszy, a za mną wkrótce Zagłoba, potem Sztrauch, Marek i inni samodzielnie myślący w naszej radzie żołnierskiej kadry I pułku i konsekwentnie wycofaliśmy się z rady. Ja moje wystąpienie z rady zgłosiłem na zebraniu, urządzonym w środę 16 maja w polu przy szosie na Nieporęty, na którym zdaliśmy relację z wizyty u Piłsudskiego i niefortunnej likwidacji całej naszej „akcji”. Zagłoba i inni zrobili to samo na drugim zebraniu w parę dni później. Co do Pączka, to ten postąpił w tym względzie najradykałniej, bo od razu całkowicie zerwał z radą, nie przychodząc wcale nawet na relacyjne zebranie. Radomski, który ze swym kolegą z III pułku był także na tym zebraniu jako towarzysz nasz w wizycie u Piłsudskiego, był innego zdania i zalecał utrzymanie rady żołnierskiej z wytwarzaniem przez nią nadal gotowości do czynu i myślą o sforsowaniu Piłsudskiego przez dojrzewiający czyn wojska. Gotowość! Ta u nas jest w masie żołnierskiej; „wytwarzać” jej nie potrzebujemy; w każdej chwili możemy stanąć do czynu, gdy nas wypadki do tego powołają i wznowić radę dla jego wykonania; ale utrzymywać ją organizacyjnie – to by w praktyce musiało znów z konieczności doprowadzić do jakiejś „akcji” politycznej na ten lub inny temat, która by znów do takich samych oplakanych, jak obecna, doprowadziła rezultatów. Z ustąpieniem z rady naszych najdzielniejszych i najsamodzielniejszych ludzi nasza rada faktycznie przestała istnieć. W kadrze III pułku utrzymała się ona nadal, a może zyskała nawet na tym smutnym epizodzie, bo doświadczenie słabej potencji czynnej Piłsudskiego, który dotąd uchodził za możnowładcę czynu, dzierżącego monopol wodza i względem którego w III pułku żywią się różne uprzedzenia i niechęci, posłużyło tam raczej za podnieętą ambicję do przelicytowania go i przyjęcia na swoje barki tego, co dotąd legenda lub rzeczywistość oddawała niepodzielnie w ręce „arystokracji” i „szlachty” Legionów – to znaczy w ręce pułków dawnej Brygady Piłsudskiego. Pułk III, parweniusz wobec tej noblesy pułków Piłsudskiego, zaczął się podniecać ambicją przejęcia na siebie zaszczytnej roli. Wśród oficerów w tych dniach marnego upadku naszej „akcji” nastrój był nie lepszy, niż u nas. Oficerowie cofnęli się na całej linii i nie wyciągnęli ze swych uchwał i postanowień nic. Cały realny skutek „akcji” był ten, że oficerowie, którzy na razie, w pierwszych dniach przyjscia do Zegrza, nie przyjęli udzielonych im przez Niemców funkcji, a następnie objęli je tylko dla przyjęcia naszych raportów żołnierskich o zwolnieniach z Legionów, względnie o przeniesieniu do pułku (objęcie to miało być tylko na jeden dzień, a następnie, wraz z odroczeniem ostatecznej decyzji o akcji, zostało przedłużone na czas tego odroczenia), potem, gdy decyzja nie zapadła żadna i akcja się urwała, pozostali już przy swoich funkcjach na stałe. Ten skutek realny był oczywiście tylko Niemcom na rękę. Z „akcji” naszej wyciągnęli realną korzyść – oni jedni. I co najdziwniejsze, że oficerowie nie wyczuli właściwie kompromitacji, jaka zaszła w trakcie cofnięcia się i opuszczenia akcji w pół drogi i bez żadnej decyzji ani wprzód, ani w lewo, ani w prawo. Wyczuli i pojął jeden Dreszer oraz paru innych, zresztą mniej od niego wyrobionych. Dreszer pozostał zupełnie wśród oficerów osamotniony. W przekonaniu oficerów, nie oni, lecz Dreszer się skompromitował i uznany został za warchołę i szkodnika sprawy.

27 maja, rok 1917, niedziela

Nasza akcja tak się zbłądziła, że zaiste zdawali się mieć rację Niemcy, którzy w rozmowach z nami nieraz tak się z całą naiwnością i prostotą wypowiadali; „No tak, my rozumiemy, panowie, że wam jest z początku przykro; no ale to nic; powoli wy się przyzwyczajcie”. Jest w tym bolesne dla nas lekceważenie naszej sprawy, którą my za sprawę sumienia i obowiązku poczytujemy; takie „przyzwyczajanie się” jest upokorzeniem, a w tym zapewnieniu Niemców jest policzek, wymierzony nam w twarz. Ale słaby jest zawsze upokorzony, o ile z godnością upomnieć się o swoje należności nie potrafi. My i nasza sprawa jest wobec Niemców słaba fizycznie, ale moralnie i politycznie silna. Niestety – nikt dotąd u nas atutów naszych wygrać nie potrafił. I jeżeli wciąż mamy takie fatalne „byki” popełniać, jak w tej naszej ostatniej „akcji”, to zaiste zasługujemy na policzek niemiecki; z zupełnym prawem mogą oni żywić o nas takie przekonanie, że to są mili chłopcy, dziecinni i niesfori, krewcy jak każda młodzież, którzy się trochę poburzą i wyszumią, ale ostatecznie „przyzwyczajają się” i dadzą się zużytkować do tego, o co panom Niemcom chodzi. My sobie burzimy się i szumimy bez konsekwencji i systemu, a Niemcy tymczasem tworzą i narzucają nam fakty. Na ten moment zasadniczy zwrócił nam uwagę Dreszer, gdyśmy poszli do niego z Radomskim po powrocie od Piłsudskiego. Póki my gadamy, zwlekamy i ustajemy w pół drogi, Niemcy zapędzają pobór rekruta. Wróciliśmy do Piłsudskiego we wtorek 15 maja i stanęliśmy bezwładnie z rękami skrzyżowanymi i głową w przygnębieniu opuszczoną na piersi, bezradni, rozbitki własnej akcji; a tymczasem po całym kraju Niemcy powołali do życia komisje asenterunkowe dla kwalifikowania rekrutów spośród tych, którzy się po 5 listopada zapisali na ochotników do wojska; i oto my bezradni, niezdecydowani, słabi, a już nazajutrz przyjadą do nas rekruci i dokona się fakt wcielenia ich do kadry; a po wcieleniu rekrutów trudniej już nam będzie coś przedsięwziąć, niż było dotąd, bo rekruci będą pętą u nogi; powinniśmy byli nie dopuścić tego faktu, ale oto fakt już stoi przed nami i niechybnie się dokona; a jeżeli nawet kiedyś później wystąpimy i doprowadzimy rzecz do czynnego protestu i oporu, to Niemcy będą mogli nawet się nas pozbyć, a rekrutów – i to już wówczas wyćwiczonych – będą mieli; wojsko więc, a przynajmniej jego pozór, pozostanie w ich ręku w osobach rekrutów. Wobec takich to perspektyw wtedy stanęliśmy. Nie wypadło nam długo czekać na spełnienie tego faktu rekrutów. Jeszcze tegoż dnia 15 maja przybyła pierwsza partia około 70-80 rekrutów, którzy zostali przydzieleni do V kompanii (II baonu). Byli to rekruci z Białegostoku, Grodna, Wołkowyska itd., słowem – z różnych stron guberni grodzieńskiej. Wszystko to był materiał surowy, mało ideowy i nieświadomiony, który przeważnie szukał w wojsku ucieczki od przymusu robotniczego, stosowanego przez Niemców na Litwie i Białej Rusi. Ci biedacy z Białej Rusi, nieraz nie mówiący nawet po polsku, nie orientujący się zupełnie w skomplikowanej sprawie wojska polskiego i jego wolnościowych elementów, budzili litość. Większość zaś starych żołnierzy patrzyła na nich z nienawiścią jako na widomy symbol i narzędzie ujarzmienia nas przez Niemców. Przyjęcie tej pierwszej partii rekrutów, które się zbiegło z tak niedołącznym bankructwem naszej akcji, podziało na wszystkich przygnębiająco. Nazajutrz we środę 16 maja przywieziono do Zegrza jeszcze parę transportów rekruckich, ogółem w tej samej liczbie, których wcielono do IX kompanii (III baonu); byli to rekruci z Wilna, z wileńskich stron i z Litwy etnograficznej, niektórzy aż z Kurlandii; taki sam materiał, jak dnia poprzedniego, zbiedzony, strapiony, oszołomiony, nieświadomy i nie orientujący się; byli wśród nich i rodowici Litwini, byli i Białorusini. Ich nieznanostwo języka polskiego traktowane było przez starych żołnierzy za wyraz ich niższości i bezwartościowości pod wszelkim względem. Przygnębienie i rozterka wypełniły serca starych żołnierzy. Smutno było w obozie, w nastroju ogólnym było coś z wykołajenia; po obozie przesuwali się w różnych kierunkach grupki i oddziały

rekrutów, prowadzonych przez poszczególnych starych żołnierzy z odpowiednich kompanii – to do łaźni i strzyżenia włosów, to po fasunek ubrania wojskowego i różnych rzeczy i przyborów itd. Masa starych żołnierzy przyglądała się temu z niepokojem i niechęcią, ze złowrogą rezerwą, ale, niestety, poczuciem własnej bezsilności. Bunt i nienawiść rosły w sercu, znajdując przeważnie ujście w kierunku niewłaściwym, bo w kierunku ofiar – rekrutów, bardziej niż w kierunku sprawców – Niemców. Ale było to tylko martwe poczucie buntu, połączone z zupełną niemocą i bezradnością. Gdyby nie poprzednia „akcja” i jej bankructwo, może by się na coś zdobyto. Tegoż dnia z taką bezradnością dopuściliśmy na sobie innego faktu dokonanego, pozornie drobnego, ale nie mniej symbolicznie przykrego. Wydano nam mianowicie nowe umundurowanie, które przyjęliśmy. Są to mundury kroju pruskiego, niewolniczo nas upodabniające do Niemców, z tą tylko różnicą, że dwa guziczki – z tyłu – służące za zaczep do pasa, mają orzełka polskiego i że na lewym rękawie jest specjalna odznaka naszyta, wyglądająca tak: małe sukienne kółeczko czerwone, na nim z zielonkawego sukna, tegoż, co sam mundur – gwiazda (formy dwóch trójkątów, nałożonych na siebie), a na tej gwiazdzie przyszyty orzełek biały metalowy. Trzeba przyznać, że wszystkie przedmioty fasunku niemieckiego są bardzo porządne, bez żadnego porównania lepsze od fasunków austriackich. Buty, bielizna, sukno na mundury i spodnie, nawet robocze bluzy drelichowe oraz wszelkie akcesoria – wszystko w porządnym gatunku, bez tandety. Co do mundurów, to przykrym jest tylko ich wygląd, upodabniający nas do Niemców; gdybyśmy nie byli w tych specjalnych warunkach zależności od Niemców i gdyby nie obawy co do ich zamiarów, byłoby to obojętne; w naszych warunkach jednak sprawa ta ma dla nas szczególną drastyczność; w naszych warunkach nasze stare mundurki strzeleckie i nasze tradycyjne czapeczki-maciejówki nabierają szczególnego znaczenia symbolicznego jako widomy znak naszej indywidualności. Prócz mundurów tych wydano nam niepopularne u nas rogatki konfederatki. Przyjęliśmy to wszystko, daliśmy sobie narzucić, bo przynębienie pozbawiło nas energii. Burzyliśmy się w sercu, ale wykonaliśmy ulegle to, co zostało narzucone. Później dowiedzieliśmy się, że na innych obozach ćwiczebnych, jak w Zambrowie, mundurów nie przyjęto, i że nawet z tej okazjiomalże nie doszło tam do starcia. Brak porozumienia i jednolitości postanowień oraz niedołęstwo naszej poprzedniej akcji pozwoliło nas sforsować.

28 maja, rok 1917, poniedziałek

Przechodzę w mojej kronice wypadków do dnia 17 maja, czwartku. W tym dniu przydzielono rekrutów do naszej kompanii. Rano otrzymaliśmy rozkaz, żeby wszyscy starzy żołnierze, należący do kadry I kompanii, byli w pogotowiu, bo ze świeżego transportu rekrutów mają być rekruci przydzielani do nas. Odnosiło się do zwłaszcza do tych żołnierzy i podoficerów z naszej kompanii, którzy z góry już poprzednio wyznaczeni byli do objęcia funkcji komendantów kapralstw. Tych bowiem dwudziestu kilku starych żołnierzy i podoficerów, którzy tworzyli kadrę I kompanii, rozdzielono poprzednio na sześć embrionalnych kapralstw; kapralstwa te do czasu przyścia rekrutów nie funkcjonowały; na komendantów tych embrionów kadry wyznaczono trzech kaprali (Kęłowski, Krystek i Chmielowski) i trzech starszych żołnierzy (Trzęsiński, Marek i ja). Ja wyznaczony byłem na komendanta VI kapralstwa. Embryon tego kapralstwa składał się ze mnie jako komendanta, z ob. Stefana Dębskiego jako mego zastępcy i ob. Stasiaka jako „Mannschaftu”, czyli jednego „ludzia”, jak u nas mówiąc. Wkrótce zawołano nas przed komendę pułku, gdzie już ustawiono jako tako w prowizoryczny dwurząd rekrutów, ubranych jeszcze po cywilnemu, z tłumokami i koszykami w rękę. Wyglądało to jeszcze na dziką branke, bez żadnego znaku tresury

wojskowej. Gromada ta była przypadkowym zlepkiem kilku transportów rekruckich z różnych miejscowości, w szczególności z Łodzi, Siedlec, Łukowa, Mławy (i Ciechanowa), Kutna i Sieradza. Pomieszano to wszystko razem i podzielono na dwie połowy po $\pm$ 80 ludzi, z których jedną przeznaczono do I kompanii, drugą – do II-giej. Tych, co zostali przydzieleni do naszej kompanii, podzielono prowizorycznie na cztery grupy po 20 ludzi, oddając każdą grupę na razie pod kierunek jednego z nas czterech: mnie, Marka, Trzęsińskiego i Krzewskiego. I zaraz przystąpiliśmy do roboty, przy czym ja, jako mający pierwszą grupę, pierwszy z miejsca rozpocząłem urzędowanie. Zaprowadziło się przede wszystkim oddział do magazynu, gdzie wydano każdemu po wojskowej roboczej bluzie drelichowej z takimiż spodniami, po parze butów, skarpetek, po komplecie bielizny itd.; stamtąd do łaźni, gdzie każdy musiał się poddać operacji ostrzyżenia włosów, następnie wykąpać i ubrać w całkowite odzienie wojskowe, następnie w innym miejscu wydano dla każdego po misce, miednicy, sienniku itp., następnie się poszło na obiad, po obiedzie rzeczy fasowane złożono w koszarach w odpowiedniej izbie, przeznaczonej na kwaterę kompanii, dalej odniesiono i złożono rzeczy cywilne w osobnej izbie przy komendzie baonu, wreszcie poszło się napychać sienniki słomą drzewną (wiórkami). Poza tym i myśmy sami musieli przenieść wszystkie rzeczy z naszej dawnej kwatery do nowej, przeznaczonej odąd dla kompanii. Wszystko to razem zajęło nam cały dzień od rana do wieczora. Bliżej z rekrutami tej grupy, którą prowadziłem, nie zapoznawałem się tego dnia jeszcze, bo wiedziałem, że to jest podział tylko prowizoryczny i że ten oddział, w którym na stałe pozostanę i który ewentualnie obejmę, będzie uformowany w innym składzie ludzi. Dzień ten upłynął tak pracowicie, że na jakieś refleksje lub układanie spostrzeżeń o rekrutach nie miałem czasu. Na ogół odniosłem tylko wrażenie, że to materiał zupełnie surowy, mało rozwinięty ideowo, nie inteligencki. W mojej grupie prawie wszyscy byli z Łodzi i przynajmniej połowę stanowili Żydzi, z których kilku miało bardzo wybitne najniesympatyczniejsze cechy semickie, jak arogancja i znęcanie się, przechwalanie się, tchórzostwo. Nazajutrz, w piątek 18 maja, podzielono całość naszej kompanii na sześć kapralstw, dzieląc rekrutów, na modłę niemiecką, podług wzrostu. Starych żołnierzy, w charakterze instruktorów, poprzydzielano po trzech względnie po czterech do każdego kapralstwa. Komendantem I kapralstwa został kapral Kębłowski, jego zastępcą – Duda; II kapralstwo: komendant starszy żołnierz Trzęciński, zastępcą – Sablewski; III kapralstwo: komendant Krystek, zastępcą – Nosarzewski; IV kapralstwo: komendant – st. żołnierz Marek, zastępcą – Mucha; V kapralstwo: komendant – kapral Chmielowski, zastępcą – Krzewski; VI kapralstwo: komendant – ja, mój zastępcą – Dębski. Podział ten utrzymał się dotąd. W tych kapralstwach, w których nominalnymi komendantami są kaprale, faktycznie funkcje komendantów, zwłaszcza w koszarach, a przeważnie i na ćwiczeniach, spełniają zastępcy (kaprale bowiem, według wzoru niemieckiego, mieszkają w osobnych izbach podoficerskich, z żołnierzami stykają się mało, na ćwiczeniach też nie zawsze bywają, mają specjalne funkcje w kompanii – funkcje zbójmistrza, furiera, magazyniera). Ze starych żołnierzy do mojego kapralstwa przydzieleni zostali jeszcze Tadeusz Grudziński i Jan Gosk. Rekrutów do mego kapralstwa dostałem 13, samych liliputów, najmniejszych wzrostem w kompanii. Charakteryzować ich na razie nie będę; zrobię to w dniach najbliższych, podając zestawienie statystyczne ich pochodzenia, wieku, zawodu cywilnego itd. Tegoż dnia 18 maja w piątek byliśmy znów z Zagłobą u Dreszera. Poszliśmy, bo Dreszer sam przy ostatnim widzeniu się ze mną prosił mnie o przyjście w piątek, licząc na to, że będzie miał nam coś do udzielenia, gdyż we czwartek miał być w Warszawie u Piłsudskiego. Dreszer przywiązywał dużą wagę do zobaczenia się z Piłsudskim, któremu chciał wypowiedzieć wszystko, co miał na sercu z powodu ostatnich

wypadków i całej sprawy naszej. Dreszer liczył na to, że Piłsudski jest po prostu źle poinformowany o naszej sytuacji i sprawie, zbałamucony tym, że konferowali z nim w tej sprawie różni ludzie, zabarwiając ją własnymi tendencjami i własnym widzeniem rzeczy. Zdaniem Dreszera, gdyby Piłsudski nie siedział w Warszawie, ale był w wojsku z nami, to by rozumował zupełnie inaczej i z pewnością stałby na naszym stanowisku, nie zaś na stanowisku ugodowej większości oficerskiej. Dreszer był zdecydowany, gdyby Piłsudski nie uwzględnił jego motywów i pozostał przeciwny jego wnioskowi z sytuacji, zgłosić na jego ręce dymisję swą z wojska. Jednak stał na tym, że gdyby Piłsudski wydał mu rozkaz pozostania w wojsku – pozostałby. I my byliśmy bardzo ciekawi rozmowy Dreszera z Piłsudskim. Dowiedzieliśmy się jednak, że Dreszer z Piłsudskim się nie widział: nie wpuszczono go do Warszawy (na zasadzie rozkazu niemieckiego gubernatora Warszawy, zabraniającego legionistom, tak żołnierzom, jak oficerom, wjazdu do miasta w pozasłużbowych sprawach; rozkaz ten motywowany jest tym, że w rozruchach, które w ostatnich czasach miały miejsce w Warszawie, legioniści brali udział i łączyli się z tłumem). Dreszer jest ogromnie poruszony i oburzony na taki zakaz, który uważa za zniewagę. Co do sprawy naszej Dreszer był nadal usposobiony niezmiernie pesymistycznie. Bardzo trafnie podnosił on i oceniał intencje niemieckie w całym tym przedsięwzięciu obozów ćwiczebnych i poboru rekruta; że o to Niemcom chodzi, to jest aż nazbyt widoczne i nie może ulegać wątpliwości. Mianowicie chodzi im o to, aby rozdzielić wojsko, i stare pułki legionowe, złożone przeważnie z austriackich poddanych i nie zużytkowane do kadry, skazać na powolne uschnięcie na naturalne suchoty, pozostawiając je na martwej stopie bez żadnego dopływu i w trawiącej męce bezcelowości, z tych zaś obozów ćwiczebnych, przez masę rekrucką z zużytkowaniem drobnego i nieszkodliwego instruktorskiego zarybku legionowego, wytworzyć zupełnie nową i odrębną jakąś polsko-niemiecką formację wojskową. Istotnie zmierzają do tego konsekwentnie. Pierwszą część programu spełniliśmy. Teraz zależy będzie od dopływu rekruta. Tą drogą i pozbyliby się niesfornych legionistów, i pozornie użyliby sił legionowych do kadry nowego wojska, i wreszcie utworzyliby takie wojsko, o jakie im wreszcie chodzi.

29 maja, rok 1917, wtorek

Z kolei przechodzę po kronikarsku do dnia 19 maja, soboty. Był to już trzeci dzień przydzielenia rekrutów do kompanii. W kapralstwach zapoznaliśmy się dopiero z nimi i dopiero rozpoczęliśmy pierwsze elementarne ćwiczenia („baczność” i „spocznij”). Jeszcze tylko oswajaliśmy się z ludźmi. I na ogół pierwsze wrażenie było takie, że jednak materiał rekrucki nie jest najgorszy; poza pewnymi jednostkami, większość rekrutów, a właściwie ich masa z łatwością przyswaja sobie naszą myśl i uczucia. Choćby wstąpiła ona do wojska z pobudek więcej materialnych, niż ideowych, gnana przez nędzę, to przecież elementy jej czucia i nastrojów są takie same, jak w całej masie narodu; ludzie biedni, zniszczeni przez wojnę nie przestali tworzyć części ogółu. To, co jest popularne u ogółu, jest popularne i u nich. Nie kochają bynajmniej Niemców i nie palą się bynajmniej do tego, żeby stać się powolnym narzędziem w ręku Niemców. Choć się jeszcze nie we wszystkim tak dobrze orientują, jak my, ale razi ich na przykład nie mniej niż nas to, że Niemcy rządzą u nas w kadrze, która jest przecie kadrą wojska polskiego. Ponieważ czują tak samo, jak my czujemy, więc zrozumieją nas prędko i przejmą się naszym nastrojem. A że są młodzi, więc są wrażliwi i łatwi do przyswojenia sobie naszej idei. Pod tym względem od razu w pierwszych dniach obcowania z rekrutami pesymizm mój co do nich zaczął się łagodzić. Toteż przykro mi uderzyło to, że oficerowie nasi na pułkowym zebraniu postanowili odrzucić w stosunkach z rekrutami naszą tradycyjną i tak piękną formułę „obywatel”, zamieniając ją na „pan”.

Zawiadomił nas o tym w sobotę 19 maja porucznik Barwiński na odprawie komendantów kapralstw. Oficerowie wychodzili z tego założenia, że obecni rekruci nie są już tym materiałem ochotniczym i ideowym, jakimi byli starzy żołnierze, idący do Legionów z pobudek idei i ofiary, w czasie, kiedy ta ofiara była rzeczywiście krwawą, i że przeto nie zasługują już na ten nasz stary zaszczytny tytuł obywatela; że tytuł ten niezasłużony przez nich, bo są oni nie ochotnikami i wolnymi rycerzami sprawy; tytuł zresztą, obcy dla nich i niezrozumiały, może tylko ten skutek wydać, że przyniesie ujmę dyscyplinie wojskowej, bo rekrutom przesadnie zawróci w głowie, wbije ich w dumę nieuzasadnioną i stworzy w ich pojęciu pozory równości z nami; że przeto aby temu z góry zapobiec, należy odtąd w całej kadrze zastąpić termin „obywatel” terminem „pan”, i to już od razu na całej linii, to znaczy abyśmy i my już używali zwrotów „panie sierżancie” „panie kapralu” „panie poruczniku” itd., zachowując formę „obywatel” li tylko w prywatnych stosunkach między starymi żołnierzami, o ile się do tego tak przyzwyczaili, że odwyknąć nie mogą. Nie mówiąc o tym, że to zarządzenie utrudni zasymilowanie się rekrutów z nami i że jest ono niesprawiedliwym przesądzaniem z góry niższej elementarnej wartości obywatelskiej tych naszych młodszych kolegów w porównaniu do nas, ma ono jeszcze tę cechę niebezpieczną, że od razu pogłębia rozdział formalny między naszym pułkiem a jego kadrą w Zegrzu. Bo w tym tytule „obywatel” zakłeta jest jedna z najgłębszych tajemnic budowy naszych wewnętrznych stosunków i tradycji w pułku. Niemcom chodzi o to, aby z kadry I pułku urobić coś zgoła odrębnego i nowego, jak najdalej od Legionów i od starego pułku, a takie zarządzenia, jak ta uchwała oficerska, tylko sprzyjają temu. Oficerowie nasi, moim zdaniem, źle się w tej sytuacji zorientowali. Zresztą późniejsza praktyka wykazała, że zarządzenie to nie bardzo się u nas przyjmuje. „Obywatela” nie tak łatwo wyrugować z naszych stosunków; nie tylko utrzymuje się on u starych żołnierzy, ale przenika i do rekrutów. Wśród żołnierzy najbardziej ideowych i wiernych obywatelskim tradycjom dawnej Brygady, stykających się z rekrutami, utrzymuje się prąd świadomy do właśnie spojenia rekrutów z macierzystym pułkiem, którego oni jeszcze nie znają; mówi się im przeto o I pułku jako ich pułku, uczy się znajomości budowy i składu tego pułku, jego stosunków i tradycji, jego dziejów i jego idei. Praca ideowa i moralna nad rekrutami w duchu obywatelskim jest przez wielu z nas traktowana jako obowiązek i głębokie zadanie. Robię to gorliwie i – mam wrażenie – z dobrym skutkiem ja w moim kapralstwie, robi to też bardzo intensywnie np. sierżant Pączek w swojej kompanii w III baonie i bardzo wielu innych; co do Pączka, który po naszej bytności u Piłsudskiego i załamaniu się naszej akcji stracił zupełnie wiarę w polityczną robotę wojskową i od razu radykalnie przeciął wszelki swój w niej udział, nie chcąc o tym nawet prywatnie rozmawiać, to u niego praca obywatelsko-ideowa nad rekrutami zajęła naczelne miejsce i stała się podstawą i osią jego działalności, prawdziwą dźwignią jego energii. Oddaje się on temu z właściwą mu wyłącznością. Dokonało się u niego zdecydowane zupełne przejście od jaskrawego i nieco romantycznego aktywizmu politycznego do pozytywizmu pracy organicznej w środowisku rekruckim. I rozumiem go bardzo dobrze; sam jestem od tego niedaleki, bo również pracy tak techniczno-wojskowej, jak obywatelskiej nad rekrutami w moim kapralstwie oddaję się sam bardzo gorąco i poważnie, znajdując w tym, muszę przyznać, ogromną i rzetelną przyjemność.

Tegoż dnia 19 maja w sobotę przyjechał do nas do Zegrza w gościnę z Pomiechówka Heller. Dowiedzieliśmy się od niego, że jednak w I pułku w Modlinie i Pomiechówku rada żołnierska się nie rozwiązała i nawet większość, poza samym Hellerem i Lewickim, gotowa jest godzić się najzupełniej na wyczekujące, bierne w sprawie Legionów stanowisko Piłsudskiego. Co do Zagłoby-Kamińskiego, to ten zaczął w tym czasie poruszać myśl wykonania projektu, który rzucił poprzednio w Pomiechówku

Wąsowicz: projektu wymarszu całej naszej kadry do pułku, zabierając ze sobą rekrutów i nie wdając się w jakieś papierowe protesty, uchwały lub „akcje”, które, jak to nam praktyka wielokroć wykazała, do niczego nie prowadzą. Sam projekt jest ładny i treściwy, mimo że wielkiego politycznie-rewolucyjnego czynnika nie zawiera. Byłoby to tylko czynne zachowanie przez nas niemieckich intencji owego ich tworzenia wojska. Oni chcą nas z pułkiem rozdzielić i rekrutów użyć do wytworzenia nowego wojska, odrębnego od Legionów, my zaś zabraliśmy tych rekrutów, połączyli ich z pułkiem i stworzyli fakt dokonany w myśl naszych intencji. Ten rekrut, który miał być narzędziem niemieckim, zostałby przez nas dla pułku zużytkowany. Niestety – wątpię, aby taki projekt mógł być, po załamaniu się poprzedniej naszej akcji, wykonalny. Heller znów inny projekt podnosi. Przywiózł on wiadomość o odbytych przed paru dniami zjeździe oficerskim, na którym uchwalono w imieniu wojska bardzo kategoryczne ultimatum do Rady Stanu i wyłoniono komitet wykonawczy oficerski z daleko sięgającymi pełnomocnictwami. Żądania i wnioski zjazdu oficerskiego są bardzo daleko idące i mocne. Heller projektuje zażądać od oficerów, by dopuścili reprezentację żołnierską do swej rady i komitetu wykonawczego.

30 maja, rok 1917, środa

Heller, przyjeżdżając 19 maja z Pomiechówka, przywiózł nam wieść o zjeździe oficerskim w Ostrołęce i tekst rezolucji zjazdu, zwróconej w formie ultimatum do Rady Stanu. Zjazd ten miał się odbyć w Warszawie, ale oficerowie z powodu zakazu wyjazdu do Warszawy nie zostali wpuszczeni i w ostatniej chwili pojechali do Ostrołęki (Dreszer także jechał na ten zjazd, ale nie dowiedział się o wyjeździe do Ostrołęki i nie był na nim). Z I pułku był na zjeździe kapitan Lis z Modlina, komendant II baonu. Zjazd odbył się, zdaje się, we czwartek 17 maja. Obecne były na nim przez swoich delegatów wszystkie pułki prócz II pułku piechoty i, zdaje się, II pułku ułanów. Uchwalone przez zjazd pismo do Rady Stanu, mające formę ultimatum, jest zredagowane bardzo radykalnie. Jeżeli się konsekwentnie na nim stanie, to można wyciągnąć zeń bardzo daleko idące i stanowcze decyzje czynne. Nie tylko można, ale się, będąc konsekwentnym, musi. Pismo oficerskie do Rady Stanu przemawia od imienia całego wojska. Wskazuje ono na zasadnicze braki w sprawie polskiej – brak rządu i władzy narodowej przede wszystkim – i domaga się utworzenia tegoż, podkreślając, że bez tej podstawy nie może istnieć ani wojsko, ani żadne instytucje, wykonujące funkcje państwowe; wreszcie orzeka, że o ile w najbliższym czasie czynniki polityczne w Warszawie, względnie Rada Stanu, nie wytworzą władzy narodowej, wojsko będzie zmuszone samo je wytworzyć. Termin dla odpowiedzi dany trzydniowy od czasu wręczenia tej rezolucji Radzie Stanu. W orzeczeniu o wytworzeniu władzy narodowej przez wojsko jest zapowiedź przewrotu, idea dziś niezmiernie popularna w całych Legionach. Zapowiedź przewrotu wciąż się dziś w ustach wojska powtarza; oswoiło się ono z nią całkowicie i byle tylko przyszło hasło – wykonanie nie omieszkałoby nastąpić. Szkoda tylko, że dotąd tak lekkomyślnie szafowano tą zapowiedzią w różnych uchwałach. Rzecz zbyt często powtarzana traci na sile: ostrze zbyt często używane tępieje. Obawiałem się z góry, że to się może powtórzyć z rezolucją zjazdu oficerskiego. Papier jest cierpliwy; w uchwale łatwo wypisać najradykalniejszą pogroźkę, gdy jest ona popularną, ale ważną jest nie sama rezolucja papierowa, jeno gotowość wyciągnięcia z niej konsekwencji i wcielenia jej w czyn. Ultimatum zjazdu mogłoby dać podstawę dla mocnego czynu i dla rzeczy wielkich, ale czy w istocie przyszyłyby one – nie wiem. Odwaga decyzji ostatecznej dla przejścia od uchwały do czynu – szwankuje zbyt często, nawet u nas. W sobotę Heller przywiózł nam do przeczytania ultimatum zjazdu oficerskiego, a już nazajutrz w niedzielę (20

maja) dochodziły do nas z różnych stron mniej lub więcej pewne informacje o tym, że w wyłonionym na zjeździe komitecie wykonawczym przeważają nastroje umiarkowane i tendencje oportunistyczne, zgodnie zresztą ze wskazaniami Piłsudskiego, który nie chce jeszcze doprowadzić rzeczy do ostateczności. W niedzielę ja, Sztrauch, Marek (z II batalionu) i bawiący u nas w gościnie Heller poszliśmy do Dreszera dla omówienia z nim spraw naszych i ultimatum zjazdu oficerskiego. Niedużośmy się dowiedzieli, bo Dreszer nie widział się z kapitanem Lisem, bezpośrednim uczestnikiem zjazdu i miał o zjeździe informacje z trzeciej ręki. W każdym razie, ze słów jego mogliśmy wyczuć, że istotnie prawdą jest, że w oficerskim komitecie wykonawczym dominują prądy umiarkowane. Zdaje się, że jednym z członków tego komitetu jest kapitan Pistor, który, będąc jednym z najzaufańszych Piłsudskiego i ulegając mu ślepo, przychyliła się dziś na rzecz kompromisowego i połowicznego prądu. Sam Dreszer, będąc w gruncie o wiele radykalniejszym w tej sprawie od ogółu oficerów, zmuszony jest jednak, będąc dziś zupełnie wśród oficerów w swoim radykalizmie osamotniony, „*faire bonne mine à mauvais jeu*” i przywiązywał wagę do drobnych nędznych targów i żądań tam, gdzie w istocie chodziłoby o wielką rzecz. Tak było i tym razem. Z wielkich słów ultimatum zjazdu oficerskiego komitet wykonawczy oficerski już schodzi do rzeczy drobnych; usiłując mu nadać zasadnicze znaczenie, odwraca uwagę od rzeczy głównej i istotnie wielkiej, którą sam w swojej papierowej rezolucji wypisał. Głosi się uroczyście z pompą rzeczy wielkie i wstrząsające, wypowiada się słowa o przewrocie, o zamachu stanu, a robi się co innego. Ultimatum do Rady Stanu, gdyby się było konsekwentnym i miało śmiałość decyzji czynnej, byłoby właściwie nawet nie ultimatum, nie groźbą warunkową, ale bezpośrednią zapowiedzią czynu (stworzenia rządu narodowego przez wojsko). Bo oczywiście, że Rada Stanu, do której ultimatum skierowano, nie ma możliwości spełnienia sama tych żądań. A skoro nie mogą być przez nią spełnione, to wchodzić powinna w życie wykonawcza część ultimatum. Tymczasem komitet wykonawczy, zasypiając te sprawę, zajmuje się takimi rzeczami, jak sprawa odrzucenia mundurów kroju niemieckiego lub niećwiczenia rekrutów. Dowiedzieliśmy się o tym od Dreszera, który powiedział, że bardzo możliwe, iż w najbliższych dniach przyjdą odpowiednie rozkazy od komitetu wykonawczego. W sprawie mundurów kroju niemieckiego inne obozy ćwiczebne, zwłaszcza obóz w Zambrowie (kadra IV pułku piechoty), uchwaliły, jak wiadomo, nie przyjmować tych mundurów i nie przyjąć ich; w Zambrowie było nawet z tego powodu ostre zajście, któreomalże się nie skończyło starciem: Niemcy chcieli zmusić do przyjęcia mundurów i doszło do tego, że postawili przed legionistami kompanię niemiecką pod bronią i nawet podobno karabin maszynowy. Tak samo inne obozy uchwaliły nie przyjmować rekrutów. U nas zaś i mundury, i rekrutów przyjęto. Obecnie więc kielkowała myśl zastosowania tych uchwał i do nas, aby wszystkie obozy zajęły solidarną postawę. Nad tym zastanawia się obecnie komitet wykonawczy. Dreszer, a również i moi koledzy, którzy byli ze mną u niego – Sztrauch, Marek i Heller – podzielali przekonanie o ważności tej sprawy. Ja byłem innego zdania. Zajmowanie się tymi sprawami odciąga od głównej sprawy, a po wtóre, samo przez się zakrawa na dziecinadę. Można pewnych faktów nie przyjąć, jak mundurów lub rekruta, można przeszkodzić ich dokonaniu się, ale gdy się dopuściło do ich dokonania na sobie i przyjęło, to śmiesznym byłoby usiłowanie potem ich odrobienia. Co do faktów już dokonanych, to można tylko stanąć na ich gruncie i starać się oprzeć na nich nowe fakty, użyteczne dla siebie, albo też przystosować je do swego użytku. Rozumiem wzięcie rekruta i odmaszerowanie z nim do pułku, odwracając użytek faktu, ale wyrzec się ich i przestać ćwiczyć...? *Cui bono*? Czy miałyby to być zemsta na niewinnych rekrutach, którzy są sami ofiarą. Moim zdaniem, dziś po przyjęciu rekrutów nie wolno już ich nam opuścić. Przyjęliśmy zobowiązania względem

nich i również za nich wobec społeczeństwa. Tej myśli broniłem wobec Dreszera i potem przyjaciół naszych, by odwlec opinię żołnierską od takich przedsięwzięć. Zresztą nie doszło do tego wcale. I co do mundurów, to jak się później dowiedziałem, obozy ćwiczebne, które uchwały nie przyjmować tychże, potem same je przyjęły. Jak większość innych rzeczy u nas, tak i ta nie została utrzymana na poważnej stopie. U nas skończyło się tylko na tym, że w poniedziałek 21 maja przyszedł rozkaz zwrócenia Niemcom czapek-konfederatek i nalepkowych orzełków z rękawa munduru, co też zostało wykonane. Czy to była dyrektywa oficerskiego komitetu wykonawczego – nie wiem, ale Niemcy zresztą sami chętnie się zgodzili na to. Był to nasz jedyny „tryumf” („zwycięstwo”) w sprawie obozów ćwiczebnych. Niemcy dokonywają wielkich faktów na swoją korzyść, narzucając je nam, a ustępują w drobnych szczegółach, my zaś odwrotnie: ustępujemy w wielkich rzeczach, a targujemy się i odnosimy wielkie zwycięstwa w jałowych szczegółach.

31 maja, rok 1917, czwartek

We wtorek 22 maja doszły nas przez Niemirę-Radomskiego z III pułku wieści o odbytym w niedzielę 20 maja w Warszawie zjeździe delegatów rad żołnierskich wszystkich pułków legionowych. Reprezentowana była kawaleria, artyleria i piechota, oprócz I i IV pułków piechoty, które nie zostały w porę o zjeździe zawiadomione. II pułk piechoty był reprezentowany nie przez delegata, ponieważ tam rady żołnierskiej nie ma, jeno przez prywatnego żołnierza tegoż pułku na własną rękę. Radomski brał udział w zjeździe z ramienia rady III pułku. Po powrocie do Zegrza poinformował i nas także, w kadrze I pułku, o zjeździe. Ponieważ nasza rada żołnierska została rozwiązana, więc zebrało się nas kilku tylko prywatnie dla wysłuchania relacji Radomskiego, a mianowicie ja, Zagłoba-Kamiński, Sztrauch, Marek (z II baonu) i Wądołkowski (z III baonu). Dowiedzieliśmy się o zjeździe tyle, że zwołany on został z inicjatywy Departamentu Wojny, to znaczy kół P.O.W. i „Rządu i Wojska”. Na zjeździe referat o sytuacji politycznej wygłosił delegat Departamentu Wojny, inscenizator zjazdu Skwarczyński (pseudonim „Stary”), podporucznik V pułku piechoty, obecnie siedzący w Warszawie w cywilu z ramienia Piłsudskiego, gdzie pracuje w P.O.W. i kieruje redakcją „Rządu i Wojska”. W związku ze swym referatem wystąpił on z projektem zcentralizowania rad żołnierskich i ujednolajnienia ich zadań i akcji. Zadanie rad żołnierskich określał jako wytwarzanie gotowości na wszelką ewentualność, która może Legiony do czynu powołać (przyjmując jednak tę gotowość i ewentualny czyn oczywiście li tylko na hasło i rozkaz Piłsudskiego); co zaś do centralizacji rad żołnierskich, to, jak nas informował Radomski, Skwarczyński określał jej rolę w ramach bardzo ograniczonych, a mianowicie informowania się przez nią u źródeł Departamentu Wojny o sytuacji politycznej dla informowania pułków i ujednolajnienia opinii i świadomości żołnierskiej. Cały więc aparat organizacyjny żołnierski byłby postawiony w roli służebnej w stosunku do politycznego kierownictwa Departamentu Wojny; zdaje się, że inicjatorom z Departamentu Wojny chodziło specjalnie o podporządkowanie sobie organizacji rad żołnierskich i pozbawienie jej samodzielności, która mogłaby poprowadzić wojsko na tory ruchów nieprzewidywanych przez Departament Wojny i może samego Piłsudskiego. Takie jest moje wrażenie i takie też wrażenie odniósł Radomski. Przypuszczam, że przykład rady żołnierskiej naszego pułku i kadry III-go, które, zostawione samym sobie, doszły do radykalnych wniosków czynnych i same zgłosiły się przed tygodniem do Piłsudskiego z nieprzewidywaną przezeń inicjatywą, posłużył piłsudczykom z Departamentu Wojny za przestrożę, że i inne rady żołnierskie, zostawione bez kurateli z zewnątrz, wyjdą na te same tory, a może jeszcze dalej zajdą, aż je trudno będzie po czasie wstrzymać; sadzę, że to właśnie

posłużyło głównym bodźcem do zwołania zjazdu. Żołnierze na zjeździe nie zadowolili się jednak rolą, wyznaczoną ich organizacji przez inicjatorów zjazdu; referat Skwarczyńskiego był, jako powiada Radomski, błąd i wrażenia nie sprawił; uznano, że jak same rady żołnierskie, tak ich centralizacja nie mogą być tylko „telefonem” między Departamentem Wojny a masą żołnierską. Centralizację postanowiono utworzyć i wyłoniono komisję organizacyjną, która ma na następnym zjeździe w najbliższą niedzielę przedstawić projekt organizacji. Wobec tego uchwał na razie żadnych nie podjęto, ale z przemówień na zjeździe zarysował się kierunek bardziej zdecydowany od czynu politycznego, niż ogólnikowa gotowość, o jaką inicjatorom chodziło. Taką relację dał nam Radomski. Zjazd wezwał także pułk I do udziału w następnym zjeździe. Co do nas, to nie posiadając rady żołnierskiej, postanowiliśmy między sobą sami, że w charakterze gości pojedziemy na następny zjazd, aby się przyjrzeć powstającemu dziełu, któremu w zasadzie sprzyjamy i do którego ustosunkowujemy się zależnie od jego charakteru. Co zaś do samego naszego pułku w Modlinie i Pomiechówku, to podjęliśmy się zawiadomić o zjeździe jego radę żołnierską, co też wykonaliśmy przez Sztraucha, który tam za parę dni pojechał.

Tymczasem w ciągu owych dni, które ostatnio w dzienniku referowałem, przybywały codziennie nowe obfite partie rekrutów. Zdawało się, że masy tego przyjdą i że istna powódź zaleje stary element Legionów. W świetle tych faktów codziennego napływu i znowu napływu rekruta naiwnymi zdawały się nam słowa Piłsudskiego, który, gdyśmy u niego byli, powiedział: „Śmiecie się z tych rekrutów; będziecie ich mieli po 5 do 10-ciu (w plutonie, kompanii?) i zasymilujecie ich bez żadnego śladu”. Od 15 do 20 maja przybyło rekrutów do kadry naszego pułku – z osiemset; do 22 wszystkie kompanie kadry naszego pułku już zostały wypełnione rekrutami ($\pm$ po 80 na kompanię); 23 maja zaczęto przydzielać rekrutów do kadry pułku III. Wnosząc z tempa przywożenia rekrutów i z tego, że zaczęto od przydzielania ich do kadry tylko jednego pułku aż do jej wypełnienia, wnosiliśmy, że to jest tylko początek i że w rzeczy samej Niemcy rozporządzają bogatym liczebnie materiałem rekruckim. Skądinąd jednak, im bardziej obserwowaliśmy rekrutów i zapoznawaliśmy się z nimi, tym bardziej przekonywaliśmy się, że większość rekrutów składa się z materiału ludzkiego zupełnie jednako z nami czującego, choć mniej zorientowanego i da się rzeczywiście przez nas całkowicie przetrwać, stapiając się z nami w jedną całość. To przekonanie było bardzo pocieszające. Byliśmy gorzej uprzedzeni do tego materiału rekruckiego, niż na co on zasługuje. Podam tu statystykę o rekrutach z mojego VI kapralstwa I kompanii; statystyka ta rzuci nieco światła na tych ludzi; uwzględniam w niej wszystkich 13-stu rekrutów, których na razie otrzymałem do kapralstwa, choć z tej liczby paru już odpadło. Nazwiska rekrutów moich brzmią tak: 1) Szywiak Paweł, 2) Fast Szymek, 3) Drygasiewicz Józef, 4) Janiszewski Lucjan, 5) Cywiński Marian, 6) Fuchs Beniamin, 7) Szczygielski Edward, 8) Skoczylas Jakub, 9) Skuza Szloma, 10) Mioduszewski Henryk, 11) Klembowski Mojżesz, 12) Wesołowski Henryk i 13) Rudziński Wacław. Miejsca pochodzenia: 1) Łódź – 4 (Janiszewski, Cywiński, Skoczylas, Wesołowski), 2) powiat łukowski – 2 (Szywiak i Szczygielski), 3) Kutno – 1 (Fast), 4) Zduńska Wola, powiat sieradzki – 1 (Drygasiewicz), 5) Ciechanów – 2 (Fuks, Skuza), 6) powiat węgrowski – 1 (Mioduszewski), 7) powiat mławski – 1 (Rudziński) i wreszcie 8) Pińsk (stolica Polesia) – 1 (Klembowski). Zawód cywilny: 1) samodzielnych rolników (chłopów rolnych) – 2 (Szczygielski, Rudziński), 2) robotnik rolny (parobek) – 1 (Szywiak), 3) tkacz, robotnik fabryczny – 1 (Skoczylas), 4) piekarz – 1 (Fast), 5) szewców – 2 (Fuks, Skuza), 6) krawców – 2 (Mioduszewski, Klembowski), 7) fryzjer – 1 (Cywiński), 8) ślusarz – 1 (Janiszewski), 9) cukiernik – 1 (Wesołowski), 10) malarz – 1 (Drygasiewicz). Wiek: 1) jeden – 32 lata (Skoczylas), 2) dwóch – po 26 lat (Mioduszewski, Rudziński), 3) dwóch

po 22 lata (Szywiak, Fast), 4) jeden – 20 lat (Wesołowski), 5) dwóch – po 19 lat (Drygasiewicz, Cywiński), 6) dwóch – po 18 lat (Janiszewski, Skuza), 7) dwóch – po 17 lat (Szczygielski, Klembowski), 8) jeden – 16 lat (Fuks), 9). Żonatych trzech: Skoczylas, Skuza (18-letni) i Rudziński. Żydów: pięciu (Fast, Fuks, Skoczylas, Skuza, Klembowski), reszta – katolików 8. Oświata: analfabetów: dwóch (Fast, Rudziński); umiających czytać tylko drukowane – dwóch (Szywiak, Janiszewski), czyta i pisze – trzech (Szczygielski, Skoczylas, Skuza), czyta i pisze tylko po żydowsku i po rosyjsku – jeden (Klembowski), 4-klasowa szkoła ukończona – jeden (Fuks), szkoła 3-klasowa – [nikt], 2 klasy szkolne – czterech (Dygasiiewicz, Cywiński, Mioduszewski, Wesołowski).

1 czerwca, rok 1917, piątek

Z kolei przechodzę do dnia 24 maja. Powoli, ale doganiam. Otóż tego dnia we czwartek, gdyśmy wracali z rekrutami z ćwiczeń rannych (ćwiczenia te odbywały się w tym czasie co dzień rano o 3 kilometry od Zegrza na równym polu przy szosie na Jabłonną), zostaliśmy przez kaprała dziennego z koszar zawiadomieni, że w obrębie obozu zarządzona jest zbiórka wszystkich oficerów, podoficerów i starych żołnierzy z kadry obu pułków, I-go i III-go, dla wysłuchania jakiejś przemowy szefa sztabu Komendy Legionów, podpułkownika Berbeckiego, który w tym celu przyjechał z Warszawy do Zegrza. Zaraz wszyscy starzy żołnierze wystąpiliśmy osobno i pomaszerowaliśmy szybkim krokiem do obozu na miejsce zbiórki. Domyślaliśmy się, że przemówienie Berbeckiego będzie w związku albo z naszą poprzednią, już zwichniętą zresztą akcją, albo też z ową radykalną rezolucją zjazdu oficerskiego w Ostrołęce, stanowiącą ultimatum do Rady Stanu (o tym ultimatum zresztą nie wszyscy żołnierze wiedzieli). Termin określony przez zjazd dla tego ultimatum, był 3-dniowy i już minął, ale, jak doszły do nas wieści, odroczono decyzję jeszcze do 30 czy 31 maja, jak to widocznie lubią robić Polacy (ja nie wiem, czy to kunktatorstwo, które się tyle dało Polakom we znaki, jest jakąś narodową cechą polską, czy nie, ale faktem jest, że spotyka się ono chronicznie w najważniejszych przełomowych chwilach, decydujących o losach Polski i zmarnuje zawrże najdzielniejszy wysiłek i ofiarę czynną najlepszych synów tej ziemi; jest ono najstraszliwszą narodową plagą Polski; ani sama nauka przeszłości, ani najlepsze, jakby wprost wymarzone, okoliczności zewnętrzne, sprzyjające wolnościowemu traktowaniu sprawy polskiej, nie są w stanie zwyciężyć tego ociężałego kunktatorstwa, które jak pleśń rozłazi się po wszystkim i rozwlekłą gadaniną, jałowym targiem i pustym gestem ubija twórczy czyn, strojąc się przy tym – co jest właśnie najgorszym – w szaty bardzo radykalnego frazesu; a cóż na to poradzić, kiedy nawet taki człowiek czynu, jak Piłsudski, złamany niedołęstwem powszechnym, uległ ogólnej chorobie kunktatorstwa). Idąc na wysłuchanie Berbeckiego, byliśmy pewni, że zacznie nam prawić morały o wytrwaniu i zachowaniu równowagi, obiecywać złote góry dla Polski, kręcić tęczowe perspektywy sprawy i tym podobne banialuki. Przypomnieliśmy sobie pamiętną przemowę Szeptyckiego w Baranowiczach, który to również usiłował nas uspokoić i porównywał sprawę polską do okrętu na falach zburzonego morza, a nas do sternika. Analogia ta od razu nam przyszła na pamięć, a wraz z nią ułożona jeszcze w Baranowiczach i śpiewana w naszym tamecznym „Teatrze Korpusu Pomocników” piosenka na nutkę pieśni dziadowskiej, której jedna zwrotka zawiera aluzję do owej przemowy Szeptyckiego i kończy się dwuwierszem: „I mówił jeszcze o swoim okręcie, Myślał, że coś wykręci...”. Berbecki zna tę pieśń dobrze, bo był w Baranowiczach, słyszał ją w naszym „teatrze” i był jeszcze wtedy człowiekiem szczerze i gorąco naszym. Z tą zwrotką pieśni na ustach przemaszzerowaliśmy na plac zbiórki, gdzie się już ustawiały inne oddziały kadrowe starych żołnierzy, przed frontem

stała grupa naszych oficerów z obu pułków i osobno stał samotnie Berbecki. Zanim zaczęliśmy się ustawiać, jeszcze parokrotnie zanuciliśmy tę zwrotkę. Berbeckiemu nie musiało być wesoło, tym bardziej, że jak od zadżumionego, stronili od niego wszyscy oficerowie. Gdy się wszystkie oddziały ustawiły, Berbecki przed frontem odczytał uroczyste pismo, które nazwał „rozkazem Rady Stanu do wojska”. Pismo to zaczyna się od stwierdzenia wielkich, historycznych zasług żołnierzy Legionów i wdzięczności ojczyzny dla nich, następnie wzywa wojsko do spokoju i rozwagi, nakazując wytrwanie jako nowy obowiązek i wreszcie zawiera kilka uroczystych zapewnień, z których główne i najbardziej zasadnicze są te: że żaden z żołnierzy nie zostanie w żadnym razie wzięty do obcego wojska (mowa tu o wiszącym wciąż niebezpieczeństwie wycofania z Legionów austriackich poddanych) i że przysięga nie odbędzie się inna, niż ta, która ewentualnie zostanie przez Radę Stanu lub przyszły rząd polski zaakceptowana. Po odczytaniu tego „rozkażu” Berbecki nic od siebie nie dodał i oddziały rozeszły się. Jak się później dowiedzieliśmy, pismo te nie wyszło wcale od Rady Stanu, która już się na zebrania plenarne nie zbiera, bo urzędowo zawiesiła swoje czynności do czasu otrzymania zasadniczej odpowiedzi od władz niemieckich i austriackich na jej „ultimatum” z dnia 1 maja, jeno zostało wydane przez marszałka koronnego Niemojowskiego na własną rękę w odpowiedzi na ową ostatnią rezolucję-„ultimatum” zjazdu oficerskiego w Ostrołęce do Rady Stanu. W piśmie tym dobrym jest tylko to, że to jest pierwszy krok bezpośredniego odwołania się jeżeli nie całej Rady Stanu, to choć marszałka koronnego do wojska, z pominięciem komisarzy rządowych niemieckiego i austriackiego. W tym momencie jest pewien element rewolucyjny, przełamujący tutelę obcą nad Radą Stanu. Tym aktem marszałek koronny zajął poniekąd *de facto* stanowisko czynnika władzy polskiej, obejmującego wojsko pod swą kompetencję i rozkazy. Merytorycznie pismo to, nawołujące, jak zawsze, do wytrwania i spokoju, jest jałowe. Podniesienie sprawy przysięgi i nietykalności żołnierza polskiego, który bez względu na swoje formalne obce poddaństwo państwowe nie może być z szeregów polskiego wojska wydarty, merytorycznie i formalnie nic nie znacząca, bo Rada Stanu nie ma prawa decydowania o tym, jest dobra tylko o tyle, że robi z tych spraw pewne zastrzeżenia zasadnicze, które, gdyby były przez przeciwną stronę nie uszanowane, musiałyby być uznane przez Radę Stanu za *casus belli*. Na tym się skończyła uroczystość z Berbeckim. Z oficerami Berbecki miał jeszcze dłuższą konferencję, która, jak potem od oficerów słyszałem, doprowadziła do obopólnego porozumienia. Berbecki zapewniał, że nic nie wiedział o tym, iż po przybyciu do Zegrza rekrutów, funkcje w kadrze pozostawały nadal w ręku Niemców. Uważał, że ten fakt dotyka go także osobiście, ponieważ w swoim czasie zobowiązał się osobiście nie dopuścić do tego. Istotnie w parę dni później dowiedzieliśmy się, że Berbecki zgłosił dymisję ze stanowiska szefa sztabu Komendy Legionów, motywując ją nawet bardzo radykalnie (Berbecki ma podobno znów objąć pułk V lub III, na jego zaś miejsce szefem sztabu w Komendzie Legionów ma być Nieniewski).

Przechodzę teraz do spraw wewnętrznych w kadrze w tym czasie. Otóż tegoż dnia 24 maja, we czwartek, wydzielono od nas, jak również ze wszystkich kadrowych kompanii I pułku część rekrutów do kadry pułku III. Od paru dni dopływ nowego rekruta się zmniejszył bardzo. Stało się widocznym, że źródła dopływu rekruta usychają. Ogólna ich ilość wynosi od 1200 do 1500 ludzi. Jak na całe Legiony – to suma bardzo drobna. Niemcy, zdaje się, przerachowali się. Sikorski, który ich zapewniał o zwerbowaniu większej ilości, nie wywiązał się ze swych obietnic. Rekrutami zapełniono jedną kadrę I pułku, a już na pułk III ich nie wystarczyło, tak że trzeba było dopożyczyć od nas, aby równomiernie te dwie kadry w Zegrzu zapchać. A już na kadry innych pułków materiału nie ma. Gdyby je chcieli zapełnić, musieliby rozwałkować i rozcieńczyć

ten sam materiał, który jest w Zegrzu, co by istotnie rozproszkowało rekrutów całkowicie. Z mojego kapralstwa zabrano do III pułku trzech: Cywińskiego (żałowałem go, bo to dobry żołnierz), Wesołowskiego i Skoczylasa. Ja zresztą zazdrosny jestem o moich rekrutów. Żał mi straty każdego, który odchodzi z kapralstwa. Polubiłem ich, bo pracuję nad nimi gorliwie i urabiam ich jak mogę. I oni się do mnie przywiązali jak niemal do ojca swojego. W moim kapralstwie jest największy ład, współzycie i wyrobienie ludzi. Zdobyłem wpływ na moich chłopców, którzy wierzą mi i słuchają. Daje mi to dużą moralną przewagę i możliwość skutecznego oddziaływania tak na ćwiczeniach, jak w kształceniu ich myśli, pojęć i uczuć, co mi wielką sprawia przyjemność. Miewam dla nich pogadanki, kształcę ich w duchu obywatelskiej idei i wyrabiam ich na karnych i świadomych żołnierzy obywateli. Niestety, tak w moim kapralstwie, jak w całej kompanii (zresztą i w innych) rekrutów wciąż ubywa, bo sporo zostaje zwolnionych do domu przez lekarza. Obecnie po wydzieleniu części rekruta do pułku III pozostało ich w naszych kompaniach po niespełna pięćdziesięciu.

2 czerwca, rok 1917, sobota

Z kolei przechodzę do dnia 26 maja, soboty. Wigilią tego dnia zebraliśmy się Zagłoba-Kamiński, Sztrauch, Wądołkowski i ja dla naradzenia się co do naszego udziału w zjeździe delegatów rad żołnierskich w Warszawie w niedzielę nadchodzącą. Uważaliśmy, że całkowicie uchylić się od udziału nie warto, bo nie wiemy jeszcze, jakie się ujawnią tendencje i jaki kierunek nadadzą delegaci rad obradom zjazdu i powstającej centralizacji żołnierskiej. Ponieważ jesteśmy przeciwni kierunkowi „wytwarzania gotowości”, który usiłują nadać organizacji jej inicjatorowie z Departamentu Wojny, więc postanowiliśmy zachować się na zjeździe z rezerwą, nie robiąc z góry żadnego akcesu ani przyjmując jakiekolwiek zobowiązania. Ponieważ nie jesteśmy zorganizowani w Zegrzu, więc weźmiemy udział w zjeździe li tylko w charakterze gości, którzy w zasadzie sprzyjają przewodniej myśli rad żołnierskich i przyjeżdżają dla poinformowania o sobie i poinformowania się własnego oraz przyjrzenia próbie realizowania myśli. Pozostając w założeniu przeciwnikami wznowienia rady żołnierskiej w naszej kadrze, dopóki nie będziemy mieli pewności o tym, że rada ta, zarówno jak centrala wszystkich rad mogą być zużyte nie do próżnego „wytwarzania gotowości”, która już u nas całkowicie istnieje, lecz do organizowania już samego aktu czynnego, uważaliśmy jednak za obowiązek nie tylko zorientowania się samym w powstającej próbie, ale też następnie zreferowania o niej naszym kolegom w Zegrzu. My trzej – Zagłoba, Sztrauch i ja – byliśmy zupełnie ze sobą zgodni; Wądołkowski też nie oponował, chociaż w gruncie był bardziej skłonny do połowicznego traktowania rzeczy i zastosowania się do takich form i zadań organizacyjnych, jakie zjazd wytworzy. Wądołkowski sam wybierał się na niedzielę do Warszawy, my zaś trzej postanowiliśmy jechać wszyscy trzej razem. Nazajutrz w sobotę Zagłoba, Sztrauch i ja poszliśmy do Dreszera. O zjeździe rad żołnierskich i powstającej ich centralizacji wiedział już od Radomskiego. Wspomnieliśmy Dreszerowi o tym, że zdawałoby się nam pożądanym, aby do oficerskiego komitetu wykonawczego, który występuje w imieniu całego wojska, wchodził prócz oficerów przynajmniej także jeden delegat od żołnierzy. Wiedzieliśmy, że Dreszer sam do komitetu wykonawczego nie należy i że wpływy jego nie są tam bynajmniej tak duże, toteż poruszyliśmy tę myśl nie w postaci konkretnego projektu do wykonania, jeno pewnego ziarna do kiełkowania (poniekąd też dla wysondowania tej myśli u oficerów). Dreszer jednak wypowiedział się przeciwko ze względów elementarnych zasad wojskowych, wymagających bądź co bądź zachowania przedziału między oficerami a żołnierzami, aby na tym karność nie ucierpiała. Zaznaczył zwłaszcza, że Piłsudski jest temu przeciwny. Wprawdzie

nienormalnym i sprzecznym z duchem wojskowym jest sam fakt organizowania się politycznego żołnierzy, jak nienormalnym jest zresztą również polityczny komitet wykonawczy oficerski, to jednak jeżeli już w naszych, w samym założeniu nienormalnych warunkach wojskowości musimy się na to godzić, a nawet uznać za konieczne, przecież należy to ograniczyć do koniecznego minimum. Możliwe jest luźne porozumienie się organizacji żołnierskich z oficerską, ale nie ścisły związek organizacyjny, a zwłaszcza nie udział przedstawiciela żołnierzy w Komitecie wykonawczym, mającym prawo rozkazywania, obowiązującego całe wojsko. Sam Dreszer niezbyt mocno stał na tym stanowisku, ale powoływał się zwłaszcza na Piłsudskiego. Zrozumieliśmy z tego, że ta rzecz byłaby trudna do wykonania. W rozmowie z Dreszerem dowiedzieliśmy się jednej ciekawej rzeczy. Wyrażając żal z powodu nadmiaru optymistycznych prądów wśród oficerów i w Komitecie wykonawczym, Dreszer zaznaczył, że jednak radykalna myśl czynu bynajmniej nie została ubita i że wciąż kiełkuje i wyraża się w różnych kombinacjach; dlatego też Dreszer nie przestał jeszcze wierzyć, że myśl ta dojrzeje i sam dalszy rozwój wypadków wyłoni moment, kiedy ona do działania przyjdzie. Jako przykład zacytował nam Dreszer taki na przykład ciekawy i śmiały, choć konkretnie nie dość zważony pomysł, rzucony przez jednego z oficerów III pułku (czy nie dr Boguszewskiego): pomysł ten polega na tym, aby Niemcom, których sytuacja nie tylko politycznie, ale i na wojnie jest tak trudna, zadać cios ostateczny – „*coup de grace*” przez wkroczenie Legionów Polskich szybkim i nagłym ruchem na Litwę, obwołanie tam niepodległości Litwy i wywołanie powstania ludowego na Litwie. Jest to nie projekt, jeno rzucony pomysł surowy, trochę romantyczny, ale śmiały w rzucie, tchnący pewnymi analogiami do roku 1831, pomysł w każdym razie charakterystyczny dla ilustracji nastrojów kiełkujących w wojsku naszym; oparty on jest na tym, że gdy w r. 1831, kiedy chodziło o marsz na Litwę i wywołanie tam powstania, Rosja, przeciwko której to projektowano, była przynajmniej wewnątrz bezpieczną, to teraz Niemcy, trzymając w ręku Litwę, mają przed sobą front wojenny z linią obsadzoną przez milionowe wojska rosyjskie, wskutek czego powstanie na Litwie, poparte przez zaczyn Legionów, zagroziłoby ich tyłom, na które wszelka linia wojenna jest najwrażliwszą, i sekundowana uderzeniem Moskali z frontu mogłaby się skończyć wielką katastrofą niemiecką. Są to, powiadam, tylko pomysły surowe, ale samo przez się ich powstawanie jest rzeczą znamionną. Nazajutrz 27 maja w niedzielę pojechaliśmy z Zagłobą i Sztrauchem do Warszawy na zjazd delegatów rad żołnierskich, który wyznaczony był na godzinę trzecią po południu. Przepustkę dostałem od komendanta kompanii niby do Grochowa; przyjechałem z Zegrza do Warszawy, a mając prawo przejść za moją przepustką w Warszawie na Pradze ze stacji kolejki mareckiej na stację kolejki grochowskiej, dostałem się tą drogą na miasto i dalej już byłem spokojny, bo trudny jest tylko sam wjazd do miasta. W Warszawie odwiedzałem różnych znajomych, tak że na posiedzenie zjazdu spóźniłem się nieco, przyszedłem na godz. czwartą. Nie słyszałem już sprawozdań delegatów poszczególnych rad żołnierskich. Sprawozdania z kadry naszej w Zegrzu, które ja miałem złożyć, złożył Zagłoba. Obecni byli na zjeździe delegaci rad żołnierskich wszystkich pułków piechoty, prócz II i V, delegaci ułanów i artylerii. Przeważnie było po dwóch z każdego pułku. Z rady żołnierskiej I pułku piechoty byli Heller i Mielecki (ten ostatni bawił na zjeździe krótko). Ze znajomych moich spotkałem na zjeździe Łaszczyca-Olszamowskiego od ułanów, Malskiego z V pułku piechoty, Niemirę-Radomskiego z kadry III pułku od nas z Zegrza wraz z jego towarzyszem, który bywał z nim na naszych zebraniach, wreszcie starego Duglasa, który nie wiem jaką radę i oddział reprezentował, bo już nie jest w artylerii, jeno gdzieś przydzielony do jakiegoś technicznego oddziału w Warszawie. Z naszej kadry I pułku byliśmy my wszyscy

czterej: Zagłoba, Sztrauch, Wądołkowski i ja, zastrzegając, że jesteśmy w charakterze widzów, jak określał Zagłoba. Oprócz tego, był na zjeździe w charakterze jego uczestnika delegat P.O.W. (P.O.W. została dopuszczona do uczestnictwa uchwałą poprzedniego zjazdu) i przedstawiciel Departamentu Wojny, członek redakcji „Rządu i Wojska” Skwarczyński.

3 czerwca, rok 1917, niedziela

Wracam do niedzieli ubiegłej, 27 maja, a mianowicie do zjazdu delegatów rad żołnierskich. Gdym przyszedł na posiedzenie, sprawozdania delegatów z poszczególnych rad były ukończone i na porządku dziennym stał referat przedstawiciela Departamentu Wojny, Skwarczyńskiego, o sytuacji politycznej i bezpośrednio po nim sprawy organizacyjne. Referat Skwarczyńskiego nie zawierał nic osobliwego, powtarzał i ilustrował to, co jest powszechnie o polityce warszawskiej znane: jej niedołęstwo i beznadziejność. Jedno było tylko w tym referacie nowe dla mnie i ciekawe: to, co Skwarczyński opowiadał o rewolucji rosyjskiej na podstawie bezpośrednich informacji i faktów, przywiezionych ze Sztokholmu przez Kunowskiego, który jeździł z ramienia socjalistów (PPS) na konferencję socjalistyczną międzynarodową i jednocześnie z ramienia Rady Stanu dla porozumienia się z emigracją polską w Rosji. Zdaje się, że Kunowski dotarł nawet do Petersburga. Ciekawe jest to, że informacje te wykazują, iż rewolucja w Rosji nie została zainicjowana, jak to powszechnie za granicą sądzono, przez ambasadora angielskiego Buchanana, ani też przez Dumę Państwową (czy to przez jej blok postępowy, czy też przez jej komitet wykonawczy), lecz wyrosła z dołu, z ruchów zupełnie żywiołowych. Początek jej dały rozruchy głodowe w Petersburgu, pozbawione charakteru politycznego, a przynajmniej planowej myśli politycznej, a dopiero z nich wypłynęły pewne ruchy oddziałów wojskowych (gwardii tzw. wołyńskiej), które dały Dumie podstawę rewolucyjną i pchnęły ją na drogę przewrotu. Zresztą dłużej się nad tym zastanawiać nie będę. Wystarczy mi stwierdzić, że przykład przewrotu i rewolucji w Rosji, podobny zresztą w swym obliczu początkowym do wszystkich przewrotów i wybuchów rewolucyjnych, daje tym większą zasadę naszym twierdzeniom, że tylko rewolucyjny czyn, którego tajemnica leży dziś w Polsce w sercu i w ręku Legionów, może podźwignąć sprawę polską z tego niedołęstwa, w jakie zabrnęła polityka polska i że nie te niedołężne czynniki polityczne mają dziś wydać hasło dla czynu, mającego dokonać przewrotu, lecz że odwrotnie – rewolucyjny czyn, samorzutnie podjęty przez wojsko, może sforsować czynniki polityczne i zmusić je do decyzji, której z własnej gadaniny nie wysnują nigdy. Referat Skwarczyńskiego przeszedł bez dyskusji. Zjazd przystąpił do spraw organizacyjnych tworzonej centralizacji rad żołnierskich. Dla centralizacji tej ustalona została nazwa: Rada Żołnierska Legionów Polskich. Zasady organizacji tej rady opracowała komisja organizacyjna, wyłoniona na poprzednim zjeździe. Referentem komisji był Radomski. Komisja opracowała projekt krótkiej deklaracji zasadniczej, ustalającej elementarną i najgłębszą ideę tworzącej się organizacji wojskowej. Ideę tę można skreślić w słowach, że wojsko dążyć będzie do utworzenia w Polsce wolnego rządu i armii narodowej. Następnie komisja przedstawiła króciutki, w 4 -5 artykułach, projekt statutu Rady Żołnierskiej Legionów Polskich. Na zjeździe panował jednak nastrój, niechętny wszelkiemu formułowaniu deklaracji i statutów, wychodząc z założenia, że dążenia nasze i cel są wszystkim nam wiadome i że wojsku bawienie się w tego rodzaju papierowe uchwały nie przystoi. Deklarację więc odrzucono, statut zastąpiono krótkimi kilku słowami, sformułowanymi przez Łaszczyca-Olszamowskiego. Merytorycznie w sprawie wykonawczej władzy organizacji i w sprawie jej stosunku do oficerskiego komitetu wykonawczego Radomski zreferował o rezultacie porozumienia się z tymże

komitetem. Komitet, po pewnych wahaniach i wielu zastrzeżeniach, zgodził się na dopuszczenie do swego składu jednego przedstawiciela żołnierzy, wszakże pod warunkiem, że udział jego pozostanie tajnym zarówno dla ogółu oficerów, jak dla żołnierzy (nie tylko dla masy żołnierskiej, ale i dla rad żołnierskich). Za to Rada Żołnierska Legionów Polskich wraz z radami żołnierskimi poszczególnych pułków przyjmują obowiązek posłuszeństwa wobec postanowień tegoż komitetu wykonawczego. We wszystkich przemówieniach uczestników zjazdu i całym kierunkiem obrad wyrażało się jako zadanie Rady Żołnierskiej Legionów Polskich – „wytwarzanie gotowości” jako stanu potencjalnego, lecz bądź co bądź biernego, który sam nie organizuje i nie tworzy czynu, lecz czeka na hasło i rozkaz dla jego wykonania. Na tym polega zasadnicza różnica między ideą i stanowiskiem, na którym się organizuje Rada Żołnierska Legionów Polskich z poglądami naszymi (moimi, Zagłoby, Sztraucha) na to, co w istocie by robić należało. Ta bierna gotowość do czynu, a raczej „wytwarzania” tej gotowości na zawołanie polityków warszawskich czy tam pewnego ich obozu, zwanego aktywistycznym, na którego czele stoi Komendant Piłsudski, to była w swoim czasie idea organizacyjna wszystkich rad żołnierskich, a więc i naszej. Tylko że myśmy już z tej idei wyrosli i świadomi jej bankructwa, rozwiązaliśmy naszą radę. Myśmy, przynajmniej w kadrze I pułku, prędzej doszli do tej świadomości, niż inne rady żołnierskie. Przekonało nas o tym samo życie i doświadczenie, a wreszcie własna myśl nasza. Przede wszystkim przekonaliśmy się, że gotowość u nas jest zupełna i że przeto jakieś „wytwarzanie” jej jest zbędne. Warunki, w jakich znaleźliśmy się w pierwszej połowie maja w obozie ćwiczebnym, które nas zmusiły do przejścia od gotowości do akcji, następnie zawód w tej akcji doznany ze strony własnych oficerów i czynników kierowniczych politycznych z ramienia Piłsudskiego, dalej nasza inicjatywa czynu (marszu na Warszawę i obwołania Rządu Narodowego), któreśmy w wykonaniu opręć chcieli na Piłsudskim, wreszcie nade wszystko przekonanie się o niegotowości samego Piłsudskiego i o braku u niego woli czynnej i decyzji nie tylko na chwilę obecną, ale i na perspektywę jakiegoś wystąpienia czynnego w przyszłości, doprowadziły naszą myśl do energiczniejszej pracy, z której wynieśliśmy zupełnie określone wytyczne. Rady żołnierskie innych pułków doświadczenia tego nie miały. I świadomości tej nie nabyły. Pozostały one za nami w tyle. Żyją one wciąż ideą wytwarzania gotowości i wiarą, że w Warszawie kiełkuje wielka myśl czynu, która się organizuje w Piłsudskim i od której przyjdzie hasło pobudki, wytrąbionej ze złotego rogu. Tymczasem w Warszawie: „Zgubiłeś, wodzu, złoty róg – został ci się ino sznur”, że powiem słowami Wyspiańskiego. I w myśl tej wiary stają się oni dobrowolnie podnóżkami niedołącznej polityki, nie przeczuwając w niej próchna. Wierzę, że i ich także czeka podobne do naszego doświadczenie, które im otworzy oczy naprawdę, jak otworzyło je nam. Toteż w sercu witam te rady żołnierskie jako bratnią myśl, choć dziś są one jeszcze na błędnej, moim zdaniem, drodze. Ale muszą przejść przez ten czyściec próby i mękę doświadczenia, nim skrzydła swe do lotu czynnego rozwiną. Byle im przedtem wróg skrzydeł nie podciął, bo jeżeli chodzi o ostateczność, to on się na to zdecyduje i środki po temu znajdzie. Tymczasem jednak polityczny obóz Piłsudskiego w Warszawie triumfuje i udało mu się zrobić z rad żołnierskich posłuszny podnóżek jego polityki.

4 czerwca, rok 1917, poniedziałek

Kończę o zjeździe rad żołnierskich w Warszawie z niedzieli 27 maja. My, obecni na zjeździe z kadry I pułku piechoty w Zegrzu, zastrześliśmy się, że w powstającej centralizacji rad żołnierskich, czyli „Radzie Żołnierskiej Legionów Polskich”, formalnie uczestniczyć w charakterze członka nie będziemy, po prostu dlatego, że nie jesteśmy zorganizowani i że, o ile przynajmniej o nas osobiście chodzi, nie przyłożymy ręki do

wznowienia rady żołnierskiej u nas. Gotowości mamy aż nadto i na każde zawołanie; kiedy będzie chodziło o spełnienie czynu, możemy radę naszą wskrzesić spośród ludzi, którzy do niej poprzednio należeli. Nie zabraknie u nas gotowości ani organizacji, gdy chwila czynu nastanie. Dopóki ona jednak nie nastąpiła, uważaliśmy w naszych warunkach wznowienie rady nie tylko za zbyt ciężkie, lecz nawet za szkodliwe, a to z tego powodu, że nie mając możliwości wytwarzania gotowości, skoro ta już istnieje, rada z konieczności zaczęłaby się imać polityki i z łada powodu (okoliczności powodów nie szczędzą) zaczęłaby prowadzić jakąś „akcję”; przez to uprawiałaby czynności, które nie licują z wojskowością i zawsze są dla ducha wojskowego niebezpieczne, a jednocześnie nie osiągnęłaby nic w sferze politycznej, bo wojsko, nie będąc do polityki uzdolnione ani przystosowane, będzie źle politykowało i kompromitowało się w swojej akcji; będzie to z ujmą dla wojskowości i bez pożytku politycznego dla sprawy. Politykujące wojsko jest kiepskim wojskiem i jeszcze gorszym politykiem. Może ono spełnić czyn, który będzie miał znaczenie polityczne, ale nie uprawiać politykę właściwą. Niezdarna i bezowocna polityka, kompromitująca się na każdym kroku tak, jak się skompromitowała nasza ostatnia akcja w Zegrzu, jeno demoralizuje ludzi, bo rodzi w nich niewiarę w siebie i swoją działalność, spowoduje depresję i upadek energii, napełnia masę uczuciem zawodu i braku zaufania w siły własne. Lepiej żeby nie było żadnej akcji, niż zła akcja. Tą drogą zamiast narastania gotowości na moment istotnego czynu, groziłoby to nam rozkładem gotowości istniejącej. Wolimy zmagazynowaną energię utrzymać, niż ją na szwank narażać przez pozory działania i szafowanie sił wiary na jałowe spekulacje i zawody. Tak umotywowaliśmy naszą odmowę wznowienia rady żołnierskiej u nas, o co nas zjazd prosił. Natomiast zaznaczając, że sprzyjamy dążeniom Rady Żołnierskiej Legionów Polskich uznajemy akcje solidarności i porozumiewania się wzajemnego oraz informowania siebie nawzajem, pragniemy, bez wznawiania u nas rady, utrzymać nadal poufny z centralizacją rad kontakt i prosimy o pozwolenie korzystania z konspiracyjnych środków i dróg porozumiewania się. Uczestnicy zjazdu do końca nie zdołali się zorientować co do motywów naszej odmowy wznowienia rady, przypuszczając wciąż, że nie ochłonęliśmy jeszcze z wrażenia odmowy Piłsudskiego na nasz radykalny projekt z połowy maja i że za to przez nas tylko gorzko doznanego zawodu przemawia. Toteż nie przestawali nas nawoływać. Oświadczyliśmy, że choć jesteśmy na zjeździe tylko gośćmi, to jednak rozumiemy, że ciąży na nas z tytułu obecności na zjeździe obowiązek po powrocie do Zegrza zreferowania obrad i postanowień zjazdu ogółowi tych kolegów naszych, którzy dawniej naszą radę tworzyli. Obowiązek spełnimy i jeżeli się znajdą u nas ludzie – czego nie przesądzamy – którzy uznają potrzebę wznowienia naszej rady, to oczywiście ją wznowią. Chodzi tylko o to, że my sami jej nie wznowimy. Tak wypowiadaliśmy się Zagłoba, Sztrauch i ja. Wądołkowski nie wypowiadał się wcale, ale, zdaje się, był nieco innego od nas zdania. Zjazd powziął specjalną uchwałę, wzywającą kadrę I pułku piechoty do wznowienia rady żołnierskiej. Przedstawiciel rady żołnierskiej I pułku piechoty na zjeździe, Heller, zachowywał się przez cały czas zjazdu wobec jego uchwał z wielką rezerwą, przeważnie powstrzymując się od głosowania i odmawiając udziału w rozstrzygnięciu najbardziej zasadniczych postanowień zjazdu, stale zastrzegając wolną rękę do czasu zreferowania o tym swojej radzie. Zjazd był za to trochę urażony do Hellera, wyczuwając w jego rezerwie pewną uprzedzoną nieufność; parokrotnie dochodziło do lekkich scysji i zarzutów w stosunku Hellera do zjazdu i odwrotnie. Heller rezerwę swą uzasadniał tym, że rada żołnierska I pułku piechoty nie była obecna na poprzednim zjeździe, nie była należycie poinformowana i nie ustaliła jeszcze swojego stosunku do tworzącej się organizacji, wobec czego on nie decyduje się na samodzielne

przesądzanie. Przypuszczam, że rada żołnierska I pp., aczkolwiek przetrwała kryzys i nie rozwiązała się, jak nasza kadrowa, jednak dotąd nie doszła jeszcze do równowagi i nie ustaliła swojej busoli kierunku. Dokonane na zjeździe wybory do komitetu wykonawczego centralizacji dały rezultat dość marny. Wybrani zostali: Łaszczyc-Olszamowski z I pułku ułanów, Bagiński z artylerii i stary Duglas! Najlepszym z nich jest, o ile ich znam, Łaszczyc, ale już samo to, że do zarządu wszedł Duglas, człowiek niedołączny i niesamodzielny, niewolniczo posłuszny panom z Departamentu Wojny, w dodatku zamieszkały w Warszawie, więc który z konieczności będzie centralizować działalność zarządu, stanie się jednym z ciężkich ogniw całkowitego uzależnienia tej centralizacji od polityki, która chce ją sobie podporządkować. Charakterystyczne jest, że wybrany nie został Radomski, który był jednym z najczynniejszych na obu zjazdach, należał do komisji organizacyjnej, położył dużo pracy, wykazał energię i dzielność, dokonał też głównie tego układu z komitetem wykonawczym oficerskim, którego mocą przedstawiciel Rady Żołnierskiej Legionów Polskich będzie należał do tegoż komitetu i będzie współczynnym w naczelnej władzy organizacji wojskowej, mogącej całemu wojsku rozkazywać. Na Radomskiego przy wyborach padł jeden głos! Był to zapewne głos jego kolegi z III pułku. Wynieśliśmy wrażenie, że nie został wybrany tylko dlatego, że należy do III pułku. Pułki zbudowane na tradycjach Piłsudskiego chcą zachować monopol dla siebie i nie dopuścić intruzów z pułków, które tych tradycji nie mają. Jest to błąd, bo to zraża taki pułk III, a dziś w tym pułku kiełkuje myśl. Szkoda, bo Radomski jest jednym z najsamodzielniej myślących i dzielnych. Jest to jeszcze jeden dowód, że pułki dawnej I Brygady, a zwłaszcza jej najmocniejszy element piłsudczyków może się w pewnych warunkach stawiać narzędziem nie rewolucyjnego czynu bynajmniej, lecz właśnie hamulca.

Radomski nie zraził się tym jednak do dzieła. Zdaje się, że wybrany zarząd dokooptuje go. Nazajutrz, w poniedziałek 28 maja, miałem z nim już w Zegrzu rozmowę. Radomski przywiązuje wagę do centralizacji rad żołnierskich, ale grunt rzeczy chciałby ułożyć nie w tej, lecz w innej, nowej, organizacji, o której założeniu ze mną rozmawiał. Nosi się on od pewnego czasu z tą myślą. Byłaby to organizacja, służąca nie do wytwarzania gotowości, ale opierająca się już o gotowość i mająca przygotować i zorganizować sam czyn. Radomski chciałby tę organizację oprzeć na formach o charakterze masonsko-węglarskim, to znaczy bezwzględnie tajnym, wielostopniowym i zbudowanym na przysiędze. Mówiłem o tym z Zagłobą i Sztrauchem. Im i mnie się to podoba. Dotąd jednak nie zaczęło się to realizować.

5 czerwca, rok 1917, wtorek

Na wtorek 29 maja był zapowiedziany przyjazd Beselera do Zegrza. Beseler, jako ten, któremu, z woli nie narodu polskiego, lecz monarchów „wskrzesicieli” Polski, polecona została misja utworzenia polskiej siły zbrojnej, a więc nasz najwyższy przełożony, miał przyjechać dla obejrzenia naszego obozu ćwiczebnego po włączeniu rekrutów do kadry. Pobudka i kawa były wcześniej niż zwykle i o godzinie coś szóstej staliśmy już na zbiórce. Cała kadra naszego pułku stała już na placu. Wszystko się przygotowało na przybycie Beselera. Na tej uroczystości po raz pierwszy stanęła nasza kadra w całej swej organizacji zmobilizowana. Smutny to był dla nas widok. W naszych Legionach, choć należały one formalnie do armii austriackiej, byliśmy zawsze samymi sobą, byliśmy formacją czysto polską; przynajmniej w pułkach naszej dawnej I Brygady. Od szeregowca do pułkownika wszystko było swoje, nie widzieliśmy nad sobą obcych komendantów, prócz rzadkich uroczystych parad, kiedy się zjawiał jakiś wyższy komendant dywizji, korpusu lub armii, do której należeliśmy taktycznie. Raziło nas zawsze to, że tam jakiś komendant Legionów, jak Durski lub Puchalski, albo jakiś inny

oficer, nie bezpośredni nasz zwierzchnik w wewnętrznej formacji pułku, był oficerem austriackim, przydzielonym do Legionów. Uważaliśmy go za intruza i traktowaliśmy za obcego, gorsząc się narzucaniem nam tych obcych elementów. Byli to jednak zawsze Polacy. Tutaj jest gorzej. Kadra nasza jest jakąś formacją mieszaną, polsko- niemiecką. W każdej kompanii mamy obok naszego oficera i podoficerów – także oficera Niemca i podoficerów Niemców; są oni na poły instruktorami, na poły przełożonymi, chodzą w mundurach niemieckich, rażąc nasze oczy, i są przeważnie rodowitymi Niemcami; w niektórych kompaniach są oficerowie Austriacy; kilka jest kompanii, w których nie ma wcale oficera Polaka i których komendantem jest Niemiec w mundurze niemieckim lub Austriak. Już samo to, że maszerując na ćwiczenia nigdy nie maszerujemy sami, lecz zawsze mamy ze sobą kogoś z Niemców, jest dla nas przykre, przypomina to nam i ujaskrawia naszą zależność. W kancelariach komend wyższych jak w baonach i pułku (w kadrze) więcej Niemców, niż naszych legionistów. Ale dopiero na takiej paradzie, jak zeszłotorkowa, uzmysłowiła się należycie żołnierzom w całej jaskrawości ta mieszanina polsko-niemiecka, która cechuje budowę naszej kadry, mieszanina, której my jesteśmy podrzędną tłuszcą, podczas gdy Niemcy są właściwymi panami. W kompaniach jest to mniej widoczne. Ale w całości kadry element polski od razu spada do roli służebnej. Kadra pułku ustawiła się w formacji baonowej. Baon stał za baonem, kompanie wewnątrz każdego baonu na równej wysokości. Wszyscy trzej komendanci baonów – rodowici Niemcy, którzy ledwie umieją po polsku; są w mundurach niemieckich; komenda pada po polsku, ale akcentem i wymową obcą, językiem łamanym; komendant naczelny kadry pułku, major Kielbach, który rządzi całością i kieruje paradą – Niemiec, nie umiejący wcale po polsku; dokoła, w świetle komendantów – Niemcy; adiutanci – Niemcy; przy kompaniach, przy każdej – jakiś Niemiec lub Austriak, nasi oficerowie – tylko na podrzędnych stanowiskach skromnych komendantów kompanii; żadnej funkcji samodzielniejszej w ręku naszego oficera; w świetle Kielbacha, w gromadce Niemców skromnie toną trzej najwyżsi z naszych oficerów w kadrze – major Fabrycy i kapitanowie Scaevola-Wieczorkiewicz i Piskor, przydzieleni bez funkcji – w upokarzającej roli *a'la suite*. Beseler nie przyjechał. Skończyło się na przyjęciu raportu przez Kielbacha i dokonaniu przezeń przeglądu. To jednak pogładowe uzmysłowienie przewagi niemieckiej w kadrze podziało drażniąco na naszych żołnierzy; wszyscy wyczuli boleśnie nasze upokorzenie; pewien nastrój nerwowy ogarnął naszych żołnierzy; dla rekrutów także takie widowisko nie jest dodatnim: w ich pojęciu to wojsko od razu się krystalizuje w postaci polsko-niemieckiej kombinacji; nie byli oni jeszcze w pułku, nie widzieli Legionów w ich postaci rzeczywistej, bez protektorów niemieckich; jedni z nich oswajają się z polsko-niemiecką budową wojska, inni – gorszą się tym i w sercu ich budzi się zwątpienie, czy też istotnie polskim jest wojsko, do którego wciągnięci zostali. Wśród starych żołnierzy budzić się zaczął odruch protestu; przypomniano sobie o niedawnych podaniach o zwolnienia z Legionów (z dnia 8 maja), umorzonych głucho przez oportunistyczny bezwład oficerów, gdzieś tam zaczęła myśleć o ponownym stawianiu do raportu z żądaniem nadania konsekwencji owym podaniom sprzed paru tygodni. Tegoż dnia wieczorem zgłosili się do mnie z III kompanii naszej kadry Bieniak i Spychała; dwaj starzy żołnierze z I kompanii liniowej, by się w tej sprawie ze mną, jako jednym z kierowników akcji żołnierskiej, poradzić. Musiałem ich od tej myśli, jako wznawiającej jałowe i skazane z góry na zawód politykowanie, odwieść i zarazem przedstawić całą sytuację upadku rady żołnierskiej, połowiczności Piłsudskiego i tych perspektyw już nie gotowości, lecz bezpośrednio czynu, które, moim zdaniem, będą musiały się wyłonić z dalszego rozwoju wypadków.

Nazajutrz, we środę 30 maja, Zagłoba, Sztrauch, Wądołkowski i ja, którzyśmy w niedzielę byli na zjeździe Rady Żołnierskiej Legionów Polskich, zwołaliśmy wieczorkiem w polu przy szosie na Jabłonną zebranie byłych członków naszej rady żołnierskiej dla zdania im sprawy ze zjazdu. Obecni byli przeważnie członkowie z III baonu i poniekąd II; z naszego baonu nie był nikt prócz mnie. Zaprosiliśmy też Radomskiego na zebranie. Po zreferowaniu o zjeździe Zagłoba, Sztrauch i ja wypowiadaliśmy się przeciwko wznowieniu naszej rady, motywując tak, jakeśmy motywowali na zjeździe. Radomski doradzał wznowienie rady, uważając sam fakt istnienia organizacji za dodatni. Spośród innych obecnych mało się kto wypowiadał. Tylko Wądołkowski i ktoś jeszcze, którego nazwiska nie znam, przemawiali na rzecz wznowienia rady. Ten gość drugi pojmował radę jako gasicielkę radykalnych nastrojów w masie żołnierskiej i tym uzasadniał jej potrzebę. Wądołkowski zaś stawiał rzecz połowicznie i zalecał wznowienie nie tyle rady w jej dawnym zakresie zadań, ile jakiegoś stowarzyszenia o zakresie zadań biura informacyjnego, które by pozostawało w stałym kontakcie z centralną Radą Żołnierską Legionów Polskich. Zebranie nie doprowadziło do żadnego porozumienia.

6 czerwca, rok 1917, środa

Cofam się jeszcze do początków ubiegłego tygodnia, ale już dziś mówić będę nie o polityczno-żołnierskich sprawach, lecz o wewnętrznych stosunkach naszych. Trzeba przyznać, że w oddziaływaniu na rekrutów, zwłaszcza w sferze poziomu moralnego i wytwarzania zalet honoru, gotowości, a nieraz i obowiązkowości, największą szkodę stanowią ci, którzy zostali tu powołani właśnie na instruktorów i pedagogów rekruta – to znaczy starzy żołnierze. Przy wydzielaniu ich z pułku nie kierowano się właściwie żadnymi kryteriami; wydzielenie ludzi z pułku do kadry dokonało się tak nagle i w warunkach tak nienormalnych, w pewnym oszołomieniu, sprawionym przez zaskoczenie nas tym rozkazem, że rzecz ta nie została wykonana planowo; uwaga była w pułku zwrócona nie na kwestię doboru ludzi do kadry, lecz na niebezpieczeństwo odseparowania Królewaków od Galicjan; to zajmowało wszystkich i nad tym się tylko zastanawiano. Dobór ludzi w kadrze okazał się zupełnie przypadkowym, nie zastosowanym do potrzeb; zresztą zastrzeżenie o wydzieleniu samych Królewaków z góry ograniczało możliwość dobrego doboru, tym bardziej, że najlepsi instruktorowie i nieraz najmorowisi ludzie, najstarsi i najmocniejsi ideowo wiarusi, przeważnie należeli u nas do Galicjan i jako tacy byli z góry od tego przydziału wykluczeni. Następnie okazało się także, że na tę ilość rekrutów, która przybyła, starych żołnierzy w roli instruktorów jest za dużo. Obecnie na przykład w naszej kompanii pozostało rekrutów już tylko trzydziestu kilku, z czego na każde kapralstwo (kapralstw tych jest 6) wypada od 5 do 7 rekrutów, starych żołnierzy zaś, nie licząc podoficerów, jest koło 20, na kapralstwo zaś wypada po 3-4. Na malutkie kapralstwo rekruckie jest to stanowczo za dużo, nawet na ćwiczeniach, a tym bardziej w koszarach. Właściwie tylko komendant kapralstwa i co najwyżej zastępca mają coś do robienia i w zupełności by wystarczyli. Reszta jest zupełnie zbyteczna i ma swej bezużyteczności poczucie, co ją tylko demoralizuje. Wytworzyła się z tych starych żołnierzy pewnego rodzaju banda darmozjadów, którzy nic nie mają do robienia i nic nie robią, jeno obijają się bez celu, usiłują dorwać się do urlopów, są zniechęceni przez swoją bezużyteczność, rozgoryczeni, słowem – do niczego. Ich gawędy, żale, utajone zawiści i pretensje, rozgoryczenie, które się lada czym podnieca i otwarcie głosi, wywiera zły wpływ na rekrutów, którzy tego słuchają i w myśli dopowiadają sobie wiele więcej, niż to, co się mówi otwarcie. W kapralstwach są oni tylko kulą u nogi komendanta kapralstwa, któremu nie dają żadnej moralnej mocy, jeno psują jego dzieło. Te rozmaite gawędy,

które nie psują starego żołnierza, skryształizowanego w swojej indywidualności, są nieraz trującą dla wrażliwego rekruta. Tego większość starych żołnierzy nie pojmuje i nie czuje zgola. Im się zdaje, że rekruta można trzymać tylko ślepa dyscypliną i tylko tym wyłącznie wyrobić zeń dobrego żołnierza. Karność i wymaganie ślepego posłuszeństwa i bezwzględnej obowiązkowości mają ogromne znaczenie i są wprost konieczne, ale nie są wszystkim. Rekrut jest materiałem wrażliwym. To, co starego nie zachwieje, to rekruta może zdemoralizować. Naszym starym żołnierzom zdaje się, że im więcej będą pleść, kłąć, udawać lekceważenie wszystkiego, tym bardziej zaimponują rekrutowi, gdy tymczasem rekrut wyciąga z tego wnioski własne i demoralizuje się. Już to pedagogzy z naszym żołnierzem są żadni. Na ćwiczeniach nie ma korzyści z nadmiaru starych. Kilku jest dobrych instruktorów, ale nie brak też łafermów do niczego, którzy tłuką się po obozie ćwiczebnym, placu ćwiczeń i koszarach jak błędne owce. Najgorsze jest jednak to, że niektórzy ze starych żołnierzy, dorwawszy się do władzy nad rekrutami, a nie dojrzały do pojęcia odpowiedzialności za władzę, nie tylko kierują się własnym widzimisię, co jest u nas, niestety, prawie że powszechnym, ale jeszcze nadużywają jej, wprowadzając faworytyzm, nierówne traktowanie podwładnych, przyjmując od rekrutów fundy itd. Co do tego ostatniego, to większość starych żołnierzy, posiadających funkcje, wystrzega się przyjmowania podarków od rekrutów, ale faworytyzm i nierówne traktowanie, zależne od osobistych sympatii, jest bardzo częste. A trafiają się i tacy, co bezpośrednio przyjmują podarki i ugoszczenia. Taki fakt zdarzył się w naszej kompanii przed 10 dniami. Zastępcą komendanta w I kapralstwie był Duda, który faktycznie był komendantem (ponieważ komendant kapral Kębłowski, jako podoficer mieszkający osobno, jest faktycznie od swego kapralstwa daleki). Duda, chłopiec mało inteligentny, ale zarozumiały, uparty, pełny kaprysów i chciwy władzy, lubił udawać wobec podwładnych wielkiego pana i władzę; rządził się w kapralstwie z fantazją, miał dobre chęci zapewne, ale przede wszystkim chodziło mu o afekt władzy swojej. W kapralstwie tym jest kilku chłopców z większym temperamentem i posiadających pieniądze; ci, dość sprytni, zaczęli Dudzie schlebiać, zbliżać się do niego, fundować mu, zapraszać na biby; doszło do tego, że w niedzielę w dniu Zielonych Świątek, przepili i przejedli z Dudą na śniadanku aż 40 marek naraz pieniędzy rekruckich, co na nasze stosunki żołnierskie jest sumą ogromną; Duda wciągnął też do tego Nosarzewskiego, zastępcę komendanta III kapralstwa, chłopca bardzo zacnego, ideowego, ale jeszcze przede wszystkim bardzo młodego; potem Duda i Nosarzewski wraz z tymi kilku uprzywilejowanymi rekrutami wyszli gdzieś na spacer i zabawę bez przepustek i nie wrócili wcale na apel wieczorny, aż dopiero gdzieś w nocy, co się wykryło. Odebrano za to Dudzie i Nosarzewskiemu funkcje i ukarano aresztem koszarowym. Takie fakty, które przeważnie z dziecinnej niedojrzałości pochodzą, szkodzą bardzo wyrobieniu rekrutów. Ogół rekrutów widzi to, obserwuje i wyciąga wnioski, często gorsze, niż w istocie była rzecz sama. Wytwarza to nierówność wśród rekrutów, brak koleżeństwa, poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, budzi instynkty pochlebstwa, niewiarę do przełożonych i podważa w zasadzie całą moralną spójnię współzycia, na której się kształtują zalety honoru, godności, uczciwości itd. Rekruci nasi, którzy są jeszcze materiałem surowym, mało spójnym i bardzo wrażliwym, bardzo łatwo ulegają chwiejności i demoralizacji. W dobrym ręku i w dobrych warunkach może być z tej surowej gliny doskonała cegła żołnierza i człowieka, ale równie łatwo może się to rozsypywać i zniekształcać. Rekruci zaledwie jeszcze wytwarzają środowisko; przeważnie są jeszcze dotąd luźnym zlepkiem jednostek. Dyscyplina zbiorowa, zmysł solidarności, ciągłość moralna środowiska – dopiero zaczynają kiełkować. W moim VI kapralstwie stosunki bodajże najlepiej się układają, bo też ja dużo nad tym pracuję i z radością widzę owoce pracy z dnia na dzień. W pierwszych 10

dniach z pierwotnej masy rekrutów sporo ubyło; słabsi i chorzy zostali pozwalniani do domu; w moim kapralstwie w dniu 30 maja we środę zostało tylko pięciu z 19 rekrutów, których miałem w kapralstwie, trzech zostało zwolnionych i odjechało (Fast, Klembowski, bardzo miły chłopczyk, i Fuchs, wszyscy trzej – Żydzi), trzech przeniesiono do III pułku (Skoczylas, Wesołowski i Cywiński – ten ostatni dobry materiał) i dwóch odeszło do szpitala (Rudziński i Janiszewski). Zostało tylko pięciu: Szywiak, Mioduszewski, Dygasiewicz, Szczygielski i Skuza. Zato ci, co zostali, to najlepszy materiał. Z przyjemnością mogę stwierdzić, że żaden z nich nie wstąpił do wojska wyłącznie z głodu i braku zarobku. Wszyscy są mniej lub więcej ideowi, moralnie stateczni. Do wstąpienia do wojska skłoniły ich różne względy, ale zawsze natury idealnej: albo idea, albo pewien temperament, romantyzm itp. Zresztą nie tylko u mnie, lecz we wszystkich kapralstwach i kompaniach zaczęła się dokonywać selekcja; im więcej ludzi ubywało, tym lepszy pozostawał element. Po odpłynięciu pierwszej fali tych, co byli zwolnieni do domu, przyszła fala odpływu dezercji. Jeden za drugim zaczęli co dzień i co noc uciekać w pojedynkę rekruci, najmniej wytrwali moralnie i ideowo najslabsi, najprędzej ulegający demoralizacji.

7 czerwca, rok 1917, czwartek

Ubiegły tydzień zaznaczył się wielkim topnieniem rekrutów. Za pierwszą falą odpływu zwolnionych z powodu słabości i choroby poszła druga fala odpływu dezercji. Prawie co wieczór brakło kogoś przy apelu i już ten ktoś nie powracał wcale na noc i nazajutrz podawało się go za dezercera. Rekrutów, spośród których większość przyjeżdżała do wojska bądź co bądź z dobrą chęcią, poniekąd nawet z gorliwością w sercu i zapałem, pierwsze dni pobytu w kadrze rozczerowały od razu. Wpłynęło na to dużo czynników: złe odżywianie, zbyt ostre przejście od warunków rodzinnego życia w domu do warunków dyscypliny wojskowej w koszarach, reakcja nieoswojonej z rygiorem natury, czasem złe obchodzenie się ze strony starych żołnierzy, wreszcie owe jaskrawe uzależnienie kadry wojska polskiego od czynników niemieckich. Dla wielu ten obóz ćwiczebny mógł się wydać jakimś piekłem i takim zapewne w ich pamięci na zawsze pozostanie. Wszystko, co słabsze i lichsze, mniej wytrwałe i bardziej nerwowe, zaczęło marzyć o jednym: o wyrwaniu się stąd za wszelką cenę. Do tego dodać należy to, że jednostkom brakło ostoji w środowisku; środowiska bowiem jeszcze nie było, jeno przygodny zlepek chłopców obcych, nie znających się, nieużytych. Wśród najpierwszych zaczęli odpadać Żydzi. Ilość Żydów była na razie wśród rekrutów duża, ale zaczęła rychło w bardzo szybkim tempie spadać i topnieć (dziś pozostało w naszej kompanii: Baumflek w V kapralstwie i Skuza w moim; zresztą bardzo wielu Żydów wydzielono od nas do III pułku). Chłopcy nerwowi albo rozpieszczeni w domu, łatwo zrażający się zaczęli, gdy już lekarz pozwalał to, co słabsze, uciekać na własną rękę. Zaczęło się od rzadkich sporadycznych wypadków ucieczki, ale przeszło to w rodzaj prawie że masowego ruchu. Dezercja zaczęła przybierać postać epidemii. Na pozostałych, a już zachwianych, przykłady ciągłych ucieczek zaczęły działać zaraźliwie. Co noc i co dzień rano powtarzano sobie jako nową sensację ucieczkę tego lub owego rekruta ze swojej albo z której z sąsiednich kompanii. O wypadkach tych szeptało się do ucha po kątach, omawiano szanse wykonania i powodzenia ucieczki, w ogóle interesowano się tym bardzo. To podniecało pragnienie wyzwolenia; zarazem bezkarność dezercji rozzuchwalała pozostałych i marzących o niej. Nikogo z dezercji nie złapano na miejscu; nikt z rekrutów nie widział kary, spełnionej na dezercerze; o pojmaniu kogoś z nich gdzieś w dalszych stronach i o skutkach, jakie to może mieć dla nich, nic nie słyszano. Oswajano się z dezercją i traktowano ją za rzecz łatwo wykonalną i nie niebezpieczną, tym bardziej, że rekruci nie są jeszcze

zaprzysiężeni i nie należą jeszcze w ścisłym znaczeniu do stanu wojskowego i że przeto ich ucieczka nie jest jeszcze właściwą wojenną zbrodnią dezercji. Uciekali rekruci ze wszystkich kompanii. Z naszej kompanii uciekło wpierw dwóch pojedynczo, każdy osobno, a już w przyszłym tygodniu „zwiąło” pewnego wieczora (w nocy z 31 maja na 1 czerwca) naraz dwóch (Wodziński i Mitlaszewski), nazajutrz znowu na noc dwóch (Kolwicz i Żebrowski). Ta epidemia dezercji i wrażenie sprawiane przez nią na surowe umysły rekrutów działały bardzo demoralizująco na nastrój. Do demoralizacji przyczyniały się oprócz tych czynników psychicznych jeszcze takie, nie mniej silnie działające, jak osłabienie ćwiczeniami i upałem oraz nade wszystko złe odżywianie żołnierza. To ostatnie działało wręcz fatalnie na rekrutów. Bo też istotnie wikt tu jest strasznie nędzny, stanowczo niewystarczający dla utrzymania sił, wkraczający już bardzo poważnie w granice głodu. A właśnie w połowie zeszłego tygodnia wikt doszedł do ostatecznych granic pogorszenia się. W zeszły czwartek 31 maja, po paru dniach bardzo rzadkiego obiadu, złożonego prawie co dzień z wodnistej kwaskowatej polewki z brukwią (dla mnie osobiście bardzo smacznej, ale przez żołnierzy znienawidzonej i stanowczo nie posilnej), gdy się dowiedziano, że na obiad ma być znowu brukiew, wybuchł w naszym baonie strajk głodowy. Inicjatywa poszła z III kompanii, która tu w kadrze jest, zdaje się, najradykałniejsza pod wieloma względami. Wszystkie kompanie w naszym baonie odmówiły brania obiadu. Wdali się w to nasi oficerowie, zainteresowali, zażądali, abyśmy obiad wzięli i obiecali ze swej strony zwrócić się do komendanta batalionu, kapitana niemieckiego, by znaleźć jakąś radę na poprawę wikt. Ze sprawą zaprowiantowania i wyżywienia łączy się też sprawa kantyny, o której osobno pomówię jeszcze, bo w parę dni później sprawa ta doprowadziła do nowych zamieszek u nas i żywiołowego wybuchu. Ten „strajk głodowy” z dnia 31 maja ustał w pół godziny, na skutek interwencji naszych oficerów. Obiad wzięto. Nazajutrz czy tegoż dnia oficerowie nasi istotnie zwrócili się w tej sprawie do komendanta baonu, ale formalnie nic nie wskórali, bo jeno nałykali się wstydu. Kapitan niemiecki czy też bodaj sam Kielbach oświadczył, że nic poradzić nie może, bo to jest konieczność tej ciężkiej wojny i że sami żołnierze niemieccy są nie lepiej odżywiani; dodał kilka gorzkich pigułek na ten temat, że cóż on może poradzić, jeżeli sami oficerowie polscy nie mogą dać sobie rady z rekrutami i że jeżeli innej rady nie ma, to przecież on nie trzyma gwałtem ani oficerów, ani rekrutów polskich, ani samej armii polskiej, która może sobie być albo nie być. Nazajutrz po tej próbie głodówki wikt, wbrew naszemu oczekiwaniu, nie polepszył się, a nawet raczej się pogorszył. Pomimo to wszakże po kilku dniach wyżywienie się znacznie poprawiło, zwłaszcza od niedzieli i aż dotychczas. Obiady są gęstsze, posilniejsze, porcje większe. Najcięższy jest tylko brak chleba (po 1 funcie na żołnierza na dzień). I to wyżywienie jest jednym z najbardziej demoralizujących momentów w wojsku. Głód jest nieprzyjacielem wszelkiej karności, obowiązkowości, godności żołnierskiej, nawet ideowości. Głodny człowiek nie będzie dobrze ćwiczyć i nie zechce. Najlepsi rekruci, jak taki Szywiak w moim kapralstwie, stają się pod wpływem chronicznego głodu posępni, niechętni do niczego, patrzący spode łba jak złośliwe drapieżniki. Ustaje na nich wszelki wpływ moralny i ideowy. Trudno ich ćwiczyć, niepodobna oddziaływać. Ręce po prostu opadają w poczuciu bezsilności. A do tego jeszcze ciągle gawędy starszych żołnierzy, ich narzekanie, wymyślanie na wojsko i los, na Niemców i głód przyczyniają się do tym większego podrażnienia znerwowanych i pełnych zawodu głodnych rekrutów. Poprawienie się względnie wikt w tygodniu bieżącym ukoili nieco te ostre nastroje. Dezercje też ustawać zaczęły, a w naszej kompanii ustały zupełnie. Wszystko, co lichsze i moralnie słabsze, już zwiąło lub zostało zwolnione. To, co pozostało, to był element lepszy, trwalszy, o mocniejszym podłożu ideowym lub temperamentie i duchu ryzyka, odwagi, woli i inicjatywy. Ten

surowy materiał przez ubytek słabszych i chwiejnych elementów zaczął krzepnąć i wreszcie istotnie w wojsko się przetwarzać. Zaczęło się też stopniowo wytwarzać środowisko koleżeńskie, wiążące ludzi w całość solidarną, współczującą, posiadającą własne stosunki, własny zmysł zbiorowy czucia, własny świat interesów, nastrojów, dążeń i spraw bieżących.

8 czerwca, rok 1917, piątek

Wciąż jestem opóźniony o tydzień. Mam sobie wynotowane w notesie, co na każdy dzień mam do dziennika. Podług tego pisać będę:

Dzień 1 czerwca, piątek. Wyplata żołdu. Dzień z tego tytułu w stosunkach żołnierskich wybitny i radosny. Dzień, w którym wszyscy są syci i humory dobre, a animusz dopisuje. Każdy w tym dniu ma chleba do syta i papieros na zawołanie w ustach. Dzień, który się powtarza trzy razy na miesiąc, święteczniejszy od niedzieli. Niejeden oprócz chleba ma w tym dniu ser, masło, jaja itp. artykuły spożywcze, które są ucztą dla żołnierza. W dniu żołdu otucha wstępuje w serca rekrutów. Niestety – krótko trwa ten dostatek, bo wobec cen dzisiejszych, gdy funt chleba, prywatnie kupiony, kosztuje 1 markę 20 fenigów, funt sera wiejskiego – 2 marki, funt masła – 6 marek, jajko – 25-30 fenigów, żołd wynoszący dla szeregowca 5 marek 20 fenigów jest kroplą wody dla spragnionego na pustyni (trzeba przecież coś i na papierosy odłożyć i trochę na inne wydatki, jak papier do listów, jak bajecznie drogie mydło, pranie itd.). Za niedobór chleba przy fasunku dopłacają nam w Zegrzu po 55 fenigów (*sic!*) za dekadę, co ma pokryć niedobór, zdaje się, po ½ funta chleba dziennie, kiedy w istocie za całe 55 fenigów jednego pół funta chleba nie kupi. Co do mnie, to biorę obecnie żołd starszego żołnierza w kwocie 6 marek 30 fenigów oprócz dodatku za chleb; jest to różnica znikoma – o 1 markę więcej od szeregowca; żebym to już kapralem został, to bym brał po kilkanaście marek żołdu; zawsze to coś więcej! Podobno nominacje są spodziewane w prędkim czasie, ale czy co z tego będzie...

Wieczorem tegoż dnia wyszedłem z kilku rekrutami mojego i V kapralstwa na spacer. Rekruci kupowali chleb w sklepach (przy koszarach, po drugiej stronie toru kolejowego, jest mała osada pod nazwą Zagroby, w której są sklepiki spożywcze, obliczone prawie wyłącznie na klientelę żołnierską, względnie dawniej na klientelę Warszawiaków, przyjeżdżających latem na wycieczki wiejskie); stamtąd poszliśmy w kierunku Narwi z zamiarem użycia kąpieli. W samej Narwi kąpać się zabroniono, a zresztą obawiałem się o rekrutów, aby nie utonęli. Nie dochodząc do Narwi, znaleźliśmy na prawo od szosy między dwoma długimi półkolistymi nasypami – rodzaj dużej sadzawki czy jeziorka z wodą pochodzącą może od wiosennego wylewu rzeki. Przebraliśmy się na łące i wykąpaliliśmy się. Kąpiel mieliśmy doskonałą; jeziorko okazało się bardzo głębokie, miejsca do pływania dużo, mogłem sobie użyć mego ulubionego sportu, którego od 9 lat nie używałem wcale, bo się kąpałem po raz ostatni w roku 1914 przed wojną (bodajże na wyspie Korfu w morzu podczas podróży z rodziną). Nie wiedziałem, czy może nie zapomniałem pływać; obawa okazała się próżną; pływania się nie zapomina. Kąpiel sprawiła mi przyjemność wielką. Kąpał się ze mną rekrut Szywiak i Szczygieski oraz z I kapralstwa rekrut Lemieszek, pływak dobry. Nazajutrz powtórzyliśmy tę kąpiel, uzupełniając ją przechadzką wzdłuż Narwi; widoczki nad Narwią śliczne, na rzece ruch: płyną wielkie płyty drzewa do Prus z lasów guberni grodzieńskiej, wycinanych forsownie przez Niemców. Widok piękny, ale żal. Tegoż dnia 1 czerwca rozeszły się wieczorem pogłoski polityczne alarmujące o tym, że między Niemcami a Austrią rośnie konflikt, dochodzący do ostrego krytycznego napięcia. Podobno są bardzo kateryczne tendencje w Austrii do zerwania z Niemcami i przeciwstawienia się im, wchodząc natomiast w ugodę z Rosją. Powiadają, że Austria

na granicy niemieckiej Czech i Śląska buduje forsownie okopy, na froncie zaś rosyjskim między pozycjami rosyjskimi i austriackimi jest ciągły ożywiony kontakt i są tam jakieś konszachty, toczą się rokowania tajne, nawiązuje się bezpośrednie porozumienie. Ile w tym prawdy – nie wiem. Wieści te pochodzą od tych, którzy przyjechali z urlopów z okupacji austriackiej gdzieś od strony Kielc i Dąbrowy. Podobno wojskowi austriaccy w części Królestwa zajętej przez Austrię mówią zupełnie otwarcie o rychłej wojnie z Niemcami. Z pewnością w tych pogłoskach jest lwią część nieodpowiedzialnych plotek, ale niemniej musi być w nich jakieś na dnie ziarno prawdy. Czy tylko ów flirt narodowy Austrii z Rosją z pozorami wymachiwania szabelką przeciwko Niemcom nie jest zainscenizowany zakulisowo przez same Niemcy, spragnione pokoju i czepiające się wszelkich spekulacyjnych kombinacji, aby tylko wybrnąć z wojny. Zaczynają też przebąkiwać znowu o zamiarze Niemców rozbicia Legionów.

Dzień 2 czerwca, sobota. Zapoczątkowana została próba wznowienia rady żołnierskiej. Inicjatywę w tym kierunku podjął, o ile mi wiadomo, Radomski wraz z garstką tych kilku członków dawnej rady, z Wądołkowskim w ich liczbie, który od czasu ostatniego zjazdu rad żołnierskich w Warszawie uważali za potrzebne wskrzesić naszą radę. Gdy się okazało, że członkowie dawnej rady w ogromnej większości są niechętni jej wznowieniu, inicjatorowie zwrócili się do nowych ludzi po baonach i kompaniach. Myśl ta znalazła posłuch. 1 czerwca inicjatorowie wraz z dobranymi ludźmi urządzili małe zebranko porozumiewawcze. Z naszej kompanii wciągnięty został do tego kapral Kębłowski. Narada inicjatorów, znając nasze zastrzeżenia przeciwko wznowieniu rady i godząc się zasadniczo na nie, w szczególności w sprawie owego „wytwarzania gotowości”, postanowiła nadać na razie wznowionej radzie charakter biura informacyjnego. Postanowiono też, co było ze strony inicjatorów wielką i bardzo śmiałą innowacją, nadać wznowionej radzie żołnierskiej charakter jawny, oparty o masę żołnierską, reprezentacyjny. Zdecydowano się na to ze względu właśnie na ten nie tyle polityczny, ile informacyjny charakter wznowionej rady. Nazajutrz więc 2 czerwca odbyły się po kompaniach ogólne zebrania starych żołnierzy dla omówienia tej sprawy i ewentualnego wybrania delegatów do batalionu na organizacyjne zebranie rady. My, żołnierze I kompanii, zebraliśmy się w izbie podoficerskiej, w której kwaterują nasi kaprale. Obecni byli prawie wszyscy starzy żołnierze; nie brał jednak udziału w zebraniu sierżant Krzymowski, którego, zdaje się, wcale nawet nie zaproszono. Przewodniczył Nosarzewski. Kębłowski zagaił zebranie. Wszyscy czekali wyjaśnień ode mnie, wiedząc, że brałem udział w poprzedniej radzie żołnierskiej i licząc mię za najlepiej poinformowanego; interesowało ich też to, o czym już słyszeli, dlaczego dawna rada żołnierska została rozwiązana. Zabrałem głos i w dłuższym przemówieniu wyłożyłem im dzieje dawnej rady żołnierskiej, kryzys ostatnich czasów, projekt marszu na Warszawę, naszą wizytę u Piłsudskiego, doznany zawód i upadek rady, ostatnie zjazdy delegatów pułkowych rad żołnierskich i genezę Rady Żołnierskiej Legionów Polskich. Omówiłem też owe hasło „wytwarzania gotowości” i przedstawiłem motywy, które nas od wznowienia rady żołnierskiej wstrzymują. Słuchano pilnie i ciekawie. Nastrój zebrania był przeciwny „wytwarzaniu gotowości” i stanął pod sztandarem racji usiłowań pchnięcia centralizacji rad żołnierskich na drogę wytwarzania samego czynu. Postanowiono jednak delegatów do mającej się tworzyć rady wybrać. Chciano wydelegować mnie, ale odmówiłem kategorycznie. Wysłano Kębłowskiego i Nosarzewskiego. Kto wie, czy oparcie wznowionej rady żołnierskiej bezpośrednio o masę nie napelni jej prądem tak radykalnym, że hasło „wytwarzania gotowości” zostanie sforsowane. Masa jest zwykle radykalniejsza od swych przywódców.

9 czerwca, rok 1917, sobota

Kronika następnych dni.

Dzień 3 czerwca, niedziela. W związku ze złym wyżywieniem żołnierzy stoi sprawa kantyny. Kantyna, gdzie żołnierz może dostać najpotrzebniejszych rzeczy za tańszą cenę, bez ulegania wyzyskowi spekulacyjnemu, jest w wojsku jedną z najważniejszych podstaw dobrego utrzymania żołnierzy; szczególnie zaś teraz, kiedy wyżywienie jest nędzne, a ceny na wszystko tak szalone, że wobec nich kwota żołdu zakrawa na ironię. Podług regulaminów niemieckich, które są stosowane obecnie i w polskim wojsku, kantyna musi być w każdym batalionie; na założenie jej w czasie wojny udziela się z kasy państwowej kredyt do wysokości 1000 marek, zwrotnych po wojnie. Już w Zambrowie założono w naszym pułku po kantynie na każdy batalion. Tymczasem tu w Zegrzu kadra nasza żadnej kantyny swojej nie ma. Zastaliśmy tu tylko kantynę niemiecką, w której oczywiście nie mogliśmy mieć udziału w kierownictwie; kantyna ta sprzedawała niektóre artykuły taniej, ale tylko Niemcom, nie nam, niektóre zaś artykuły, jak piwo, sprzedawała wyłącznie Niemcom. Czuliśmy się naturalnie pokrzywdzeni. Nasze wieczyste niedołęstwo, brak organizacyjności, zresztą zużytkowanie znacznej części energii i uwagi na inne dziedziny warunków i okoliczności naszego życia sprawiły, że nikt u nas ani z kół oficerskich, ani z masy żołnierskiej nie zajął się sprawą kantyny. Narzekano dużo, ale nie przedsięwzięto nic, jak to u nas najczęściej bywa. Trzeba dopiero ostateczności lub jakiegoś osobliwego wypadku, żeby rzecz jakaś, dawno dojrzała w potrzebach, zaczęła być realizowana. W pierwszych paru tygodniach pobytu w Zegrzu powstała u nas komisja menażowa żołnierska, złożona z delegatów z kompanii (z naszej kompanii wybrany był do komisji Godlewski); komisja ta mogła prócz kontroli nad kuchnią przejąć inicjatywę także w sprawie kantyny; tymczasem komisja ta, po kilku jałowych zebraniach, świecących pustką, przestała całkiem funkcjonować. W sobotę 2 czerwca dowiedzieliśmy się, że nawet ta jedyna niemiecka kantyna, istniejąca w obozie w Zegrzu, zostaje zwinięta i przeniesiona do Zegrza północnego, gdzie stoją żołnierze niemieccy. Była to oczywiście strata dla nas. Tymczasem nazajutrz, po wyniesieniu się już Niemców z kantyny, spostrzeżono ze zdumieniem i zgorszeniem jakichś cywilów Żydów, którzy zaczęli się wprowadzać do tejże kantyny z towarem i wkrótce ją otworzyli i zaczęli handlować. Oddanie kantyny wewnątrz obozu w ręce prywatnego przedsiębiorstwa, poddanie nas wyzyskowi prywatnej spekulacji oburzyło żołnierzy i wywołało wielkie poruszenie umysłów. Zwłaszcza zaś podniecał ów symbol spekulacji – Żyd. Gdyby był chrześcijanin dzierżawcą kantyny, wrażenie byłoby mniejsze. Zaczęto o tym mówić, dzielić się wrażeniami, oburzać i podburzać, podniecać wzajemnie. Mówiono o bojkocie tej żydowskiej „kantyny”, a śmielsi i bezwzględniejsi – o jej rozbiciu. Przed kantyną zaczął się gromadzić tłum rekrucki, podniecony, głodny, zły, awanturniczy. Starzy żołnierze, zamiast ująć sprawę planowo w swoje ręce, przyglądali się temu, a niejeden jeszcze podjudzał rekrutów, podsuwał im plan wykonania, jątrzył rozmyślnie. Wśród tych starych żołnierzy – większość tacy sami młokosi, jak rekruci. Role, którą odegrali ci „starzy”, nadużywający swego autorytetu, była, niestety bardzo brzydka. Zamiast podnieść inicjatywę planowego załatwienia tej sprawy, odsuwając rekrutów i dając im świadomość, że rzecz jest w toku, ujęta w ręce kompetentniejsze, niż ich żywiołowe odruchy, ci „starzy”, wodzący rej w podnieconej masie rekruckiej, woleli rękami rekrutów, stając pozornie na uboczu, jak Piłat, załatwić swój gniew i uczucia buntu, a nawet nie tylko to, bo jednocześnie pożywić się plonem rabunku. Wieczorem, koło godz. 9 ½, gdy już ciemnieć zaczęło i kantyna się zamykała, tłum rekrucki rzucił się na nią, dokonał wewnątrz pogromu, rozbił i porabował towary. Doszło do interwencji Niemców, którzy zrobili nawet użytek z broni palnej. Tłum, świadomy swej

winy rabunku, rozbiegł się w nieładzie. Takie wypadki kompromitują nas wobec Niemców i demoralizują rekrutów: nie tylko szkodzą jego karności wojskowej, ale także zasiewają ziarno bandytyzmu do serc tej biednej młodzieży. W pogromie tym brali udział także niektórzy rekruci z naszej kompanii (z mojego kapralstwa – nikt). Ze starych żołnierzy naszej kompanii dużo w tym zawinił zwłaszcza Karwowski (taki sam zresztą rekrut w gruncie, jak inni, bo wstąpił do wojska dopiero w Zambrowie, tylko że tu już, jako wyćwiczony, stanął na stopie „starego” i instruktora), a pewną część moralnej winy ponoszą też tacy, jak Dębski, nawet Trzęsiński, Brudziński i paru innych. Nazajutrz komendanci kompanii, a w ich liczbie i nasz Barwiński, wyznaczili za pogrom kantyny zbiorową karę tygodnia aresztu koszarowego dla wszystkich rekrutów (właściwie godniejsi ukarania byłoby starzy żołnierze. W parę dni później karę tę kompanijną zniesiono, bo z rozkazu Kielbacha cała kadra pułku dostała dwie godziny karnych ćwiczeń wieczorem. Kantyna żydowska po kilku dniach zamknięcia odżyła. Przekształcona została obecnie w większą, która ma się stać rodzajem naszego soldatenheimu, z kuchnią, gorącą strawą, mlekiem itd. Wprowadzono też do niej i legionistów w charakterze sprzedających. Z naszego pułku wszedł do niej Gosk (stary żołnierz, należący do mojego kapralstwa).

Dzień 4 czerwca, poniedziałek. Dowiedziałem się od porucznika Barwińskiego, że sprawa potwierdzenia mi stopnia starszego żołnierza została w pułku pomyślnie załatwiona, co mię bardzo cieszy. Obawiałem się bowiem jakichś przykrości, gdyby się później okazało, że formalnie stopnia tego nie posiadam, a tu z niego korzystam. Dla korzystania z niego tu oparłem się (w porozumieniu z sierżantem-szefem Krzymowskim) na mój dyplom Piłsudskiego na odznakę „Za wierną służbę”, w którym nazwany jestem starszym żołnierzem. O formalne uregulowanie tej rzeczy w pułku prosiłem przed paru tygodniami Hellera, przyrzekł mi, że pomówi o tym z Młotem-Parczyńskim obecnie komendantem I kompanii w pułku. Barwiński wie od Parczyńskiego, że sprawa ta jest załatwiona w drodze potwierdzenia stopnia rozkazem pułkowym.

Tegoż dnia 4 czerwca zaczęła funkcjonować w naszej kompanii tzw. szkoła analfabetów, zainicjowana przez Barwińskiego, który zakupił dla uczniów elementarze i zeszyty. Komendantem tej szkoły Barwiński mianował mnie. Podzieliłem szkołę na dwa oddziały: do I oddziału (6 uczniów – samych rekrutów) należą ci, którzy są zupełnymi analfabetami, wyłącznie umieją czytać tylko drukowane, do II oddziału (7 rekrutów i 3 starych żołnierzy) należą tacy, którzy już elementarnie pisać i czytać umieją. W II oddziale, prócz nauki poprawnego pisania, będą nauczane także początki arytmetyki. W I oddziale uczyć będzie Sadowski, w II Krzewski. Dodatkowo uczyć będzie także Czesław Marek.

10 czerwca, rok 1917, niedziela

Wracam jeszcze w mojej kronice ostatnich dni do 4 czerwca, poniedziałku. Wieczorem tego dnia, koło godz. 7-8, przybiega ordynans Dreszera z zawiadomieniem, że Dreszer wzywa do siebie mnie i prosi, abym przyszedł „z kolegami”. Zrozumiałem, że tymi „kolegami” mają być Zagłoba i Sztrauch, względnie Pączek, to znaczy ci, z którymi zawsze przychodziliśmy do Dreszera na rozmowę. Ordynans dodał, że Dreszer prosi o pośpiech, ponieważ odjeżdża do Warszawy. Sądziłem, że ma nam coś ważnego do zakomunikowania. Zawołałem Zagłobę i poszedłem z nim zaraz. Sztraucha nie było. Dreszer, gdyśmy do niego przyszedli, oświadczył, że major Fabrycy ma coś z nami do pomówienia i zaprowadził nas na górę do mieszkania majora. W mieszkanku tym, złożonym z paru pokoi z przedpokojem, gdyśmy weszli do pierwszego pokoju, usłyszeliśmy gorącą rozmowę w drugim pokoju. Przez uchylone drzwi wyjrzał Fabrycy

i poprosił nas zaczekać, Dreszer zaś poszedł dalej. Przez zamknięte drzwi słyszeliśmy całą rozmowę, a raczej namiętą scenę w sąsiednim pokoju, gdzie, jak poznaliśmy z głosów, był major Fabrycy, podporucznik Sadowski i kapitanowie Piskor i Dreszer. Fabrycy niezwykle ostro i w sposób bezwzględny zarzucał Sadowskiemu łamanie solidarności i zbytne bratanie się z Niemcami, względnie uleganie ich woli, które się wyraziło w jakichś konkretnych czynach Sadowskiego. Sadowski, rzeczywiście pod tym względem wielki ugodowiec, aczkolwiek ugodowiec z przekonania, nie z kariery (w politycznych swoich poglądach jest on najbliższym LPP), bronił się nie mniej ostro, uzasadniał swoje postępowanie bezwzględnie, nie poddawał się majorowi. Doszło do tego, że Sadowski w uniesieniu chwycił się ostatniego argumentu zasad – wyzwania na pistolety; sprzeczka stawiała się tak skandaliczną, nasze mimowolne podsłuchiwanie tak dla nas przykrym, żeśmy się cofnęli do przedpokoju. Po chwili jak z procy wyleciał Sadowski. Myśmy weszli do majora. Dreszer i Piskor byli obecni (co do owej scenki z Sadowskim, to niewątpliwie pistoletowych konsekwencji mieć ona nie będzie). Fabrycy, widocznie znerwowany poprzednim zajściem, zaczął od razu do nas w tonie ostrym od wymyślania, tak jak guwerner karcii sztubaka. Fabrycy nic nie wiedział o rozwiązaniu naszej dawnej rady żołnierskiej i liczył, że ma przed sobą przedstawicieli czy tam kierowników tej rady. Zaczął od sprawy niedzielnego pogromu kantyny, zarzucając radzie żołnierskiej, że dopuściła do tego i że zajmując się awanturnictwem politycznym zaniedbuje bezpośrednio swoje obowiązki moralnej kierowniczkii masy żołnierskiej, przez co staje się współwinną takich skandalicznych wypadków, kwalifikujących się do aktów bandytyzmu. Fabrycy wypowiedział na ten temat długie kazanie moralno-polityczne, zaprawiając je tonem ostrej nagany. Zaznaczył, jak takie wypadki i postęпки osłabiają nas wobec Niemców, jak utrudniają naszą wobec nich postawę i nasze słuszne żądania, jak następnie demoralizują one rekrutów i jaki cień rzucają na to wojsko, które świecić powinno honorem. Dalej przeszedł do odwrotnej strony medalu, do politycznych prądów w radzie żołnierskiej. Powiedział, że słyszał, iż wśród żołnierzy powstaje jakaś awanturnicza akcja na rzecz jakiegoś marszu na Warszawę dla dokonania tam „przewrotu” politycznego. Dochodziły do niego wieści, że jakaś garstka agituje na rzecz takiego ruchu i usiłuje go organizować. I to nawet przez radę żołnierską, wbrew woli Komendanta Piłsudskiego, który zaleca spokój i równowagę. Podkreślał z całą siłą, że taka agitacja jest po prostu zbrodniczą i jednocześnie śmieszną, naiwną. Wykazywał, jak jałowe są takie pomysły i jak dalece jest niedopuszczalnym, aby jakieś grono „histeryków”, jak się wyraził, narzucało jakieś szaleńcze kombinacje „czynu”, zgola zresztą niewykonalnego, zamiast trwać z honorem na trudnym posterunku, broniąc piędź za piędź stanowiska i idei pod rozkazami Piłsudskiego, który był twórcą i nie przestał być wojska polskiego wodzem moralnym i politycznym. Dodał wreszcie, aby ostatecznie w nas zaufanie do awanturnictwa politycznego poderwać, że o tych pomysłach i agitacji dowiaduje się zawsze od... majora Kielbacha, który przeto doskonale o wszystkim, co się u nas myśli i mówi, jest poinformowany, bo nie ludźmy się, że mamy dokoła szpiegów, których nie brak we własnych naszych szeregach. Wysłuchaliśmy w milczeniu długiego kazania Fabrycego. Następnie zabraliśmy głos. Mówiliśmy z kolei ja i Zagłoba. Stwierdziliśmy przede wszystkim, że rady żołnierskiej nie ma, a przynajmniej my do niej nie należymy; że dawno została rozwiązana, a jakaś nowa, o ile nam wiadomo, obecnie powstaje, ale bez naszego udziału i my o niej niewiele wiemy; że rozwiązaliśmy radę żołnierską właśnie dlatego, że obawialiśmy zejścia jej na manowce politycznego awanturnictwa, bez celu i pożytku, skoro nie nastał dotąd moment bezpośredniego czynu; że w sprawie pogromu kantyny byliśmy i jesteśmy takiegoż zdania, co i major Fabrycy i usiłowaliśmy przeciwdziałać temu w granicach naszego wpływu i możliwości, a że nasz wpływ nie

zapobiegł doraźnemu aktowi warcholstwa, to cóż się dziwić, skoro i wpływ oficerów nie zapobiegł temu, jeżeli w ogóle oficerowie próbowali wpływu, jaki niewątpliwie mają, użyć; jeżeli więc ktoś zawinił, to dla czego my, a nie oficerowie; że trzeba jednak uwzględnić, iż warunki dla przeciwdziałania z naszej strony takim aktom są bardzo trudne, gdy z jednej strony dobór starych żołnierzy w kadrze jest taki, że często oni stają się narzędziem demoralizacji rekruta, z drugiej zaś – za mało się robi ze strony naszych (mam na myśli oficerskich) czynników kierowniczych, aby istotnie zaopiekować się potrzebami niedostatecznie wyżywionej masy żołnierskiej czy to w sprawie uregulowania i kontroli gospodarki kuchennej, czy w sprawie kantyny, czy też w sprawie niedopuszczenia, na przykład, do wydzierżawienia kantyny prywatnemu przedsiębiorcy i oddaniu mu żołnierza na wyzysk spekulacji; że dalej co do owych politycznych pomysłów, o których z takim zgorszeniem mówił Fabrycy, to, o ile nam wiadomo, żadnej agitacji w tym kierunku nie ma i nic podobnego się nie organizuje przez żadne grono; że natomiast co do przekonań, to, oczywiście, mogą zachodzić różnice – że gdy jedni uważają za najlepszą drogę trwać i czekać, inni są zdania, że tylko rewolucyjny czyn mógłby coś w sprawie polskiej na korzyść zmienić; że to wszakże jest kwestią przekonań, nie zaś samego wytwarzania zorganizowanego ruchu, przynajmniej w stadium obecnym. Fabrycy trochę się jeszcze rzucał, ale stopniowo zmieł na nasze argumenty, tłumaczył, jak w trudnych warunkach działania są tu nasi oficerowie wobec Niemców, podziękował nam za parę wskazówek praktycznych, których udzielił Zagłoba w sprawie kontroli fasunków należnych żołnierzowi, podziękował także, acz w innym, niż nasze rozumieniu za rozwiązanie rady żołnierskiej (dla Fabrycego ma to tylko wartość zapewnienia bezwładu masy żołnierskiej, podczas gdy w istocie rozwiązanie rady mogłoby, gdyby jej nie wznawiano teraz, spowodować większe wytężenie tęsknoty i woli czynnej w masie). Na tym się nasza rozmowa z Fabrycem skończyła. Jeszcze Dreszer, który, zdaje się, jest przez oficerów trochę źle notowany jako tchnący radykalizmem (mówię tu, oczywiście, tylko o radykalizmie narodowym, nie społecznym, od którego Dreszer jest bardzo daleki), uważał za stosowne dodać od siebie nieco przydługie kazanie moralne, w którym rozwodził się bardzo płynnie o potrzebie posłuszeństwa dla Komendanta, zastrzegając leciutko nawiasem o osobistej swojej na pewnych punktach niezgodności z Piłsudskim, co mu nie przeszkadza w imię zasady ogólnej podporządkować wyższej woli całego siebie ze swymi przekonaniem, postanowieniami i honorem, wreszcie konieczności jednolitej postawy, wymagającej ustępstwa z pewnych osobistych przekonań i aspiracji itd. Miałem wrażenie, że Dreszerowi chodziło poniekąd o osobistą rehabilitację wobec Fabrycego i Piskora, by ich przekonać, że jego wpływ w stosunkach, które utrzymuje z nami, nie odbiega od linii ogółu oficerów, ustalonej przez Piłsudskiego.

11 czerwca, rok 1917, poniedziałek

Dziś to już chyba z pewnością ze trzy dni odrobie. Doszedłem w kronice mojej do dnia 5 czerwca, wtorku. W tym dniu nic szczególnego nie zaszło; w notesie mam na ten dzień do zanotowania w dzienniku zapisane: „ćwiczenia karne za kantynę” i „ćwiczenie: padnij!”. O ćwiczeniach karnych za niedzielny pogrom kantyny pisałem już w związku z samym wypadkiem pogromu. Do dodania nic nie mam. Co zaś do ćwiczenia „padnij!”, to także nic szczególnego nie mam do powiedzenia, chyba to, że w tym dniu zaczęliśmy to z rekrutami przerabiać. Ćwiczenia „klękaj!” i „padnij!” są właściwie ostatnimi, zamykającymi cykl musztry formalnej żołnierza bez karabinu. W ten sposób na ćwiczeniu „padnij!” zakończyliśmy pierwszy, elementarny etap wyćwiczenia rekrutów. Postawa zasadnicza, zwroty w miejscu i w marszu, salutowanie, w prawo i w lewo patrz, równanie, formy szyków, elementarne zasady marszu i biegu,

ćwiczebny krok, klękniij i padnij – oto są główne elementy dotychczasowej naszej nauki rekruta. To jest mniej więcej wszystko, co rekrut ma się nauczyć z musztry formalnej przed otrzymaniem karabinu. Ewentualnie mogą do tego jeszcze przyjść różne formacje marszowe, które odbywają się identycznie czy bez, czy z karabinami. Z tego działu formacji marszowych przeszliśmy dotąd z rekrutami (prócz zasadniczych formacji szyków: zbiórka, rozejść się, rząd w przód, dwurząd w tył, luzowanie) – marsz w kolumnie sekcyjnej i kolumnie marszowej (w szyku kompanijnym) i zachodzenie sekcjami i całą linią rozwiniętą. Być może, że w najbliższych dniach, jeszcze przed wydaniem rekrutom karabinów, przerobimy z nimi formacje z dwurzędu [do] dwuszeru i odwrotnie. Wyłączywszy te pewne ćwiczenia marszowe szyków zwartych, przerobiliśmy już do karabinów wszystko. W najbliższych dniach powinny być już chyba wydane karabiny rekrutom w naszej kompanii. Była pogłoska, że karabiny zostaną im wydane już dziś, w poniedziałek. Nie nastąpiło to jednak. Być może, że jeszcze przez ten tydzień będziemy z rekrutami przerabiali powtórzenie starego programu, aby nabyć większej wprawy. Na ogół rekruci nasi są dość pojętni i przyswajają sobie ćwiczenia szybko. Szczególnie zadowolony jestem z mojego VI kapralstwa; ćwiczę go ciągle sam, przez co przywykają oni do pewnej ręki i pewnej metody: ćwiczą dobrze, nie wyłączając najgorszego z nich względnie – Skuzy. Zresztą mam w kapralstwie chętnych i starannych chłopców.

Dzień 6 czerwca, środa. Nic szczególnego. Powiadano u nas, jako wieść pewną, że austriaccy poddani-legioniści już zostali przyjęci do obywatelstwa czy tam poddaństwa – polskiego. Akcję na rzecz osiągnięcia tego rozpoczęto w pułkach Legionów przed paru tygodniami. Jeżeli się nie mylę – wnieszone były przez wszystkich żołnierzy i oficerów austriackich poddanych (Galicjan) podania do Rady Stanu o przyjęcie ich do poddaństwa Królestwa Polskiego (czy jednak tą właśnie drogą kierowano tę sprawę – tego ściśle nie wiem; zdaje się, że te podania szły jednak drogą służbową, przez raport). Żeby istotnie prawdą było, że już sprawę poddaństwa załatwiono – w to wątpię. Za krótko było na to czasu, po wtóre Rada Stanu, gdyby nawet miała kompetencję formalną na przyjęcie do poddaństwa, czego nie ma – nie mogłaby tego załatwić w tym czasie, ponieważ zawiesiła swoją urzędową działalność, wreszcie po trzecie, bez formalnego zezwolenia Austrii na zmianę poddaństwa nie mogłoby to być załatwione, a Austria, tak, na pierwsze wezwanie, bez targów i zwłok, nie oddałaby z miłości dla Polski swych poddanych na rzecz tej ostatniej. W akcji tej ze strony legionistów chodziło zwłaszcza o manifestacyjny moment zademonstrowania swojej narodowej woli polskiej. Sądzę, że w tej pogłosce jest tyle tylko prawdy, że na razie zażegnane zostało niebezpieczeństwo odwołania z Legionów austriackich poddanych i że sprawa zmiany ich poddaństwa jest na zasadzie ich podań zarejestrowana w politycznej akcji, toczącej się między Radą Stanu a mocarstwami centralnymi.

Dzień 7 czerwca, czwartek. Grudziński, który jeździł na przepustkę do Pomiechówka do pułku, przywiózł stamtąd wieści bardzo ciekawe, które podobno nie są tylko pogłoską, lecz opierają się na informacjach pewnych, znanych dokładnie w pułku. Otóż pułk ma być w najbliższym czasie rozdzielony podług batalionów; każdy batalion ma tworzyć zawiązek nowego, odrębnego pułku; bataliony te mają być rozrzucone osobno; jeden ma wyjechać do Siedlec, drugi do Kielc, trzeci w Radomskie. Dokąd wszakże który pojedzie – nie wiadomo jeszcze. Jeżeli do tego dojdzie, to jest przypuszczenie, że i obecna kadra naszego pułku zostanie rozdzielona podług trzech batalionów, przy czym odpowiednie kadrowe kompanie rekruckie zostałyby ewentualnie przydzielone i odesłane do swoich macierzystych baonów jako już pułków. Nam się to uśmiecha. Wiadomość o tym podziale pułku I na odrębne samodzielne bataliony, tworzących zawiązki nowych przyszłych pułków, była wciąż w dniach następnych potwierdzana z

różnych stron jako projekt bliski realizacji. Tak żołnierze, jak rekruci nasi cieszą się myślą ewentualnego połączenia się z pułkiem, względnie z batalionem macierzystym, radując się jednocześnie na myśl dostania się gdzieś w strony siedleckie lub kieleckie, gdzie wszystko jest tańsze i gdzie chleba jest więcej, bo jest dalej od Warszawy. Łącznie z tą wiadomością Grudziński przywiózł z pułku wiadomość o zamierzonych zmianach służbowych w stanowiskach kilku wyższych oficerów naszych. Podług tej wersji, pułkownik Śmigły miałby zostać szefem sztabu „wojska polskiego”, major Burhardt-Bukacki adiutantem Beselera, major Fabrycy – komendantem usamodzielnionego batalionu I jako zawiązka nowego I pułku. Jednak wiadomość o tych zmianach służbowych nie bardzo się dotąd w innych wersjach potwierdza. Postanowione zostało odesłanie z powrotem do pułku części instruktorów – starych żołnierzy, którzy się okazali niezdolnymi dla tej roli albo też z innych względów szkodliwymi w kadrze jako służącymi za czynnik demoralizacji rekrutów. W ten sposób usiłuje się naprawić wady doboru starych żołnierzy w kadrze. Z naszej kadrowej kompanii przeznaczeni zostali do odesłania do pułku następujący żołnierze szeregowcy: Duda, Zrubek, Stasiak, Blaze, Kwarciany, Ciura i Skowroński (jeden z marcowych rekrutów białostockich). Wybrano przeważnie łaferny, to znaczy najtępszych żołnierzy i w ogóle najsłabszy element; jeden tylko Duda wśród nich nie jest łaferną, ale uznano na podstawie doświadczenia, że wpływ jego i postępowanie z rekrutami demoralizują tychże. Na miejsce odsyłanych mają w najbliższych dniach przyjechać nowi instruktorowie z pułku, wybrani tym razem spośród Galicjan – starych żołnierzy. Podobno w pułku są już wyznaczeni ludzie, którzy przyjadą na instruktorów do Zegrza. Co do mnie, to nie pragnąłbym teraz wyjazdu z kadry do pułku. Co innego, gdyby cała kadra wraz z rekrutami wyjechała do pułku. Tego bym pragnął. Opuszczać zaś kadrę i rekrutów, nad którymi się rozpoczęło pracę tak intensywną i żywą, jak ja rozpocząłem, aby zasiąść beczynnym w pułku, gdzie nic prócz nudów nie ma – tego bynajmniej nie życzyłbym sobie.

12 czerwca, rok 1917, wtorek

Dzień 8 czerwca, piątek. Do zanotowania w tym dniu jest dość, chociaż nie są to rzeczy nadzwyczajne. W dniu tym doszło do pewnych komplikacji na gruncie żywnościowym w III baonie. Rekruci w III baonie urządzili strajk ćwiczeniowy. Powołując się na to, że są głodni i wskutek tego słabi, odmówili rano stawania na zbiórkę i pójścia na ćwiczenia. Starzy żołnierze zachowali się wobec tego wypadku biernie; obwołali zbiórkę, gdy zaś rekruci nie stanęli, pozostali sami beczynni. Nie użyli formy bezwzględnej rozkazu, który by zapewne przełamał opór rekrutów; starzy żołnierze są elementem tak silnym wobec masy rekruckiej i tak twardo stanęli na gruncie podporządkowania rekrutów swej woli, że trudno przypuścić, aby się rekruci odważyli im kategorycznie przeciwstawić. Był to więc ze strony starych żołnierzy właściwie manewr; jak to już kilkakrotnie stwierdziłem, lubią oni załatwiać jakieś rzeczy, będące ze stanowiska wojskowości niedopuszczalne, rękami rekrutów, chowając się sami za ich plecy i umywając ręce z miną niewinątek. Tak się stało i tym razem. Formalnie stwierdzili oni odmowę rekrutów na ćwiczenia i wobec tego, uważając się za rozgrzeszonych, stanęli biernie na uboczu. Jak mi później mówiono, strajk ćwiczeniowy rekrutów w III baonie nie był tylko żywiołowym odruchem protestu na złe odżywianie, lecz wypływał z pewnej myśli ogólniejszej o politycznym charakterze i opierał się na pewnej próbie organizacyjnej. Podobno zamierzone było połączenie z tym protestu przeciwko przewadze niemieckiej w kadrze. Strajk ćwiczeniowy miał wybuchnąć jednocześnie i ogarnąć kadry obu pułków, III-go i I-go. Z powodu jednak słabego kontaktu i braku zwarcia masy rekruckiej zespół zawiódł. W III pułku żaden odruch nie

powstał, w I-szym zastrajkował tylko III baon; w naszym baonie, a przynajmniej naszej kompanii nawet wieść o zamierzonym strajku nie doszła. I gdy doszło do samego strajku, bardzo mizernego ze względu na osamotnienie III baonu, motywy polityczno-narodowe, wysuwane przez inicjatorów, utonęły zgoła w elementarnych motywach żywnościowych, popularniejszych w masie, a przeto z konieczności na czoło wypływających. Strajk jest ruchem masowym, a masa nadaje swemu ruchowi zawsze tylko ten sens i tę treść, którą ona rozumie i która ją obchodzi. Wyraża ona swoim działaniem lub protestem nie to, czego chcą inicjatorowie ruchu, lecz to, czego chce ona. Tak się też i tym razem stało. Zabarwienie ideowe, zasadnicze, oparte o polityczne i narodowe hasła, znikło; wystąpiło na jaw tylko zabarwienie kwestią żywnościową. Jak tyle już innych ruchów i „akcji” w ostatnich czasach, tak i ten ruch, od razu w założeniu okazał się nie tylko jałowym, ale szkodliwym, bo nie osiąającym żadnych innych skutków, prócz demoralizacji. Rekrut przyzwyczajają się od razu do jakichś aktów niesubordynacji, aktów samodzielnego przesądzania spraw ogólnych i brania decyzji w własne ręce, co jest zasadniczo niezgodne z zasadami wojskowości. Podważa to karność i stateczność organizacji wojskowej, szerzy ducha niesubordynacji i buntu jak zarazę i jednocześnie jest bezcelowym w skutkach, chaotycznym i słabym. Dla wojskowości stąd szkoda, dla celów ideowych lub praktycznych – żadnego pożytku. Za ten strajk rekruci III baonu zostali surowo ukarani. Oficerowie byli wściekli; dochodziło do tego, że niektórzy oficerowie (Kwiatek) bili rekrutów w swej kompanii po twarzy. Rekruci zostali ukarani surowym aresztem koszarowym; dokoła koszar III baonu wystawiono wartę, aby nikogo nie wypuszczać z kwatery. Wdał się w tę sprawę sam major Kielbach, komendant kadry I pułku; rekrutów zostawiono bez obiadu; dopiero o godz. 5 wydano im obiad. Aby zaś karę ich jeszcze bardziej zaakcentować i zarazem wyróżnić ogół tych, co do strajku nie należeli, Kielbach polecił wydać dodatkowo wszystkim starym żołnierzom III baonu i wszystkim innym baonom marmoladę jako dodatek do obiadu. Tak się ta awanturka strajku ćwiczeniowego III baonu zakończyła. W innych baonach i wśród ogółu żołnierzy, a zwłaszcza wśród wrażliwszych elementów wypadki te wywołały pewne podniecenie. Zresztą u nas wszystko jest tak podminowane w nastrojach, że lada iskierka wywołuje wrzenie i ferment. Przechodzi to bez ostrego wybuchu, ale materiału palnego przybywa. Jednocześnie z tymi wypadkami w III baonie zaszedł fakt, który nie mniej poruszył umysły żołnierzy: jest to dymisja podporucznika Dłużniakiewicza, komendanta III kadrowej kompanii; dymisja została mu udzielona przez Niemców, został po prośbie usunięty, jako element nieuległy. Dłużniakiewicz, jeden z bardzo nielicznych oficerów naszych, był jednym z najbardziej nieprzejednanych w stosunku do Niemców. Lekcewał ich na każdym kroku i zachowywał się tak, jak żeby władzy położonych niemieckich nad sobą nie uznawał; na każdym kroku i w każdym miejscu przeciwstawiał się im i stawiał opór bierny niemieckim zarządzeniom. Na tym tle dochodziło kilkakrotnie do ostrzejszych scysji między nim a kapitanem niemieckim Emenlatem, zastępcą, a faktycznie komendantem baonu. Wśród żołnierzy zyskał z tego tytułu popularność, ale za to przez Niemców i przez kapitana był zniechęcony, toteż postarali się oni go usunąć jako osobie niewygodnego dla nich i zarazem szerzącego „zły przykład”. Czy jest to całkowite usunięcie Dłużniakiewicza z wojska polskiego, podległego Beselerowi, czy tylko odesłanie go z kadry do pułku – tego dokładnie nie wiem. Do III kompanii przydzielony został na jego miejsce na stanowisko komendanta Kwiatek – ten sam, który miał kompanię w III baonie i bił rekrutów, człowiek głupi i bez taktu. Nie słysząc, żeby nasi oficerowie zareagowali jakkolwiek na fakt dymisji Dłużniakiewicza. Wśród żołnierzy ten fakt wywołał poruszenie, zwłaszcza w III kompanii, która bezpośrednio straciła Dłużniakiewicza i obdarzona została Kwiatkiem. Zajścia w III baonie (strajk

ćwiczeniowy i bicie rekrutów przez Kwiatka) i dymisja Dłużniakiewicza wywołały wśród żołnierzy poruszenie, którego skutkiem była presja na ludzi, wybranych niedawno z kompanii do wznawianej rady żołnierskiej, aby się wreszcie zeszli, naradzili i coś zbiorowo obmyślili. Ten fakt, że masa brała udział w wyborach do rady żołnierskiej, sprawił, że teraz masa ta czuje się uprawniona do kontroli i krytyki rady, którą uważa za swoją mandatariuszkę; stąd skutek taki, że rada żołnierska ulega naciskowi z dołu i będąc sama skłonna do bezczynności, musi dbać przynajmniej o pozory intensywniejszego działania i radykalizmu. Czy presja ta zmusi radę żołnierską do istotnego zradykalizowania się – tego nie przesądzam, ale objawy takich dążeń w masie są. Otóż tego dnia przychodzili do mnie znowu Bieniak i Spychała z III kompanii, którzy zazwyczaj w ciężkich chwilach przychodzą się ze mną naradzić, ufając memu doświadczeniu i rozumowi, a są sami bardzo radykalni; mówili gorąco o potrzebie jakiegoś energiczniejszego wreszcie działania z naszej strony, narzekali na bezczynność wybranych do rady delegatów, żądali nacisku na rzecz zwołania zebrania rady, próbowali ze wszelkich sił przekonać mię, abym się zdecydował wejść do rady i ożywić ją wskazaniem czynu i już dochodzili do twierdzenia, że wybrani delegaci są źli, bo za mało zdecydowani, i że należy ich zmienić przez wybór nowych, do czego oni w swej kompanii będą dążyć. Słowem – masa żołnierska pcha ku radykalizmowi i usiłuje wyłonić coraz gorętsze elementy do rady. A Bieniak i Spychała – to są typowi ludzie, to znaczy przeciętnego nastroju.

13 czerwca, rok 1917, środa

W uzupełnieniu do wczorajszej relacji z wypadków w dniu 8 czerwca i o podnieceniu umysłów żołnierzy dodam, że tegoż dnia wieczorem pod presją usposobienia masy odbyło się zebranie delegatów kompanijnych wszystkich trzech baonów, wybranych do rady żołnierskiej. O ile wiem od Sztraucha, nic konkretnego na zebraniu tym nie uradzono. Ludzie wypowiadali się, kręcili się w ogólnikach utrzymania ciągłego kontaktu z Warszawą, z Komitetem Rady Żołnierskiej Legionów Polskich, utrzymania równowagi umysłów w masie żołnierskiej i ducha wojskowego w masie rekruckiej, kolportażu „bibuły” itd., ale poza sferę desideratów i dyrektyw ogólnych nie wyszli. W tej wznawiającej się radzie brak dotąd głowy i sprężystej ręki. Wszystkie te ogólniki są słuszne, ale nie załatwiają praktycznie żadnej sprawy. Spośród wybranych delegatów do rady nie wyłonił się jeszcze żaden leader, a ten jest we wszelkiej tego rodzaju organizacji niezbędny, jeżeli ma ona być rzeczywiście czynną. Sierżant Niemira-Radomski, który, choć sam należy do pułku III, był właściwym inicjatorem wznowienia rady żołnierskiej kadrowej I pułku i mógł być, przynajmniej w pierwszym jej stadium, jej duszą, opuścił przed kilku dniami Zegrze, wyjeżdżając stąd na stałe do pułku. W związku z odbytym niedawno temu zjazdem oficerskim w Ostrołęce, o którym wspominałem w swoim czasie w dzienniku, były ze strony władz wojskowych niemieckich, stojących u steru tworzenia wojska polskiego, zastosowane pewne dochodzenia i nawet represje. Aresztowany był porucznik poseł Moraczewski, uległ karze domowego aresztu nawet Żymirski, komendant II pułku, za to, że za jego wiedzą pojechał przedstawiciel tego pułku na zjazd. Zdaje się jednak, że czynniki niemieckie były o tyle ostrożne, że sprawy tej zbyt nie wyśrubowywały, aby unikać drażnienia i że pośpieszyły rzecz zamknąć na drobnych zarządzeniach dyscyplinarnych. Słyszałem też, że aresztowany został w Warszawie Douglas, wybrany do Komitetu Rady Żołnierskiej Legionów Polskich na zjeździe żołnierskim w Warszawie z dnia 27 maja. Czy to jest także takie lekkie formalne zarządzenie dyscyplinarne, jak względem Żymirskiego i Moraczewskiego, czy też wstęp do jakiegoś dochodzenia i represji – nie wiem.

W stosunkach politycznych polskich Niemcy w ostatnich czasach zdecydowali się wreszcie na pewne ostrzejsze zaznaczenie swego kierunku. Dotąd nie tykali radykalnego obozu niepodległościowego, działającego drogami konspiracyjnymi. Przed rokiem obóz ten nie tylko tolerowali, choć on nigdy bardzo prawowiernym w duchu związku z mocarstwami centralnymi nie był, ale go nawet poniekąd po cichu faworyzowali. Obóz ten był im wtedy na rękę, bo podkopywał wpływy i sympatie austriackie i niecił w społeczeństwie polskim prąd niepodległościowy, który Niemcy chcieli na rzecz swojej polityki zużytkować, co też spróbowali zrobić przez akt 5 listopada. Odtąd jednak stosunki się znacznie zmieniły, zwłaszcza zaś w ostatnich czasach, po rewolucji rosyjskiej; idea łączenia sprawy polskiej ze sprawą mocarstw centralnych, już nie tylko militarną, ale nawet polityczną, traciła coraz bardziej grunt w społeczeństwie polskim i obiektywnym ustosunkowaniu czynników międzynarodowych; wrogi stosunek do Niemców wzrastał; między radykalnymi niepodległościowcami z dawnych tzw. aktywistów a elementami prawicy, dawniej moskalofilami, zaczęło się wytwarzać porozumienie, zmierzające do formalnej konsolidacji pod hasłem zrządzenia z Polski jarzma opieki niemieckiej. Radykalni niepodległościowcy spod znaku Piłsudskiego, CKN-u, P.O.W. itd. zaczęli się stawać dla Niemców niewygodni, a może nawet niebezpieczni. Liga Państwowości Polskiej, jedyna wierna do ostatka sojuszom bądź z Austrią, bądź obecnie z Niemcami, godząca się na służebne stanowisko sprawy polskiej i szukająca dla swej „realnej” „państwowotwórczej” działalności zawsze oparcia u czynników obcych, z dnia na dzień dyskredytuje się w narodzie i zostaje coraz jaskrawiej osamotniona. Wszystkie niemieckie przedsięwzięcia w sprawie polskiej, mimo że są doskonale obmyślane i bardzo metodycznie wykonywane, natrafiają stale na twardy, choć bierny opór społeczeństwa i w rezultacie się nie udają, tak jak się nie udała kombinacja z wojskiem i obozami rekruckimi. Tymczasem P.O.W. kwitnie jak na urągowisku, prąd czysto niepodległościowy i antyniemiecki rośnie. Niemcy, zaniepokojeni, zaczęli się po troszkę brać do kładzenia tamy dalszemu wzrostowi niebezpieczeństwa. Zaczęli próbować nakładać wędzidła, a przynajmniej robić gest w tym kierunku. Niemcy są w położeniu trudnym: z jednej strony zamykać oczy na to, co się dzieje i nie stawiać przeszkód – to ośmiela i rozzuchwala prąd popularny; z drugiej strony, stosować represje – to podnieca gniew, drażni i w dalszej konsekwencji może spotęgować opór. Próbuje gestu ostrzegawczego: takiego, który by nie był bardzo ostrym, bolesnym i do krańcowych konsekwencji wykonanym i jednocześnie mógłby być przestrożą psychicznie zastraszającą. Niedawno dokonali rewizji ekspedycji tajnej poczty P.O.W., zaaresztowali papiery, adresy i druki; gest swój zwrócili przeciwko P.O.W. i „Rządowi i Wojsku”. Wątpię jednak, aby się ośmielili prowadzić represję do ostatecznych konsekwencji. Na to są za słabi i za trudną jest ich pozycja.

Chcę teraz dotknąć innego zgoła tematu – sprawy nominacji podoficerskich u nas. Od kwietnia, odkąd Legiony przeszły z rąk Austrii w ręce Beselera jako organizatora armii polskiej, zostały wstrzymane wszelkie awanse. Awanse na starszego żołnierza i podoficerskie były zależne dawniej od komendantów pułków. Teraz zostały całkowicie wstrzymane (mój stopień starszego żołnierza, uzyskany przeze mnie w tym czasie, został załatwiony w postaci nie nowej nominacji, lecz potwierdzenia niby to dawniejszej). I oto przed paru tygodniami tu w kadrze, w Zegrzu, władze kadrowe, a więc niemieckie, przynależne do tzw. „Wehrmachtu”, zażądały od komendantów kompanii przedstawienia kandydatów do nominacji podoficerskich. Oficerski komitet wykonawczy, wyłoniony na zjeździe w Ostrołęce i obdarzony prawem rozkazywania, wydał zakaz przedstawiania kandydatów do nominacji; tym nie mniej, za wyjątkiem paru komendantów kompanii, reszta wszyscy sporządzili listy kandydatów i

przedstawili je w drodze służbowej niemieckim władzom kadrowym, ujawniając demonstracyjnie słabość komitetu wykonawczego, którego rozkazy są przez samychże naszych oficerów ignorowane.

14 czerwca, rok 1917, czwartek

W dalszym ciągu o sprawie nominacji podoficerskich. Wiedzieliśmy, że nasza kompania przedstawiła także listę kandydatów do nominacji. Kto był na tej liście – tegośmy nie wiedzieli. Przypuszczałem, że jestem jednym z przedstawionych i w gruncie cieszyłem się z tego, bo bądź co bądź każdy wyższy stopień, każda wyższa szarża w wojsku przedstawia rozleglejsze pole działania i wpływu. Zajmując się zaś czymś, nie lubię zostawać na ostatku. A chociaż tak skromna szarża, jak pierwszy stopień podoficerski – kaprała, nie jest przecie dla mnie, Michała Römera, żadną szczególną „karię”, to jednak przecież wobec stanu pospolitego szeregowca, a nawet starszego żołnierza jest czymś już lepszym. Że nie dla „kariery” wstąpiłem do wojska – to pewne. Przeszedłem rzetelnie przez najniższy stan pospolitego szeregowca liniowego, zacząłem od samego dołu, od nicości kompletnego pionka. Gdyby mi o karierę wojskową lub o próżność zaszczytów w Legionach chodziło, potrafiłbym z pewnością wybrać od początku inne drogi służby, które by mię rychlej i do wyższych awansów doprowadziły. Miałem możliwości po temu w Departamencie Wojskowym w Piotrkowie, następnie mogłem z łatwością przebyć szybko niższe stopnie podoficerskie, gdybym się chciał gdziekolwiek zadekować w służbie na tyłach, a zwłaszcza w dziedzinie jakichś polityczno-wojskowych czynności; mogłem wreszcie, gdyby mi na tym zależało, skierować się do II Brygady lub gdzieś do Komendy Legionów, gdzie bym w służbie biurowej przy jakichś sztabach awansował szybko. Wołałem służbę rzetelną liniową w pułku w szrankach Brygady I Piłsudskiego, w siwych szeregach strzeleckich. Za większy to sobie i trwalszy poczytałem zaszczyt i tytuł do zasługi, niż dźwięk szarży lub błyskotliwy mundurak rycerza tyłowego, dający li tylko pusty przelotny blichtr bez zasługi. Może to być dobre dla młodzieńców, którzy szukają doraźnego powodzenia u kobiet, jak motyle do kwiatów – tak lgnących do munduru i szabelki (a bodaj to jeszcze do czaka!), ale nie dla tych motywów, które mnie po śmierci Aninki do Legionów skłoniły. Dziś jednak, po dwóch latach pobytu w wojsku, należałby mi się już przecie awans nawet w szeregach liniowych. Wojsko nasze już nie jest w linii i o bezpośredni czyn wojenny, ten, który jest rycerską chlubą szeregowego żołnierza piechoty, już nie chodzi. Kto tylko jest bądź starszy wiekiem, bądź ma jakiś tytuł poprzedniego stanowiska cywilnego, ten u nas jest już dziś co najmniej podoficerem, przeważnie sierżantem, a już w najgorszym razie kapralem. Ja wciąż jeszcze jestem od tego daleki. I nie o samą szarżę jako taką mi chodzi, jeno o to wrażenie na zewnątrz, wobec masy laików, wobec ogółu moich znajomych, że oto wciąż tkwię na martwym punkcie najniższego stanu żołnierskiego, nie mogąc się nawet na podoficera wybić. Sprawia to pozór na zewnątrz czegoś śmiesznego: robi wrażenie, że jestem widocznie w tej służbie wojskowej do niczego, tolerowany, ale nieużyty, śmieszny w tym wysilaniu się czepiania gwałtem wojska. To nieawansowanie jest dla mnie na zewnątrz upokarzającym. W pułku o szanse awansu jest istotnie trudno, gdy jest taka nadprodukcja szarż w stosunku do braku dopływu rekruta, ale zdawałoby się, że tu w kadrze w Zegrzu szanse pod tym względem wzrastają. Jest nas tu starych żołnierzy niezbyt wielu, a ponieważ są tu dotąd sami Królewiaczy, więc szarż między nimi jest stosunkowo niewiele; z tych zaś starych żołnierzy, którzy tu są, część, i to niemała, jest zgoła niezdatna do czynności instruktorskich; zdawałoby się więc, że ta garsteczka starych żołnierzy, która dobrze się ze swych zadań wywiązuje, może ewentualnie w całości być do nominacji przedstawiona, a w tej liczbie ja bodajże

najbardziej, ze względu już po prostu na mój wiek, na powagę, którą mam w wojsku, na moją pracę rzetelną i gorliwą, którą z zapałem i szczerze spełniam nad rekrutami, co przecie widzi sam porucznik Barwiński, i, jak się zdawało, ocenia. Prawie że nie wątpię, że wśród kandydatów do nominacji podany jestem. Może nominacje te są w ogóle złe, może należy je odrzucić, może nie będą one u nas w pułku uznawane, ponieważ oficerski komitet wykonawczy wypowiedział się przeciwko nim. Nie tyle mi o sam fakt awansu chodziło, ale o to, aby skoro się podaje kandydatów do awansu, podało się i mnie. Pominięcie mnie przy podawaniu kandydatów byłoby samo przez się, niezależnie od samego faktu awansu, upokorzeniem. Toteż doznałem bardzo przykrego zawodu, gdym się dowiedział, że do nominacji podany nie zostałem. W poniedziałek wieczorem przysła z batalionu karta służbowa, żeby nazajutrz na godz. 8 rano stawili się na osobną zbiórkę po czterech z każdej kompanii najzdolniejszych szeregowców spośród przedstawionych do nominacji i po dwóch starszych żołnierzy. Starszych żołnierzy w naszej kompanii jest trzech: Trzęsiński, Czesław Marek i ja. Nazajutrz rano (porucznik Barwiński był jeszcze nie wrócił z kilkudniowego urlopu) sierżant Krzymowski z porozumieniem z chorążym Szajewskim, zastępującym chwilowo komendanta kompanii, wyznaczył na tę zbiórkę ze starszych żołnierzy Trzęsińskiego i mnie, pomijając Marka (to pominięcie było dla mnie bardzo przykrym, bo bądź co bądź jest dłużej ode mnie starszym żołnierzem). Na zbiórce tej jednak nie doszło do niczego. Kapitan Niemiec Emenlat oświadczył, że porozumie się bezpośrednio z komendantami kompanii w sprawie ludzi, którzy mają być wyznaczeni na zbiórkę. Po obiedzie zaś tegoż dnia (we wtorek) zarządzono jakąś specjalną zbiórkę wszystkich przeznaczonych z kompanii do awansu; zbiórka była w nowych mundurach z karabinami; odbyć się miał i odbył się popis aspirantów do awansu wobec Kielbacha, rodzaj egzaminu w musztrze formalnej i bojowej oraz wydawaniu komend. Na popis ten wyznaczono od nas tylko dwóch starszych żołnierzy Trzęsińskiego i Marka. Domyśliłem się od razu, że ci dwaj jedynie zostali w naszej kompanii wyznaczeni przez porucznika do awansu. I jak się później okazało, nie omyliłem się. Poza tym z szeregowców na starszych żołnierzy przeznaczeni zostali do awansu: Dembski, Krzewski, Godlewski i Mucha. Uważałem się tym faktem pominięcia mnie za upokorzonego. Gdybym wiedział, że wolno było podać do awansu tylko dwóch starszych żołnierzy, to sam ani na chwilę nie wahałbym się uznać lojalnie pierwszeństwo Trzęsińskiego i Marka przede mną jako starszych datą nominacji na starszego żołnierza. To mi jednak wiadomym nie było, a wobec ogółu kolegów z innych kompanii i wobec Niemców, którzy żądali przedstawienia do awansu ludzi, wyróżnionych za zdolnych, pozostawienie mnie na uboczu dawało pozory uznania mnie za niezdarę w zakresie uzdolnienia instruktorskiego. Tyle czasu się przebyło w wojsku na samym dnie hierarchii, w najniższych pokładach plebsu żołnierskiego, posiadając przecie i wykształcenie, i stanowisko społeczne, i wszelkie kwalifikacje na stopniowe awanse – a tu nic i nic. Już się i szkołę oficerską ukończyło i egzaminy żądane zdało i w tej chwili, kiedy przypadkowo się znalazło w warunkach łatwiejszej, niż w pułku konkurencji awansowej – znowu nic z tego. Nie o sam ten awans chodzi; przykrym jest fakt pominięcia. Nie zrobiłem dotąd „kariery” w wojsku i nawet to jedyne podniesienie się o stopień – z szeregowca na starszego żołnierza – nie zostało mi przez nikogo udzielone, ale przeze mnie samego wykombinowane; nie mnie mianowano, lecz sam mianowałem siebie i tylko po mianowaniu się o potwierdzenie stopnia się postarałem. Pod tym względem nie mam powodzenia w wojsku.

15 czerwca, rok 1917, piątek

Wczoraj w rozmowie z sierżantem Krzymowskim wspomniałem mu o tym, że jestem „nakręcony” na porucznika Barwińskiego za nieprzedstawienie mnie do awansu, a raczej

za niezakwalifikowanie mnie do zasługujących na podoficerski awans (bo to rzecz u mnie raczej ambicji, niż jakichkolwiek względów utylitarnych, gdyż mi nie tyle o sam awans jako taki chodzi). Krzymowski udzielił mi wyjaśnienia, usprawiedliwiającego decyzję porucznika. Okazuje się, że Niemcy zażądali przedstawienia do awansu tylko po dwóch starszych żołnierzy z kompanii, nie więcej. Barwiński przejrzał wykazy ewidencyjne każdego z nas i musiał w imię zasad postępowania wojskowego przedstawić Trzęsińskiego i Marka, którzy mieli pierwszeństwo rangi (daty poprzedniego awansu) przede mną, dłużej byli w Legionach i dłużej w linii oraz mają więcej formalnych odznaczeń ode mnie. W wojsku rzecz się ma w ten sposób, że poza jakimiś osobliwymi wypadkami pierwszeństwo określa się zawsze starszeństwem służbowym; żeby wyższość zdolności przeważała szalę starszeństwa, na to trzeba albo jakiejś niepospolitej zasługi, a zwłaszcza czynu w linii, albo wyraźnej kompromitacji tego, komu przysługuje starszeństwo; i w zasadzie to jest słuszne. Krzymowski zapewnił, że Barwiński zdaje sobie w zupełności sprawę z mojej wartości jako instruktora w ćwiczeniu i jako pedagoga rekrutów i ceni mnie wyżej od Marka, który jest bardzo pocziwym, ale safandulą, i od Trzęsińskiego, który jest energicznym i bezwzględny, ale niewyrobionym i młokosem. Poufnie dodał mi Krzymowski, że w ogóle uznany jestem za najzdolniejszego w kompanii i że także kwalifikacje uzdolnień zostały mi zaświadczone ze szkoły oficerskiej; cóż stąd, kiedy wojsko jest zbudowane na pierwiastku starszeństwa służbowego! Odrzekłem, że rozumiem w zupełności udzielenie pierwszeństwa Trzęsińskiemu i Markowi i że sam ze względów po prostu lojalizmu koleżeńskiego nie pragnąłbym nigdy wchodzić w drogę któremukolwiek z nich; że jednak nie uważam, iż Barwiński postąpił wobec mnie, jak by się należało, bo ze względu na mój wiek, stanowisko i pracę powinien był udzielić mi wyjaśnienia, a nie zostawiać mnie tak na łasce pozorów niezdolności. Sądzę, że takie wyjaśnienie należało mi się od Barwińskiego, bo bądź co bądź mam prawo do traktowania mnie nieco innego, niż się traktuje pospolitego żołnierza w regularnym wojsku. Krzymowski oświadczył, że Barwiński zastanawiał się nad tym, czy ze mną o tym pomówić, czy nie, ale że sam Krzymowski odradził mu tego. Krzymowski zapewnił wreszcie, że z całą pewnością w najbliższych nominacjach pułkowych zostanę do awansu przedstawiony. Najbliższe nominacje pułkowe! Kiedy one będą i iluż jest w pułku starszych żołnierzy, mających przede mną pierwszeństwo, posiadających ten stopień jeszcze od roku 1915, a nawet 1914! Jeżeli już tutaj znalazło się aż dwóch ze starszeństwem przede mną, to co mówić o pułku! A w wojsku jest tak, że choćby tu wykazał jak największe zdolności i nabył najlepszej wprawy podoficerskiej (a trzeba przyznać, że tu w kadrze są istotnie świetne warunki do rozwoju zdolności), to jeżeli pozostanę nadal tylko starszym żołnierzem, to po powrocie do pułku łada kaprał, choćby o wiele mniej ode mnie zdolny, kompletny „tuman”, a tylko przez to, że jest kapralem, będzie miał przede mną pierwszeństwo we wszystkim: i w objęciu jakiejkolwiek funkcji, i w awansie. Choćby mógł być na podstawie zdolności nie tylko kapralem, ale i sierżantem, i komendantem kompanii, będę musiał ustępować z placu wobec pierwszego lepszego kaprała.

Przejdę teraz do innej sfery tematów. W sobotę ubiegłą 9 czerwca miałem w Zegrzu gościa, p. Wakara z Warszawy, Rosjanina spolonizowanego, zresztą pochodzącego z rodziny litewskiej, o którym już zresztą w zeszłym roku raz, zdaje się, w dzienniku wspominałem. Jest to były esdek, obecnie wielki, ale nie mniej szczerzy i, zdaje się, gorący patriota-Polak. Był od początku wojny przeciwnikiem moskalofilstwa, niepodległościowcem rzetelnym. Jest publicystą i pracowitym mołem zagadnień statystycznych i ekonomicznych, na których opiera swe koncepcje narodowe. Pracował w „Tygodniku Polskim”, organie dawnej secesji endeckiej, którego był sekretarzem. W roku zeszłym należał do LPP, aczkolwiek nie był nigdy z temperamentu wielkim

politykiem ani zaciekleym człowiekiem partii. Zetknąłem się z nim przed rokiem na gruncie Klubu Państwowców Polskich z okazji zainicjowanego przez Władysława Studnickiego wielkiego zebrania agitacyjnego, poświęconego sprawie tzw. „kresów wschodnich”. Obecnie Wakar nie tylko że nie należy już do LPP, ale oddaje sympatię i pracę innym zgoła, i to wręcz przeciwnym metodom polityki. W końcu maja pisał on do mnie dwukrotnie, adresując do pułku do Pomiechówka, wzywając mię do Warszawy dla pomówienia w bardzo ważnej sprawie, dając mi do zrozumienia, że ma jakieś poważne propozycje dla mnie i zapewniając, że rzecz leży w sferze moich zamiłowań. Listy te otrzymałem z opóźnieniem i odpisałem mu na nie. Wybrałem się już na niedzielę do Warszawy i miałem już nawet przepustkę w kieszeni, gdy w sobotę on sam zawitał do Zegrza. Spędziliśmy z nim kilka godzin popołudniowych na przechadzce i rozmowie, wpieryw w odległych zakątkach naszego obozu, potem nad Narwią. Wakar jest obecnie w jakimś kontakcie z Kołem Międzypartyjnym. Interesuje się bardzo sprawą Litwy i jej stosunkiem do sprawy polskiej, szukając pewnych rozwiązań w tym kierunku. Na tym gruncie (nie wiem, czy tylko na tym) działa w porozumieniu z Kołem. Trzeba zresztą wiedzieć, że dziś w ogóle dawny, jeszcze sprzed kilku miesięcy, podział na moskalofilstwo (pasywizm) i aktywizm stracił aktualność. Koło Międzypartyjne wraz z całą przynależną doń prawicą (i endecją) moskalofilskim być przestało, bo moskalofilstwo samo straciło swą podstawę. Dziś jest podział raczej na niepodległościowców, którzy sprawę polską stawiają na gruncie niezależnym i poniekąd maksymalistycznym, usiłując ją oderwać od ogonka interesów mocarstw centralnych (do rzędu tych ugrupowań należy Koło Międzypartyjne na prawicy, zarówno jak cała lewica niepodległościowa wraz z obozem Piłsudskiego), i na oportunistów z Ligi Państwowości Polskiej wraz z kierunkiem Studnickiego, którzy sprawę tę wiążą ściśle i pojmują w łożysku interesów mocarstw centralnych. Między elementami Koła Międzypartyjnego a lewicą radykalną niepodległościową od dłuższego już czasu toczą się układy do skoordynowania się i utworzenia tzw. konsolidacji narodowej, której przeciwstawiają się stale i którą rozbijają elementy oportunistycznego środka. Są jeszcze pewne rzeczy, które dzielą prawicę od lewicy nie tylko na gruncie postulatów społecznych i demokratycznych, lecz także co do metod działania, ale prąd do zbliżenia się w imię coraz większego pokrewieństwa polityczno-narodowych celów i założeń, na jakich jedni i drudzy opierają dziś perspektywy sprawy polskiej, rośnie. Można rzec, że jedni (prawica) więcej budują na przewidywaniu militarnej klęski Niemiec i na czynnikach Rosji i koalicji, drudzy (lewica) – spekulują więcej na wytwarzaniu wewnętrznych wartości w narodzie i na zdolności do opierania się o fakty dokonane w myśl ogólnej ideologii rewolucyjnej.

16 czerwca, rok 1917, sobota

O zeszłosobotniej wizycie Wakara. Zasięgnąłem od niego trochę świeżych wiadomości o stosunkach politycznych w Warszawie, dowiedziałem się o udzieleniu przez komisarzy niemieckiego i austriackiego odpowiedzi na majowe ultimatum Rady Stanu, o pewnych orientacjach i perspektywach, dojrzewających w opinii prawicy w Warszawie. O tych ostatnich Wakar mówił jako o własnych, ale ze zbieżności ich podstaw z obecnymi założeniami Koła Międzypartyjnego, o ile te mi są znane, jak też z kontaktu Wakara z tymże Kołem w sprawie Litwy, o czym mówił, wnioskuję, że są one nie tylko jego, ale i tych elementów prawicy własnością. Perspektywy te opierają się na wygrywaniu koalicji i Rosji rewolucyjnej przeciwko Niemcom i w tym kierunku idą bardzo daleko; kombinacje, które tam kielkują, są bardzo dalekie od pasywizmu, który jeszcze przed rokiem charakteryzował prawicę i są naładowane ostrym aktywizmem, tylko wycelowanym w odwrotnym kierunku w porównaniu do tego aktywizmu,

któryśmy dawniej tym mianem zwać przywykli. Są projekty, raczej pomysły dość ciekawe i daleko idące. Charakterystyczną ich cechą jest wskrzeszanie w pełni sprawy Poznańskiego, chowanej z konieczności pod korzec w poprzednim aktywizmie, opierającym się o koncepcję Europy Środkowej, i dążenie do równoległego zachowania na poziomie aktualizmu politycznego sprawy Litwy. Jest to usiłowanie zgoła nowe. Dotąd bowiem te dwie sprawy – Poznańskiego i Litwy – były w prądach politycznych polskich wystawiane alternatywnie: ci, którzy kładli nacisk na sprawę Poznańskiego (prawica), zamykali oczy na sprawę Litwy i odwrotnie (lewica). Teraz dopiero po raz pierwszy wypływa próba syntezy, która jest jednym z najcharakterystyczniejszych wyrazów zbliżenia dwóch skrajnych narodowych skrzydeł polskich. I ciekawe jest jeszcze to, że podczas gdy w dawnym alternatywnym układzie tych zagadnień sprawa Litwy albo była przez jednych całkowicie usuwana z porządku, albo przez drugich stawiana bardzo płytko, na gruncie najelementarniejszych apetytów posiadania i pochłonięcia, dziś ona merytorycznie, dojrzewając, bardzo się pogłębiła w nowych koncepcjach. Z gruntu aneksji lub jakiegoś mdławego i w istocie nieszczerzego stawiania tezy „unii” przechodzi ona coraz kategoryczniej i coraz bardziej świadomie na stanowisko Niepodległości Litwy jako samodzielnej i indywidualnej jednostki prawno-państwowej. Z przyćmionych niewolą i brakiem twórczości politycznej umysłów zaczęła stopniowo pod otrzeźwiająjącym działaniem wielkich wypadków spadać katarakta i do samowiedzy oraz głosu dochodzić instynkt historyczny, rugujący elementarne zmysły chciwości. Zaczęto traktować sprawę stosunku do Litwy w perspektywie dziejowej i uświadamiać sobie czynniki solidaryzmu głębszego, ważąc głęboko warunki historyczne miejsca i czasu, procesów narodowych i społecznych, dokonywających się w obu krajach, układu międzynarodowego itd. I z tego głębokiego zważenia wykrystalizowywać się zaczął postulat Niepodległości Litwy, postulat już nie przez samą Litwę, lecz i przez Polskę także stawiany. Dostrzegałem to od samego początku wojny i wyczuwałem ten solidaryzm wolnościowy, łączący sprawę Polski ze sprawą Litwy wbrew pozorom przeciwnym. Czułem i wiedziałem, że sprawa Niepodległości Polski jest nie przeszkodą, lecz jednym z poważnych czynników Litwy Niepodległości. Z tym także przeświadczeniem, z tą żywą ideą w sercu poszedłem do Legionów Polskich i w nich wytrwałem. Raziło mię i bolało długo, i to więcej, o wiele więcej, niż temu w dzienniku wyraz dawałem, niezrozumienie tej idei w czynnej, najszlachetniejszej, walczącej ofiarnie i męsko o swoją wolność Polsce. Raziło mię to i chwilami łamało, prowadząc nawet do pewnego uginania się i nerwowego szukania choćby połowiczności, ale, wiedziony instynktem, przewyciężyłem te chwile, szedłem prosto w formie mego czynu i wytrwałem, a dziś widzę narodziny tej idei, kiełkującej jeszcze, ale już przecie żywej. Że wielki postulat Niepodległości Litwy zrodził się wprawdzie i dojrzał w samej Litwie, i to właśnie u Litwinów – nic naturalniejszego. Stopniowo zaczął on przenikać do Polaków litewskich, a dziś go i Polska zaczyna przejmować, na nim fundując swój stosunek do Litwy. Jest to tylko początek, coś dopiero kiełkującego. Często jakaś uchwała, jakaś uroczysta deklaracja, proklamująca pewną tezę, nie jest jeszcze wyrazem czegoś zupełnie ustalonego w pojęciach, czegoś dojrzałego. Bywa, że wyprzedza ona świadomość i dopiero świadomość na niej się kształtuje; jest ona wtedy przeczuciem dojrzewania, podświadomym wyrazem procesu kiełkowania idei. Mam wrażenie, że tak jest i w tym wypadku. Od Wakara dowiedziałem się o uroczystej deklaracji w sprawie Litwy, wydanej przez wszystkie polityczne stronnictwa polskie w Warszawie (zaprotestował tylko Władysław Studnicki), stawiającej sprawę Litwy na gruncie Niepodległości. To samo powtórzył mi w parę dni potem Boguszewski. Z rozmowy wszakże z Wakarem mam wrażenie, że to jest właśnie takim przykładem nie rzeczy całkowicie jeszcze dojrzałej, w pełni i całej

głębi przez wszystkich uświadomionej, jeno będącej w stanie kiełkowania. Jest to proces, który sobie toruje dopiero drogę przez dziewiczy gąszcz starych płytkich pojmowań sprawy. Ale już toruje. Witam go serdecznie jako zwiastuna historycznej drogi i wielkiej idei. Sam Wakar nie w zupełności jeszcze tę rzecz pojmuje. Błąka się jeszcze w niezrozumieniu całokształtu i założeń zmiany programu Komitetu Polskiego w Wilnie oraz postulatu samych Litwinów, czepia się pewnych elementów polonizmu Białej Rusi katolickiej, chwytą się myślą uzasadnień podziałowego programu wobec Litwy, usiłując go z tezą niepodległości pogodzić. I jestem pewien, że to nie u jednego Wakara tylko, ale u większości tych, którzy sami rezolucję o niepodległości Litwy przyjęli. Pomimo wszystko nowy prąd odrodzonego instynktu historycznego toruje sobie drogę w pojęciach i postulatach dnia. W związku z tymi właśnie sprawami chciał się Wakar widzieć ze mną. Jemu, a przez niego ludziom z Koła Międzypartyjnego chodzi o nawiązanie pewnego kontaktu z Litwinami, o wysondowanie ich tak dla własnej swojej orientacji co do pewnych niejasnych dotąd dla nich elementów postulatu niepodległości, jak dla przedstawienia Litwinom rodzącego się w Polsce wycucia sprawy litewskiej i jej solidaryzmu ze sprawą polską. Chodziło więc im to. Aby się porozumieć ze mną, czy bym się tą sprawą nie zainteresował i nie pojechał do Wilna, wykorzystując moje bliskie stosunki z Litwinami i zarazem większą łatwość dostania się na Litwę w charakterze wojskowego. Zgodziłem się chętnie, gdy przyjdzie na mnie kolejka urlopowa, na którą w kadrze liczyć mogę mniej więcej w połowie lub końcu lipca. Wprawdzie zamierzam wykorzystać tym razem ewentualny urlop dla pojechania do Bohdaniszek do Papy, ale i do Wilna na dzionek-dwa wstąpię.

Wczoraj otrzymałem od podporucznika Protasewicza-Suszkowskiego list Maryńki, który mi on z Wilna jeszcze przed miesiącem przywiózł; dotąd mi tego listu nie dawał, bo na razie nie wiedział, gdzie jestem, potem się jakoś ze mną nie widział i nawet był o tym liście zapomniawszy. Listek bardzo miły, serdeczny, ciekawy. Załącza mi Maryńka obszerny list jej syna Stefusia do niej z Bohdaniszek pisany. W listach tych jest ciekawa nowina: podobno Zitka Komorowska zaręczona z jakimś Niemcem, dr Nobitzem rodem z Królewca. Któż by to mógł pomyśleć, przed dwoma laty, że Elizka, która tak nienawidziła i wygadywała na Niemców, zgodzi się wydać córkę za Niemca! *Tempora mutantur.*

17 czerwca, rok 1917, niedziela

Już rekruci nasi mają od jutra dostać karabiny. Pozawczoraj w piątek przyjeżdżał generał Bart, komendant „Abteilung für Polnische Wehrmacht”, główny zwierzchnik wyszkolenia armii polskiej; dokonał przeglądu wszystkich naszych oddziałów w Zegrzu i uznał, że rekruci o tyle są już elementarnie wyćwiczeni i o tyle już nabyli postawy żołnierskiej w szyku, że mogą już otrzymać karabiny i przejść do wyższego stopnia wyćwiczenia żołnierskiego. Wśród rekrutów wiadomość o rychłym otrzymaniu karabinów obudziła szczere zadowolenie; choć wiedzą o tym, że przybędzie im przez to dużo ciężaru, dużo nowej pracy i kłopotu oraz odpowiedzialności, jednak już o tyle wyrosli z cywila na żołnierza jak motyl z poczwarki, że już się instynkt żołnierski w nich obudził: instynktem tym czują, że żołnierz dopiero wtedy jest naprawdę żołnierzem, kiedy już posiada broń, zarówno broń białą u boku (bagnet), jak zwłaszcza karabin, który jest jak najlepszy towarzysz żołnierza, jak jego wierna żona w najtrudniejszych chwilach twardego zawodu. Będą mieli nową mękę w opanowaniu karabinu, a jeszcze większą z utrzymaniem go i czyszczeniem, które będzie przestrzegane z pedanterią bezwzględna, a pomimo to jednak cieszą się, jak dzieci. Na ogół nasi rekruci nieźle się dotąd wyćwiczyli w tym, co przeszli. Jeżeli są jeszcze braki, to bardziej z winy instruktorów i komendantów, niż z ich własnej. Porucznik

Hertz-Barwiński, komendant naszej kompanii, człowiek osobiście bardzo porządnym, rozumny, wykształcony, pełny taktu i szlachetnych pojęć, bardzo kulturalny, pod wielu względami przewyższający przeciętny typ naszego oficera – na komendanta rekruckiej kompanii nie nadaje się jednak wcale, szczególnie gdy chodzi o wyćwiczenie tego rekruta i kierownictwo elementu instruktorskiego. Jest to w ogóle człowiek słaby, raczej miękki bardzo („słaby” – nie jest określeniem stosownym), człowiek przez swoją kulturę bardzo subtelny, może nawet wyrafinowany poniekąd. Daje się łatwo opanować przez jakiś wpływ, sam tego nie dostrzegając, bo jak wielu ludzi miękkich, ma poczucie własnej słabości i obawia się jej, pilnie strzegąc swej samodzielności; strzegąc jej jednak zazdrośnie, nie umie ustrzec i faktycznie, zamiast korzystać z doświadczenia lub wiedzy, względnie zalet wszystkich, staje się narzędziem w ręku jednego, który jest mu przygodnie najbliższy i potrafi zręcznie zapanować nad nim. A ponieważ najbliższym komendanta kompanii jest z natury rzeczy sierżant kompanijny, czyli sierżant-szef, więc ten u takich ludzi, jak Barwiński, staje się w kompanii wszechmocnym i rządzi nią autokratycznie, jak się jemu podoba. Porucznik, strzegąc swej samodzielności wobec innych, nie widzi, że sam jest igraszką w ręku sierżanta-szefa. W zakresie więc zarządu kompanii panem jest u nas kompletnym nie Barwiński, lecz Krzymowski, który robi co chce i postępuje bezwzględnie, będąc za to serdecznie znienawidzony przez starych żołnierzy. Żołnierz bowiem z większą łatwością pogodzi się z ostrym postępowaniem ze strony formalnego komendanta kompanii, niż ze strony jego zausznika, a szczególnie nasz żołnierz, który nie lubi uległości i nie uważa się za gorszego od podoficera. Rządy Krzymowskiego nie są zasadniczo złe, bo on sam ma dużo jednak zdrowego sądu o rzeczach i potrafi się w wielu razach lepiej zorientować w jakiejś kwestii, niż Barwiński. To jest w nim jednak złe, że dużą rolę grają u niego uprzedzenia względem ludzi i faworytyzm nieświadomy. Wskutek tego jest on i był zawsze jednym z najbardziej znienawidzonych sierżantów. Barwiński był w III batalionie adiutantem, nie zaś oficerem liniowym, toteż nie ma biegłości w rządzeniu kompanią i mimo najlepsze chęci i wielką uczciwość osobistą, nie umie sobie w wielu razach dać rady. To samo jest w stosunku do ćwiczeń, do których potrzebna jest nie tylko znajomość rzeczy (i tej brak Barwińskiemu), ale także, i to zwłaszcza, sprężystość, energia, umiejętność szybkiego działania i rozkazywania, czego właśnie subtelny i miękki Barwiński nie posiada. Kiedy on jest na ćwiczeniach i on ich plan układa oraz nimi kieruje, to jest po prostu niedołęstwo. Lepszym już znacznie jest Niemiec, podporucznik Petri, przydzielony do naszej kompanii, który zna się na ćwiczeniu i umie nim doskonale zarządzić, jeno że jako człowiek bardzo grzeczny, taktowny i zresztą służbowo Barwińskiemu podległy, ustępuje mu zawsze pierwszeństwa i kierownictwa. Za to miało się po prostu rozkosz prawdziwą, kiedy w zeszłym tygodniu, w nieobecności Barwińskiego, przez kilka dni zastępował go chorąży Szajewski, znakomity mistrz musztry, znawca jej i świetny instruktor. Przez te kilka dni pod Szajewskim ćwiczenia szły świetnie. Wszystko odbywało się spokojnie, jednostajnie, ze ścisłą metodą. Rekrut rzeczywiście się uczył, instruktor wiedział, czego się trzymać. Rekrut się nie zmęczył, nie zmanierował, instruktor sam się nauczył i ćwiczył energicznie, wiedząc, że to, co rozkazuje, czego żąda, jest ustalone i dokładne. W takich warunkach inaczej brzmi komenda i inne jest wykonanie. Wszystko jest przejrzyste, ściśle, pewne. W musztrze są to zalety nieocenione. Słusznie zaś się mówi, że jaką jest komenda, takim wykonanie. Jedną z najgorszych rzeczy w musztrze jest komenda niezdecydowana, chwiejna, oparta na czymś nieustalonym, prawie że dowolnym. W takim ćwiczeniu dużo się nauczyć nie da, a zmanierować rekruta łatwo. Plagą naszą, jedną z najgorszych w wojsku, jest zmienność komend w musztrze, nieustalony regulamin, który się ciągle, co parę miesięcy, a nawet tygodni w szczegółach zmienia. Powodem tego jest usiłowanie

wytworzenia zindywidualizowanej musztry polskiej, która, acz się funduje na niemieckiej, jednak różni się w szczegółach. Coraz to nowe komisje regulaminowe coś zmieniają, wykreślają lub dodają i regulamin musztry coraz się zmienia. A w tej niestałości w różnych oddziałach różne wydawano komendy i różnie je wykonywano. Toteż teraz każdy instruktor, pochodzący z innego oddziału (baonu, a nieraz kompanii) inaczej wydaje komendy i innego żąda wykonania. Wytwarza to chaos nie do opisanego wewnątrz nawet jednej kompanii rekruckiej, gdzie personel instruktorski pozbierany został z różnych oddziałów. Na wyćwiczenie rekruta wpływa to bardzo ujemnie. Gdy był Szajewski, brał on to w sprężyste karby swej woli, ustalał jednolitość i żądał bezwzględności stosowania się. Gdybyśmy go mieli na stałe za kierownika ćwiczeń, kompania nasza z tym materiałem rekruckim ćwiczyłaby już świetnie.

We czwartek 14 czerwca mieliśmy znowu awanturkę obiadową w naszym baonie. Wprawdzie od dwóch tygodni wikt się znacznie na ogół polepszył i zarządzone zostały pewne reformy ewidencji i kontroli tego, co się żołnierzowi istotnie należy i czy to, co się należy, otrzymuje, jednak gdy którego dnia obiad wypadnie szczególnie marny, żołnierze, czy to starzy, czy rekruci, gotowi są zawsze do manifestacji. Tego dnia była na obiad znienawidzona brukiew. Było wprawdzie w tej zupie brukwiówce sporo drobnego rozgotowanego mięsa i trochę kartofli, jednak brukiew psuła wszystko; były to same pokrajane kłęby brukwi, czyli „kaczany”, jak się u nas na Litwie mówi, łykowate i w dodatku nadgniłe, nadające całej zupie woń strawy, którą zwykle gotują świniom. Wieść o takiej brukwiówce obleciała „balonem” (to samo, co „piorunem”) koszary, gdyśmy tylko z ćwiczeń przyszli. Powstało wrzenie i zbudził się instynkt protestu, skąd – strajk obiadowy.

18 czerwca, rok 1917, poniedziałek

Obiad czwartkowy ze znienawidzoną, a tym razem jeszcze nadgniłą, śmierdzącą i łykowatą, zupełnie jak drzewo brukwią – wywołał wielkie poruszenie wśród żołnierzy i obudził znowu projekty strajku obiadowego, jak przed dwoma tygodniami.

Doświadczenie nieudanego strajku poprzedniego nie nauczyło żołnierzy: zresztą liczyli może, że choć strajk sam przez się nie uda, to znaczy że zostanie formalnie przełamany, jednak pozostanie wyrazem protestu, który bądź co bądź zmuszać będzie przełożonych do liczenia się ze sprawą żywnościową i do pewnych zarządzeń na rzecz poprawy wiktów. Nie mogę odmówić pewnej słuszności temu rozumowaniu, bo jednak, pomimo niepowodzenia strajku, pomimo ewentualnych zań represji, miewa on pewien skutek; tak było i po ostatnim strajku: został on bezpośrednio przełamany, ale wikt się znacznie od tego czasu poprawił. Nastrojom strajkowym byłem bardzo przeciwnym, nie tylko ze względu na jego skuteczność lub nieskuteczność, ile na demoralizujący jego wpływ na rekrutów, oswajających się tą drogą z niewojskowym załatwianiem spraw. Wiedziałem, że sam strajk skończy się błazeństwem, bo po pierwszym oporze cała masa, gdy się na nią krzyknie i energicznie rozkaże iść i obiad brać, pójdzie i weźmie. Przeciwny byłem ja, Trzęsiński, Marek, a więc wszyscy starsi żołnierze, inni starzy żołnierze w naszej kompanii, sprzyjając po cichu mniej lub więcej strajkowi, zachowywali się dość biernie; za to w innych kompaniach starzy żołnierze byli głównymi propagatorami idei oporu i strajku. Kompanie, które miały iść tego dnia pierwsze w kolejce po obiad do kuchni batalionowej, na razie nie poszły wcale. Z inicjatywy żołnierzy zanieśiono obiad do spróbowania lekarzowi, który po skosztowaniu łyżką z góry, orzekł, że jest jadalny; oficerowie nasi, komendanci kompanii, zaalarmowani wieścią o zamierzonym strajku obiadowym, pośpieszyli do kuchni i po spróbowaniu obiadu z kotła, uznali również, że jest dobry. Kompaniom, które pierwsze odmówiły brania obiadu, kazano brać miski i iść do kuchni. Poszły, a za

nimi poszła i masa, zachowując się najspokojniej i z największą rezerwą. Podeszły do kuchni, ale obiadu brać odmówiły; stosując się do nich i nasza kompania obiadu nie wzięła. Wówczas sierżant Krzymowski postanowił sforsować cały ten opór; wezwał do siebie wszystkich nas, komendantów kapralstw, i rozkazał natychmiast wyprowadzić kapralstwa przed koszary na zbiórkę kompanijną. Moje kapralstwo, które na obiad poprowadził był Grudziński, stało jeszcze koło kuchni jak stadko błędnych owieczek, przyglądając się i oczekując, co z tego będzie. Zarządziłem na miejscu zbiórkę kapralstwa i odprowadziłem je na zbiórkę kompanijną przed koszary. Krzymowski miał przemowę, w której wyraził niedopuszczalność protestów zbiorowych i form strajkowych w wojsku, konieczność wzięcia obiadu bez konieczności zjedzenia go, skoro okaże się niejadalnym, wreszcie wezwał rekrutów, by nie słuchali tych, którzy ich namawiają do podobnych wystąpień, posługując się ich rękami dla załatwiania porachunków lub spekulacji, a sami się kryją za ich plecami i śmieją się, gdy potem bieda rekrutów za to spotka. W końcu poprowadził kompanię po obiad sam, z komendantami kapralstw przy każdym kapralstwie. I wszyscy – żołnierz za żołnierzem, kapralstwo za kapralstwem – obiad wzięli. Znalazło się paru takich, którzy, wziawszy obiad, wyleli go demonstracyjnie na ziemię, co gdy spostrzegł sierżant, surowo ich za to ukarał. W ten sposób „strajk” został przez IV kompanię złamany. Gdyśmy wracali z obiadem, grupy żołnierzy z III i IV kompanii, stojące przed koszarami, próbowały nam urągać. Wsiadłem na nich z góry, wykrzyczałem, zawstydziłem starych żołnierzy, którzy namawiają rekrutów do podobnej akcji, nie wahając się ich demoralizować, i nazwałem takich starych żołnierzy w uniesieniu „gówniarzami” (wyraz niezbyt parlamentarny, ale u nas bardzo zwykły, służący do określenia ludzi niedowarzonych, którym jeszcze pstro w głowie). Na mój krzyk w uniesieniu wszystko ucichło, bo jestem zbyt poważanym, aby pozwolono sobie kłócić się ze mną. Żałowałem potem tego uniesienia, bo przecież ta biedna, głodna młodzież miała niewątpliwie pewien instynkt prawdziwy, szukając na tej drodze polepszenia warunków, gdy bez jej protestu nikt się o jej warunki bytowania nie upomni. Kto by mnie znał, mogłoby mu się wydawać dziwnym, że ja występuję przeciwnikiem strajku i nie waham się go przełamać. Inne są jednak warunki i formy robotniczego życia. Inna zgoła natura stosunków społecznych w przemyśle i w ogóle wszelkiej organizacji gospodarczej, inne zaś w wojsku, a szczególnie polskim obecnym. Na tym wojsku polskim ciężą zadania polityczne, do których spełnienia musi się ono sposobić i wszystko to, co szkodzi temu powołaniu wojska, co osłabia wartości, uzdatniające je do tych zadań, jest dziś ujemne, choćby zasadniczo było najśluszniejszym. Takie strajki w umyśle rekruta wytwarzają poczucie chaosu miast sprężystości wojskowej i przyzwyczajają go do lekkomyślności i zwłaszcza zblazowania, które jest najszkodliwszym. Swoją drogą awanturka ta poskutkowała. Ponieważ zupka z brukwi okazała się rzeczywiście po jej wzięciu i skosztowaniu prawie niejadalną, Krzymowski sam zrobił w tej sprawie ruch i wpłynął na porucznika, który stanął do raportu do majora Fabrycego: wikt od paru dni znowu się polepszył i zajęto się sprawą kontroli nad zaprowiantowaniem żołnierzy i wyznaczony został do tego kapitan Piskor.

Tegoż dnia, we czwartek zaprosił mnie do siebie podporucznik Protasewicz (pseudonim Suszkowski) dla zobaczenia się z dr Boguszewskim, który wpadł do Zegrza z Warszawy. Protasewicz sam jest z Litwy, ze znanej w kraju rodziny, szkoły kończył w Mińsku, gdzie kolegował z Boguszewskim, siostrę ma w Wilnie zamężną za p. Połubieńskim. W Legionach poznałem go już dawno, ale choć mnie nieraz do siebie zapraszał i był bardzo względem mnie uprzejmy, nigdy u niego nie byłem i dotąd w bliższe stosunki nie wszedłem. Dopiero teraz byłem u niego po raz pierwszy. Przyjął mnie świetną kolacyjką, prawdziwą ucztą w tych czasach: sporą misą mleka kwaśnego z

całą menażką pełną kartofli, a na ostatek dał herbaty. Był i Boguszewski, którego lubię i cenię więcej, niż kiedyś w Wilnie. Jest to w każdym razie umysł żywy i pełny inicjatywy. Do niego to istotnie należą te wielkie pomysły zakończenia wojny przez marsz Legionów na Litwę i ogłoszenie niepodległości Litwy, wywołując tam powstanie ludowe, o których raz wspominałem w dzienniku. Boguszewski, łączący żywość umysłu z wielką jego giętkością i poczuciem realizmu, dużo się też przyczynił do skierowania myśli politycznej polskiej ku hasłu niepodległości Litwy. Spędziłem u Protasewicza parę godzin. Namawia mię on do swojej kompanii, w której chciałby mieć kogoś poważniejszego (ma on jedną z kompanii w III baonie) i daje mi do zrozumienia, że tam bym szybciej awansował. Zwłaszcza gdy się dowiedział, że Barwiński mię do nominacji nie przedstawił, zaczął mię do siebie ciągnąć. Wątpię jednak dla wielu względów, czy bym się na to zdecydował. Jednym zaś z głównych względów ten, że nie chciałbym opuszczać mego VI kapralstwa, do którego się przywiązałem. Nie chciałbym tej pracy, rozpoczętej nad moimi rekrutami, przerywać, oddając ich w ręce innych ludzi i biorąc samemu nowy bagaż nieznanych mi i może już zmanierowanych rekrutów.

19 czerwca, rok 1917, wtorek

W sobotę 16 czerwca sierżant Krzymowski przed swoim wyjazdem na urlop dokonał nowego podziału kompanii, głównie w celu uregulowania kwestii starych żołnierzy, jednej z bolączek kadry. Rekruci pozostali nadal rozdzieleni na 6 kapralstw, każde kapralstwo pod komendą jednego bądź starszego żołnierza, bądź szeregowca ze starych (I kapralstwo – Duda, któremu funkcja została przez porucznika przywrócona, II kapralstwo – Trzęsiński, III – Marek, IV – Godlewski, V – Dembski i VI – ja). Reszta starych żołnierzy, zostających bez funkcji, została całkowicie z kapralstw rekruckich wyłączona i wydzielona w osobne, VII kapralstwo. Starzy żołnierze, których większość okazała się do roli instruktorów oraz pedagogów rekruckich niezdadna, stając się nieraz nawet czynnikiem demoralizacji rekruta, będą odtąd chodzić na ćwiczenia jako osobna sekcja i ćwiczyć sami jak zwykli żołnierze. Pozycja starych żołnierzy stała się tu rzeczywiście przykra; nie chciałbym być na ich miejscu; od wpływu na rekrutów zostali usunięci, stracili te przywileje oraz ten pewien autorytet instruktorów i starszych, jaki na razie wobec rekrutów mieli, spadli do rzędu pospolitych pariasów, a nieraz nawet gorzej, bo wołów roboczych, których się przeważnie używa do wszelkich robót, wypadających na kompanię. Rekrutów, których się ćwiczy, oszczędza się więcej, niż starego żołnierza, który, będąc w kadrze, nie nadaje się do funkcji kadrowych. Miano pewną ich ilość odesłać do pułku, ale dotąd nie zrobiono tego. Pozostają oni tutaj nadal w jakiejś niewyraźnej i nieokreślonej roli, trochę nawet upokarzającej wobec rekruta. Nic też dziwnego, że są oni z losu swego niezadowoleni, że stają się gorzcy i pełni humorów jak woreczki żółciowe, że szemrają i dokoła szerzą atmosferę zniechęcenia. Skądinąd jednak w interesie wyćwiczenia i poziomu moralnego rekrutów lepiej się stało, że tych zniechęconych i zniechęcających otoczenie malkontentów pousuwano z kapralstw rekruckich; w moim kapralstwie byli oni dla mnie zawsze nie pomocą, ale przeszkodą w planowym oddziaływaniu na rekrutów; wolę, że ich odtąd w najbliższym otoczeniu mieć nie będę. Bo też zaiste niefortunny był ich dobór z pułku do kadry. Ci, którzy zachowali obecnie funkcje komendantów kapralstw, jak zwłaszcza Marek, Godlewski, Trzęsiński lub kilku innych, pozostawionych, niestety, bez funkcji, jak Nosarzewski, Mucha, mają zalety kwalifikujące ich do kadry, ale różne Stasiaki, Śrubki, Ciury, Skowrońscy, Kwarciane itp. – to śmieci do niczego, zarówno w liniowym wojsku, jak tym bardziej w kadrze.

W kapralstwach rekruckich zaszły pewne zmiany co do podziału ludzi, ale w moim kapralstwie VI-tym, jako skrzydłowym, wszyscy zostali ci sami; cała moja piątka –

Szywiak, Drygasiewicz, Szczygielski, Mioduszewski i Skuza – pozostała nietknięta, a oprócz tego dodano mi dwóch nowych rekrutów, którzy wigilią tego dnia przyjechali do kadry i przydzieleni zostali do naszej kompanii – niejakiego Hojentę i Wutkę. Obaj są chłopcy pojętni, chętni, grzeczni. Jeden z nich Hojenta z powiatu łukowskiego, z zawodu szewc, lat 19, ukończona szkołka 1-klasowa, drugi Wutka z powiatu łukowskiego, nauczyciel ludowy, lat 22, ukończonych 5 klas szkoły handlowej i praktyka nauczycielska. Zadowolony jestem z nich obu; obaj są dobrym materiałem żołnierskim, nie zepsują mi dobrego zespołu kapralstwa. Obaj przez czas jakiś należeli do P.O.W. i już znają początki ćwiczeń. Hojenta – chłopiec silny, dobrze zbudowany, roztropny, karny, zręczny do ćwiczeń, Wutka – mniej zgrabny w postawie, trochę skrzywioną ma postać, ale zwinny, bardzo chętny, pogodny, przy tym chłopczyk inteligentny, moralnie, a spodziewam się i ideowo, wysoko stojący. Rad z nich jestem. Tegoż dnia w sobotę otrzymałem od Hellera z Pomiechówka list ze szczegółami o radzie żołnierskiej I pułku. Zacytuję odnośny ustęp z listu: „I my poszliśmy za Waszym przykładem i odwołaliśmy się do ogółu żołnierskiego w sprawach rady. Wyniki bardzo dodatnie. W naszej kompanii tak tę rzecz przeprowadzono, że naprzód zwołano w jednej z izb podoficerskich zebranie najbardziej ideowych ludzi z kompanii całej i tym przedstawiłem historię, cele i dotychczasową działalność rady, od Zambrowa począwszy. Postawiłem sprawę otwarcie: czy rada jest potrzebna, a gdy się na to zgodzono ogólnie, czy ma ona być tylko po to, żeby być, dlatego tylko, że inne pułki mają takie rady, czy też ma ona mieć możność i obowiązek, nie oglądając się czasem w górę, zainicjować akcję, którą uzna za stosowną, a zmuszającą do utrzymania „narodowego charakteru wojska”, niedopuszczenia do dalszego rozdzielenia itd. W tym też duchu specjalnie wybrana komisja ułożyła rezolucję (w tej komisji udziału nie brałem) bardzo radykalną i o szerokiej podstawie, nadającą radzie nawet prawo rozkazywania. Po tym zebraniu odbyło się zebranie całej kompanii, oczywiście już mniej interesujące, na którym przyjęto wszystko to i wybrano dwóch członków rady. W innych kompaniach to samo się robi, choć w innej może formie. Nowa rada ma się zebrać w tych dniach”. Poza tym Heller wspomina w liście, że u nich wnoszone są znowu podania poddanych austriackich o poddaństwo polskie na podstawie dwóch formuł: a) o stałe poddaństwo polskie i b) o poddaństwo polskie tymczasowe. Heller podaje, że hrabia Czernin, austriacki minister spraw zagranicznych, w odpowiedzi deputacji Koła Polskiego w Wiedniu, złożonej z Lea, Moraczewskiego i innych, oświadczył, że austriacka A.O.K., oddając Legiony, była zdecydowana odwołać z Legionów austriackich poddanych koło lipca. Koło Polskie zajmuje się tą sprawą. Czy istotnie Austria decyduje się na to i jakie będą tego skutki – zobaczymy. Sprawa ta zajmuje bardzo ludzi w pułku, w ogromnej większości Galicjan. Jest ona w tej chwili rzeczywiście bodaj jedną z najaktualniejszych. Wczoraj miałem też list od Mieszkowskiego z pułku, który mi o tym samym donosi, mówiąc, że wszyscy z niepokojem czekają tego lipca jako terminu ewentualnego odwołania.

20 czerwca, rok 1917, środa

Właściwie dotąd jeszcze nie dopędziłem w dzienniku dnia dzisiejszego. Od początku maja, od przyjazdu do Zegrza, późnię się ciągle. Ale teraz bliski już jestem dnia dzisiejszego i zaraz go już dopędzę; muszę to już zresztą zrobić, bo jakeśmy się dziś dowiedzieli, w tych dniach mamy opuścić Zegrze, a przez to samo wstąpimy w nowy, odrębny okres bytowania; nie bowiem tak nie wyodrębnia okresów w życiu, jak zmiany miejsca pobytu, choćby zasadniczo innych poza tym zmian nie było.

Cofam się do niedzieli 17 czerwca. Spodziewałem się tego dnia przyjazdu do Zegrza Heli Ochenkowskiej i Ludwika Abramowicza z Warszawy. Zapraszałem ich parę razy

listownie, a w ostatnim liście prosiłem o przyjazd na tę właśnie niedzielę. Zapowiedzieli oni mi przez Boguszewskiego, który był przed paru dniami, że przyjadą. Czekałem ich na godz. 8 rano, sądząc, że się wybiorą ranną kolejką. Tego dnia wstałem przed świtem, o godz. 3 rano, aby pójść się wykąpać o wschodzie słońca. Ponieważ mamy teraz tzw. wojenny czas letni, polegający na przesunięciu zegara na czas od kwietnia do września o godzinę naprzód, więc faktycznie godzina, którą nazywamy trzecią, jest słoneczną godziną drugą. Przepustkę na wyjście poza obręb drutów miałem, bom już się o nią wigilią postarał, uzyskawszy pozwolenie na opuszczenie koszar na całą niedzielę. Przed godziną 4, gdy wszyscy jeszcze spali (w koszarach pobudka jest teraz u nas o godz. 5), wyszedłem. Czas mamy teraz tak śliczny, pogodę od dłuższego czasu taką, że kąpiel jest rozkoszą. Susza, słońce, skwar – bez ustanku. Jest tak, jak żeby się od nas gdzieś morze oddaliło: nie ukazują się żadne chmurki, po czystym dzień i noc tygodniami niebie płynie we dnie wielkie słońce, nocami księżyc lub gwiazdy; nie bardzo pogodniej jest w pustyni. Jak skwarne są dni, tak miękkie wieczory i noce, a pachnące i rzeźwe – ranki. Wszystko, co rośnie, wydaje ze siebie woń gęstą, nasycając powietrze całą symfonią aromatów. Zboża, drzewa, łąki, kwitnące krzewy, tysiące gatunków traw, każdy rodzaj i gatunek rośliny – wnosi do tego pachnącego chóru swój indywidualny udział. Wyszedłem nad Narew; woda na rzece cicha, gładka jak stojąca; o świcie w pogodnej rzece wśród zieleni wysp odbija się w stalowej barwie wody wielki *à rebours* kontur jednego przęsła mostu, wysadzonego w powietrze przy odwróceniu Rosjan; z zarośli i krzewów nad odnogą Narwi dolatuje głos milknących słowików. Cisza i piękno. Nad jeziorkami i stawami po bokach Narwi wznoszą się lekkie opary poranne, płynące nad wodą z powiewem wietrzyka. Rozebrałem się na nasypie, oddzielającym zatokę Narwi od jeziora, na prawo od szosy prowadzącej na zniszczony most i po wilgotnej łące, pokrytej zimną rosą, przebiegłem do wody. Woda, cieplejsza od porannego powietrza, sprawiała wrażenie grzanej – tak była ciepła; płynąłem po niej wśród oparów, pędzących po jej powierzchni jak jakiś wir tanecznych par po śliskiej posadzce salonu. Po krótkiej kąpieli, którą zużyłem wyłącznie na ulubione pływanie, wyszedłem z wody. Słońce wstawało. Wróciłem do koszar na kawę, potem się wybrałem koło godz. 8 na szosę na stację kolejki na spotkanie Abramowicza i Heli. Przyszedł pociąg kolejki, ale nie przyjechali. Chodziłem jeszcze na inne pociągi, ale się przyjazdu gości nie doczekałem. Pod wieczór otrzymałem pocztówkę od Ludwika Abramowicza, że przyjechać nie mogą.

Tegoż dnia w niedzielę wypadła mi służba: posterunek na moście na Narwi w celu nieprzepuszczania na drugą stronę rzeki legionistów bez przepustek. Służba ta, ustanowiona tylko na dni świąteczne, wypadła tej niedzieli na naszą kompanię. Do służby tej używani są tylko starzy żołnierze i podoficerowie; służba lekka, bez karabinów. Każda zmiana ma służbę po trzy godziny i składa się z jednego podoficera i posterunkowego szeregowca; na mnie wypadła służba w sam skwar południowy, od godz. 11 $\frac{3}{4}$ do godz. 3; byłem w charakterze podoficera, mając dodanego szeregowca Dudę; pełniliśmy jednak służbę tę nie razem, lecz na równych warunkach na zmianę; wpięrw wystąpiłem ja, potem – Duda.

Nazajutrz, w poniedziałek 18 czerwca, wydano nam wieczorem karabiny dla rekrutów; do karabinów wydano bagnety i sznury. Rekruci cieszyli się, czując się wreszcie żołnierzami. Wczoraj rozpoczęliśmy pierwsze ćwiczenia rekrutów z karabinami: na ramię i do nogi broń, klękni z karabinem, w kozły broń, oczywiście wszystko jeszcze na tempa. Pierwsze początki nie szły tak źle, jak się można było obawiać. Nasi rekruci są już trochę rozruszani i teraz takie rzeczy nowe, jak chwyt karabinu, nie są im już tak trudne, jak pierwsze, skądinąd nawet łatwiejsze ćwiczenia elementarne (postawa zasadnicza, zwroty).

Od wtorku rozpoczęły się pod komendą chorążego Szajewskiego specjalne ćwiczenia, wyłącznie dla starych żołnierzy, po godzinie po południu dziennie. Chodzi o ujednolicienie wykonywania ćwiczeń i wydawania komend wśród tych, którzy są używani za instruktorów do ćwiczenia rekrutów. Taki doskonały znawca musztry i mistrz ćwiczenia, jak Szajewski, przyda się bardzo do wypełniania tego zadania. Brak jednolitości w komendzie i jej wykonywaniu jest jedną z głównych wad naszej kadry, która się ciągle mści na wyszkoleniu rekruta. Zainicjowanie tych ćwiczeń starych żołnierzy jest rzeczą bardzo dobrą.

Słyszałem wczoraj pogłoskę, że Wilno od paru dni się pali. Czyżby to była prawda? Sądzę, że to jakaś błędna kaczka.

21 czerwca, rok 1917, czwartek

Znowu zaczęła się strefa pogłosek. Żyjemy pod ich znakiem, jak zawsze w jakichś chwilach przełomowych. Z nami to jest chronicznie tak: żyjemy w jakichś warunkach, zawsze niedoskonałych, zawsze nie odpowiadających tęsknotom i ideałom żołnierzy legionowych, zastosowujemy się do nich, trwamy jakoś i czekamy chwili stosownej, kiedy to się zmieni na lepsze. Tymczasem co pewien czas robi się ruch, napływają pogłoski, jedna dziwniejsza, jedna fantastyczniejsza od drugiej, horyzont naszego życia zaciąga się chmurami domysłów i ciężkiej niepewności, a z dala oświeclają mrok błyskawice zarysowujących się podług woli przeważnie obcej – faktów. Ukazują się symptomy tendencji austriackich i niemieckich, które zawsze, niestety, kierują tymi zmianami i określają naturę dokonywanych faktów. Bardzo się rzadko zdarza, aby te fakty odpowiadały naszej woli i naszym pragnieniom. W ciężkim i prawdziwie męczeńskim rozwoju dziejów legionowych takie chwilki jaśniejsze, kiedy coś zdawało się nam po naszej myśli świtać i kiedy jakaś zmiana w naszym położeniu zdawała się iść po linii naszych ideałów, należały zawsze do wyjątków, a bardzo często tuż za nimi następowały fakty, które ujawniały całą złudność naszej oceny tych zmian lub naszej nadziei, do nich przywiązywanej. Gdy przebiegam myślą ostatni okres bytowania Legionów od czasu wycofania ich z linii znad Stochodu, to znaczy od października 1916, to dostrzegam bodaj tylko trzy takie momenty, kiedy zapowiadały się nam, przynajmniej w naszym przekonaniu, radosne zmiany w naszym położeniu, prowadzące nas, a przynajmniej zbliżające do naszego celu. Było to: po raz pierwszy – w pierwszych dniach października po dymisji Piłsudskiego, gdy wszystkie pułki nasze wycofano z linii i zawagonowano w Grywiatkach; sądziliśmy, że biorą nas w swoje ręce i poniekąd w swą opiekę Niemcy, których uważaliśmy za mądrzejszych od Austriaków i zwłaszcza politycznie dojrzałszych; liczyliśmy, że Niemcy, o których parciu w kierunku niepodległości Polski wiedzieliśmy, załatwią kryzys w Legionach wytworzony przez dymisję Piłsudskiego w myśl polskich żądań narodowych, zgodnie z tą linią niepodległościową, którą oni sami w swej polityce polskiej stosowali; że martwy punkt bez wyjścia, punkt ostrego kryzysu, na którym w naszych stosunkach z Austriakami utknęliśmy, zostanie przez Niemców, jako ludzi nowych wobec nas, uchylony i że Niemcy zużytkują swój nowy związek z nami na rzecz solidaryzmu ich i naszych dążeń; cieszyliśmy się, że wychodzimy ze związku z Austrią, który nam już bokiem wychodził i żadnych perspektyw na przyszłość nie wróżył i byliśmy dobrej myśli co do związku z Niemcami; byliśmy przekonani, że wyjeżdżamy na tyły do Królestwa i to mianowicie do okupacji niemieckiej; nadzieja i dobra wróżba trwała bardzo krótko: obudziliśmy się nazajutrz rano w... Baranowiczach! Pryśły nadzieje, a na ich miejscu powstało realne zjawisko przeniesienia nas z jednego odcinka frontu na inny, głębszy i dalszy. I znów czekaliśmy, siedząc w Baranowiczach w rezerwie korpusu, gotowi każdej chwili do wymarszu na linię do okopów. Przewlekało się to

już, zostawiając nasz stary kryzys wciąż w dawnym napięciu, aż przyszedł wreszcie drugi wielki i promienny nadzieją dzień – dzień 5 listopada. Odżyliśmy znowu. Tym razem wiara nasza i nadzieja trwały dłużej. Nie zabiły jej od razu jakieś fakty pojedyncze: umierała ona boleśnie i powoli, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc jak człowiek śmiertelnie chory na suchoty. Po raz trzeci – oświadczenie Szeptyckiego o tym, że władze wojskowe niemieckie zdecydowały się na użycie Legionów za kadrę armii polskiej i nasz wyjazd wkrótce do Królestwa (naszego pułku – do Łomży). Zdawało się nam, że wchodzimy w nową erę, przyjeżdżamy do kraju pod sztandarem narodowego wojska, pełni chwały i świadomości moralnego zwycięstwa naszej Sprawy. I tuśmy stopniowo pożegnali nasze początkowe piękne nadzieje. Ale jeżeli my mamy ciągle zawody, to doprawdy i my naszym przyjaciółom Niemcom i Austriakom dostarczamy nie mniejszych. Jesteśmy dla nich twardym orzechem do zgryzienia. Ich praktyki, dokonywane na nas, przypominają bajkę Kryłowa o małpie i okularach albo drugą bajkę tegoż autora o „Тришкином кафтане”: próbują nas zażyć na wszystkie sposoby, stosują do nas rozmaite metody, coś łatają, fabrykują, majstrują w swojej kuchni politycznej – i ani rusz, nic z tego nie wychodzi, jak nie mają tej armii polskiej, ciężącej do nich i będącej miękkim narzędziem w ich rękę, tak nie mają i z nas żadnej korzyści dla swych celów politycznych wyciągnąć nie są w stanie, jak ta małpa, co to sobie nakładała okulary i na ogon, i na ucho itd. I nie widziała przez to lepiej, niż poprzednio, aż je wreszcie stłukła o kamień w złości. Od czasu do czasu Niemcy robią wielki ruch, przenoszą nasze pułki z miejsca na miejsce, nasyłają instruktorów, ćwiczą nas, zakładają kursy wykształcenia, to znowu organizują z pompą aparat werbunkowy, wreszcie zakładają na wielką skalę obozy ćwiczebne rekruckie, wydzielają z pułków kadry, powołują zwербowanych rekrutów, dzielą ich na kadry, następnie przenoszą je z miejsca na miejsce, a wóz jak stał, tak stoi i my jakimiś byli, takimi jesteśmy. Bo brak tylko drobnej rzeczy do tego, aby z nas istotnie mogło wojsko polskie powstać: brak państwowego charakteru tego wojska. I żadne zarządzenia i łatania niemieckie nie mogą naszego ideału w nas stłumić.

Rozeszła się wieść wczoraj po południu, że kadra nasza wyjeżdża w dniach najbliższych. Nie chciałem na razie temu wierzyć jako dowolnej i nieodpowiedzialnej pogłosce, tym bardziej, że łączono to z gawędą o jakimś dziwnym wyjeździe naszego pułku do... Białegostoku! Wkrótce jednak pogłoska ta zaczęła się konkretyzować. Porucznik Barwiński przed odprawą dla komendantów kapralstw potwierdził tę wieść dodając, że Niemcy chcą przy tym nas, to znaczy oficerów, podoficerów i żołnierzy z pułku, od rekrutów oddzielić. Rekruci mają być wywiezieni stąd do Ostrowia, gdzie mieści się inny obóz rekrucki, tu zaś mają przyjść werbunkowcy dla wyćwiczenia się w musztrze niemieckiej, o co Sikorski się wystarał (podobno Sikorski nosi się z myślą utworzenia z werbunkowców, których personel liczy do 2000 ludzi, nowego samodzielnego pułku). Barwiński zaznaczył, że jego zdaniem oficerowie powinni zaprotestować przeciwko odebraniu od nas rekrutów, względnie wycofaniu nas. Wieść ta zaniepokoiła nas, mnie zaś w szczególności uderzyła niemiłe; przywiązaliśmy się już do naszych rekrutów i pracy nad nimi i oswoiliśmy się z traktowaniem ich za materiał nasz, który stopi się z nami i zasili nas. Wkrótce już w kartach służbowych z baonu ukazały się wzmianki o „przeniesieniu kursu wykształcenia”: zażądano telegraficznego odwołania do Zegrza wszystkich urlopowanych. Nie ulegało już wątpliwości, że coś się w najbliższych dniach przygotowuje: to coś ważnego, co ma być nowym faktem dokonany i ma być właściwie przeciw nam zwrócone.

Od wczoraj wieść o wyjeździe kadry z Zegrza do Ostrowia streszcza się coraz bardziej. Dziś stało się to już pewnikiem, jak również pewnikiem to, że kadra I pułku zostaje całkiem zwinięta, przez to samo my wszyscy, starzy żołnierze (oficerowie, podoficerowie i szeregowcy) wracamy do macierzystego pułku, rekruci zaś nasi zostają przydzieleni do kadry II pułku i odchodzą do Ostrowia, gdzie się ona znajduje. Z kadrami III pułku postąpiono inaczej: kadrę tę utrzymano, jeno zostaje ona przeniesiona do Ostrowia w całości. Z tym łączono wczoraj pogłoski o postanowionym rzekomo wysłaniu całego I pułku na front, podług innej zaś wersji – o całkowitym rozwiązaniu I pułku i rozpuszczeniu wszystkich żołnierzy do domu. Co do wersji wysłania I pułku na linię, to gdyby się to sprawdziło, to wobec istniejącego w naszym pułku i szerzącego się jak rdza na żelazie usposobienia, jestem pewny, że znaczna część, jeżeli nie większość pułku, przesłababy na stronę Moskali. Że dłuższe trwanie naszego pułku w tych warunkach politycznych i w tym stanie moralnym, jaki jest obecnie, jest bez postępującej równolegle demoralizacji niemożliwym – to fakt. Stan jest taki, że pułk nie może już trwać i musi się demoralizować; pod względem moralnym i wojskowym są to już tylko łachmany wojska, a nie wojsko; do wojskowego użytku w linii pułk nasz już jest niezdatny, a cóż dopiero do walki przeciwko Moskalom po stronie czy to Niemiec, czy Austrii! Odrodzić pułk I mogłoby tylko jedno z dwojga: albo spełnienie jego idei, to znaczy upaństwowienie (unarodowienie) wojska w całym znaczeniu słowa, co oczywiście mogłoby się dokonać tylko w związku z rozwiązaniem państwowym sprawy polskiej w całej rozciągłości, albo bezpośredni czyn rewolucyjny, który albo spełniłby ten pierwszy warunek, albo spaliłby i zniszczył pułk. *Tertium non datur*. W każdych innych okolicznościach będzie go żreć rdza, której postępy niczym się już pono zażegnać nie dadzą.

Wieść, że mają nam odebrać rekrutów i że będziemy musieli wracać do pułku, podziałała na nas wszystkich niezmiernie przygnębiająco. Ja osobiście tak się przywiązałem i do samej pracy nad rekrutami, i do samych nawet osób rekrutów w moim kapralstwie, że powrót do pułku jest dla mnie ciosem. Powrót do tej beczynności pułkowej, do tego stanu jałowej wegetacji, bez celu i bez perspektywy – przejmuje strachem. Sama myśl o tym jest prawdziwą męką. Dawniej miało się jeszcze jakąś iluzję użyteczności w radzie żołnierskiej, w gotowaniu się do jakiegoś wielkiego czynu rewolucyjnego, który natchnie Legiony nową płodnością w Sprawie. Szukało się w tym ratunku; dziś wiary tej już nie mam, skuteczności rady żołnierskiej nie ufam. A szczególnie teraz, gdy zakosztowałem w Zegrzu intensywnej pracy nad rekrutami, gdy się wdrożył w działanie ciągle, wypełniające cały czas, powrót do suchotniczej wegetacji pułkowej staje się podwójnie ciężki. Nie wiem, jak wytrzymam. Praca kadrowa nad rekrutami daje to, co wszelka twórczość; w samej twórczości jest źródło rozkoszy, niezależnie nawet od celów, którym ona służy; twórczość ma swoje własne cele sama w sobie; przerwanie niedokończonej pracy twórczej i przekazanie jej przymusowe komuś innemu jest rzeczą bardzo ciężką dla twórcy. W tym tkwi jeden z najboleśniejszych dla mnie elementów naszego wyjazdu. W dodatku do tych rzeczy przykrych słyszymy jeszcze to, że w pułku stosunki wewnętrzne weszły w stadium rozluźnienia i awanturnictwa: podobno ciągle jakieś burdy, zajścia między oficerami a żołnierzami na gruncie zatargów o dziewczyny, niesubordynacja z jednej strony, samowola i zły przykład z drugiej, pełny awanturniczych epizodów strajk obiadowy w III baonie itd. Pomimo zupełnie już ustalonych wczoraj twierdzeń o oddzieleniu rekrutów od nas i przekazaniu ich kadrze II pułku z odesłaniem całego instruktorskiego personelu I pułku do Modlina i Pomiechówka, nie chciałem jeszcze wczoraj temu wierzyć. Spodziewałem się wciąż, że się jeszcze coś zmieni, że wersje te okażą się niezupełnie ściśle i że rekruci będą nam pozostawieni i wraz z nami do Ostrowia

odesłani. Dziś wszelka wątpliwość prysła. Co do pogłosek, to mówiono wczoraj, że te translokacje obozów i pułków są w związku z zamierzonym rzekomo nowym podziałem okupacyjnym Królestwa między Niemcami a Austrią, którego mocą okupacja austriacka ma być rozszerzona i rozciągnięta na Warszawę.

Koło godz. 2 po południu na tzw. placu alarmowym zarządzona została zbiórka całej kadry I pułku, którą ustawiono baonami; każdy baon utworzył osobne zamknięte *carré*, w którego środek wstąpił komendant baonu, kapitan niemiecki, dla wygłoszenia przemówienia pożegnalnego. Do nas przemówił zastępca komendanta I kadrowego baonu, kapitan Emenlat; mówił, jak zawsze, po niemiecku, a na tłumacza wezwał oficera Austriaka z karabinów maszynowych; oświadczył na wstępie, że po raz ostatni przemawia do baonu i żegna się z nim, dziękując za współpracę oficerom, podoficerom, całemu personelowi instruktorskiemu i rekrutom; zwracając się następnie do rekrutów, podkreślił, że ich udział w wojsku i praca nad wyszkoleniem się wojskowym jest służbą dla Ojczyzny, dla Polski, o czym powinni pamiętać i nie zrażać się przemijającymi przykrościami, zwłaszcza w sferze niezbędnych ograniczeń żywnościowych przez czas wojny; zakończył wreszcie, kładąc na to szczególny nacisk, żeby rekruci nie dawali posłuchu szerzonym wśród nich i z pokątnych źródeł płynącym pogłoskom, jakoby mieli oni być oddani w ręce Niemców i następnie po wyćwiczeniu wysłani na front; o tym bowiem nie ma mowy, zostaną oni oddani w ręce oficerów i podoficerów polskich, którzy w tych dniach po nich przyjadą i będą w Ostrowi w takiej samej kadrze, jak tu byli w Zegrzu, w analogicznych zupełnie stosunkach. Jeszcze raz podziękował za dotychczasową współpracę i pożegnał. Kompanie się rozeszły do koszar, a odchodząc nasza I kadrowa kompania zaintonowała znaną, wrogą Niemcom, pieśń do wiersza Konopnickiej – „Rotę”. Inne kompanie śpiewały odchodząc coś innego, ale śpiew „Roty” Konopnickiej, podjęty głośnym, mocnym chórem, pełnym silnego wyrazu, zapanował i zagłuszył inne. Wszystkie kompanie przerwały swój śpiew i stopniowo wszystkie, jedna za drugą, zaintonowały „Rotę” Konopnickiej. Był w tym śpiewie majestat gniewu i woli. Na przedzie szybkim krokiem oddalali się wściekli Niemcy, kapitan Emenlat i inni, za nimi wracały do koszar kompanie z „Rotą” na ustach. Po przyjeździe do koszar cały baon ustawił się przed wejściem w *carré* i zgodnym wielkim chórem odśpiewał raz jeszcze całą „Rotę” i kilka innych stosownych antyniemieckich pieśni.

23 czerwca, rok 1917, sobota

Wieść o zlikwidowaniu kadry I pułku i wysłaniu naszych rekrutów do kadry II pułku, a nas wszystkich z powrotem do pułku macierzystego uderzyła w nas wszystkich jak grom z jasnego nieba – tak była niespodzianą, tak nic jej nie zwiastowało i tak wykonanie następowało szybko za samą wieścią. Poruszyło się u nas wszystko. Poruszyli się głęboko dotknięci w ambicji oficerowie, wrażliwi na upokorzenie, poruszyliśmy się my wszyscy, nasza drzemiąca rada żołnierska, rekruci. A przecież gdybyśmy byli przezorniejsi, moglibyśmy się tego spodziewać. Pomni własnych błędów w naszej poprzedniej akcji w początkach pobytu w Zegrzu i świadomi metodyczności Niemców w przecinaniu trudności faktami dokonanymi, mogliśmy przypuszczać, że potrafią oni wyciągnąć, jeżeli zechcą, konsekwencje realne z naszych poprzednich błędów. Mogliśmy, ale byliśmy zbyt lekkomyślnie i optymistycznie usposobieni, abyśmy o tym pomyśleli. Tymczasem Niemcy nie tają obecnie bynajmniej, że formalne uzasadnienie dla zwinięcia naszej kadry czerpią z własnej naszej akcji w początkach pobytu w Zegrzu. Oczywiście tylko formalne, bo w istocie Niemcy z pewnością nie kierują się tym, aby nam dogodzić i aby stało się zadość konsekwencjom naszych czy to postulatów, czy błędów, jak je nazwiemy. Ale że myśmy im sami

dostarczyli formalnego uzasadnienia do tego, co dziś robią, to nas obecnie wobec tego faktu osłabia, a ich wzmacnia. Wszak myśmy sami ich prosili w Zegrzu po przyjeździe do kadry o przeniesienie nas z powrotem do pułku: dziś oni nas przenoszą! A więc czegoż chcemy?! *Tu l'as voulu, Georges Dandin!* I tym argumentem Niemcy zamykają nam usta i uniemożliwiają wszelką opozycję. Wiemy o tym dobrze i czujemy, żeśmy sami tych argumentów Niemcom dostarczyli. Czują to zwłaszcza oficerowie, bo oni też tu najbardziej zawinili. Nie nam bowiem, ale oficerom to zawdzięczać należy. Myśmy od razu postawili sprawę zasadniczo, po przyjeździe do Zegrza. W raportach żołnierskich z pierwszej połowy maja podaliśmy taką motywowaną formułę prośby o zwolnienie z Legionów: „Kadra wojska polskiego może być tworzona tylko przez władze polityczne i wojskowe polskie”. Była to zasada kategoryczna i prosta, obowiązująca też do prostych konsekwencji. Jedno z dwojga: albo tworzymy wojsko i tylko wojsko bez jakichś politycznych spekulacji, ale wojsko rzeczywiście polskie, narodowe i państwowe, albo prosimy o zwolnienie z Legionów, jeżeli to, co się tworzy, nie jest takim wojskiem. Tymczasem oficerowie, którym, niestety, więcej chodziło o ambicje osobiste i o ambicję stanu oficerskiego, o funkcje swoje w kadrze i tym podobne rzeczy, sprowadzili sprawę z gruntu zasadniczego na grunt szczegółów, targów o pewne koncesje itp., popierając swój targ żądaniem przeniesienia z powrotem do pułku. Spodziewali się, że Niemcom tak będzie o tę kadrę chodzić, iż się ulękną żądania, ba – nawet groźby przeniesienia do pułku i porobią ustępstwa. Oficerowie nie tylko że sami postawili własną akcję na tym gruncie, ale jeszcze i naszą, rozpoczętą na gruncie zasadniczym, na ten sam grunt szczegółów przenieśli. Nasze motywowane żądania zwolnienia z Legionów, złożone im w raportach żołnierskich, pozwolili sobie samowolnie zmienić i przedstawili ją władzom niemieckim kadry w formie prośby o przeniesienie do pułku. Stało się jednak tak, że Niemcy, widząc, że sprawa nie jest stawiana na gruncie zasadniczym, nie ulękli się wcale, jak to naiwnie nasi oficerowie wykalkulowali, i nie ustąpili, a po pewnym czasie, co się właśnie stało obecnie, pokazali sami naszej kadrze drogę do pułku, powołując się na naszą własną poprzednią prośbę. I nic nie pomogło to, że oficerowie nasi, postawiwszy poprzednio pewne warunki co do szczegółów i nie otrzymawszy ich spełnienia, pogodzili się już z sytuacją i pełnili funkcje w kadrze. Wyproszono nas teraz i basta. Teraz łykać musimy upokorzenie i kompromitację, zbłaźnowawszy się w sposób niesmaczny i dziecinny, pozbawiony męskiej powagi i pierwiastków zasadniczych. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Oficerowie sami sobie łoże dzisiejsze posłali i niechże teraz idą się przespać na nim wraz z nami, za których wzięli na siebie odpowiedzialność. Pięknie się z tej trudnej sytuacji wywiązali! Czują to oficerowie i muszą dziś połknąć pigułkę upokorzenia, nie mogąc nic przeciwko temu przedsięwziąć. Są wściekli w duchu, ale doprawdy nie zasługują na wielkie współczucie. Najboleśniej odczuwają tę rzecz tylko ci nieliczni oficerowie, którzy, jak podporucznik Sadowski, byli przeciwni od początku wszelkiej „akcji”, chcieli się z tą kadrą od razu pogodzić i lojalnie „tworzyć wojsko”, wychodząc z założenia, że należy wpierw, choćby w warunkach najgorszych, wytworzyć liczebną siłę wojskową, a dopiero się na tej sile dla dopięcia swoich celów oprzeć. Na dwóch przeciwnych końcach stają dwa kierunki, które oba dziś najboleśniej dotknięte zostały i oba nie ponoszą winy za to, co się stało; przedstawiają one dwie wręcz przeciwne, ale też jedynie logiczne metody: jeden kierunek – ten, który pośród oficerów reprezentuje najkonsekwentniej Sadowski, to właśnie kierunek lojalizmu wobec zarządzeń niemieckich i oparcia się na nich dla wytworzenia przede wszystkim własnej siły, tak organizacyjnej, jak liczebnej; drugi kierunek – radykalny i rewolucyjny, reprezentowany wśród oficerów przez Dreszera na początkach naszej akcji w Zegrzu i przez naszą dawną radę żołnierską. Niestety – ster został ujęty u nas

ani przez jeden, ani przez drugi z tych kierunków, jeno przez wyznawców bezprogramowego i bezzasadniczego oportunizmu i połowiczności; do nich należy większość oficerska i ona to ponosi winę za to, co się teraz stało. Za nich ponosimy skutki wszyscy. Upokorzenie i kompromitacja spotkały nas na całej linii. Skompromitowaliśmy się tak wobec Niemców, jak wobec własnego społeczeństwa i reszty Legionów. Nie zyskaliśmy natomiast na połowiczności nic, bo ani to, co mogło być dodatnim w kierunku lojalistycznym, ani to, co mogło, choć z pewnym ryzykiem, wypłynąć wielkiego z kierunku radykalnego.

Odbyły się wczoraj aż dwa zebrania naszej nowej rady żołnierskiej, na których radzono o sytuacji. Nie uradzono właściwie nic mądrego. Do rady tej nie należę, więc na pierwszym zebraniu wcale nie byłem, na drugie zaś poszedłem jako gość, ale do obrad się nie wtrącałem i zresztą nie zostałem zbudowany tym, co słyszałem. Już samo to robiło obrady jałowymi, że rada wiecowała w poczuciu zupełnej bezsilności wobec tego, co zaszło. Zdawano sobie sprawę, że jesteśmy zaskoczeni faktem i że fakt ten opiera się na własnym naszym błędzie, a przeto nie może być przez nas zwalczony. Wobec tego radzono nie nad tym, jak się my zachować mamy, ale nad tym, jaką postawę mają zająć wobec niego rekruci i jakich im należy udzielić dyrektyw. O treści obrad rady wiem z relacji uczestników. Niektórzy na zebraniu doradzali poprzec, względnie rozwinąć wśród rekrutów prąd dezercyjny, tj. pęd do „wiania” („wiał” w języku legionowym znaczy „uciekać”). „Wianie” to rozumiano podwójnie: albo prosta dezercja, ucieczka z wojska na łeb, na szyję – albo ucieczka z kadry do pułku, oczywiście do pułku I, jako odruch przeciwko oddaniu rekrutów do kadry pułku II. Wśród rekrutów, poruszonych wieścią o przeniesieniu ich do kadry II pułku, instynkt ucieczki obudził się w bardzo ostrych formach. Już w kadrze doznali oni pierwszego rozczarowania i co wśród nich było słabszego – to wiało. Reszta, o ile to byli nie głodomory, albo zaczęli po trochu gustować w samej wojskowości jako takiej, albo, i to przeważnie, krzepili się legendą I Brygady. Teraz, przenosząc ich do kadry II pułku, wyrwano im tę ostoję. Stąd odruch do ucieczki z wojska lub ucieczki do I pułku.

24 czerwca, rok 1917, niedziela

Nic nie było łatwiejszego, jak rozniecić wśród rekrutów naszych myśl o masowej ucieczce. Myśl ta była ich pierwszym odruchem i to właśnie wśród elementu najbardziej masowego, najsolidniejszego moralnie i ideowo. Legenda I Brygady Piłsudskiego tak mocno się miała ich duszy, takim była dla nich pokrzepieniem w doznanym w kadrze rozczarowaniu wobec przewagi niemieckiej, że teraz przeniesienie ich do pułku II było dla nich moralnie i ideowo w ich sumieniu katastrofą. Legendy tej nie zdołały w nich zachwiać nawet wzory postępowania naszych starych żołnierzy, pełne, niestety, łajdactwa, bo też prawie że najgorszy element wydzielono u nas z pułku do kadry na instruktorów. Każdy podszept do ucieczki znalazłby dziś wśród rekrutów posłuch i wykonanie. Co do mnie, to zaiste, znając stosunki do głębi, nie uważam dla rekrutów za nieszczęście przeniesienie ich do kadry II pułku. Raczej przeciwnie. Można uważać, że niepotrzebne było pójście rekrutów do wojska, ale skoro poszli, to niechże już raczej staną się wojskiem, niż, za przeproszeniem, bajzlem i rozpolitykowaną a łajdacką bandą. Bo jeżeli co może być dodatniego w Legionach i płodnego na rzecz odegrania jakiejś twórczej roli w wypadkach najbliższej przyszłości, choćby wypadkach rewolucyjnych czy przewrotu politycznego, to tylko organizacja wojskowa jak najściślejsza, technicznie najdoskonalsza. A tę wyrobić zdoła raczej kadra pułku II, niż I-go. Przypuszczam, że i nasza kadra stopniowo ulepszyłaby się, pozbyła się demoralizującego ją śmiecia i stała się dobrą technicznie kadrą wojskową. Elementy po temu były, cóż, kiedy ją złamano. W kadrze pułku II gorzej pod tym względem dla

rekrutów nie będzie. Nie idealizuję na kredyt kadry pułku II, której nie znam, jak nie idealizuję też samego pułku tego. Nie wątpię, że i tam jest dużo złego, a może nawet więcej, niż u nas. Ale zło tam jest przynajmniej sobą samym, jest więc łatwiejszym do rozpoznania i przeto mniej demoralizującym. U nas zło i brud miesza się z pozornym idealizmem; ci sami ludzie, którzy łajdaczą, kradną i dają folgę wszystkim instynktom bandytyzmu, ubierają się w szaty ideowości i tradycji I Brygady, o których dużo ciągle mówią, zatruwając tym frazesem wrażliwość na rozpoznanie złego od dobrego. Dla rekrutów, skoro już oni wstąpili do wojska i skoro mają stać się elementem tej siły, która ewentualnie może być dla sprawy wolnościowej użyteczną, w każdym razie straty na przeniesieniu ich z naszej kadry do drugiej nie ma. I nie straszy mnie ani wzrusza bynajmniej to, że w II pułku myśl społeczno-obywatelska jest dotąd mniej rozbudowana, niż w pułku I. W pułku I myśl ta jest, niestety, zmanierowana na politykowanie, czego w II pułku nie ma. A bać się tego, że II pułk, gdy zajdą okoliczności po temu, nie stanie do rewolucyjnego lub w ogóle obywatelskiego lub narodowego życia, a tym bardziej, że się odda na usługi Niemców przeciwko sprawie wolnościowej – to zaiste zbyt wiele. Dziś nie ma człowieka w Polsce, czy w cywilu, czy w wojsku w jakimkolwiek bądź pułku, który by z całej duszy nie pragnął wyjarzmić się spod presji interesów niemieckich. I na szczęście rada żołnierska znalazła przecie w sobie tyle zdrowego instynktu, że pomysłów o szerzeniu wśród rekrutów dezercji nie przyjęła. Robiło to później na własną rękę wielu starych żołnierzy, ale przynajmniej bez stempla moralnego rady. Inny natomiast projekt przyjęty został przez radę w stosunku do stanowiska rekrutów. Przyjęto, żeby rekruci stanęli nazajutrz, to znaczy wczoraj, do raportu w kompaniach swoich z prośbą o pozostawienie ich w kadrze I pułku. Długi, rozwlekły i jałowy spór toczył się na pozawczorajszym wieczornym posiedzeniu rady, na którym jako gość byłem obecny, na temat, czy prośba ma być o pozostawienie w kadrze I pułku, czy też o przeniesienie ich wprost do samego pułku. Stanęło na pierwszym. Agitacja wśród rekrutów okazała się zupełnie zbyt wiele. Wystarczyło, że im zakomunikowano po kompaniach projekt stawiania o to do raportu. Nazajutrz stanęli do kompanijnych raportów w całej kadrze pułku wszyscy rekruci. Oczywiście, że miało to tylko manifestacyjne znaczenie i nic więcej. Rada żołnierska zdawała sobie w zupełności sprawę z tego. Chodziło jej o wyraz protestu rekrutów. Nie była to rzecz, moim zdaniem, zła, bo chociaż, podług mego przekonania, rekruci nic nie tracą na przeniesieniu ich do innej kadry i przeto ze stanowiska ich interesów nie ma podstawy do protestu, jednak dla pułku naszego likwidacja jego kadry jest aktem upokorzenia i krzywdy i protest rekrutów jest pewnego rodzaju moralną satysfakcją, rehabilitacją, która to upokorzenie osłabia. Słusznym więc jest, żeby rekruci, którzy przez tę kadrę byli poniekąd już członkami pułku, spełnili, odchodząc od niego, ten akt moralnego poparcia, który tylko od nich był zależny. W usiłowaniach przeciwdziałania zwinięciu naszej kadry najrzeczywistszą była próba porozumienia się bezpośredniego z kadrą II pułku, aby oficerowie i podoficerowie tej kadry, wyznaczeniu do przyjazdu do Zegrza dla odebrania od nas rekrutów, odmówili przyjazdu, lub, przyjechawszy, odmówili odebrania rekrutów. Przed 2-3 dniami pojechano z tym do Ostrowia (nie wiem, czy z ramienia oficerskiego lub żołnierskiego komitetu wykonawczego, czy też z prywatnej inicjatywy grona ludzi). Ale szanse były bardzo słabe, bo na porozumienie było już za późno, a w warunkach wojskowych odmowa spełnienia rozkazu jest rzeczą bardzo trudną do wykonania. Byłoby to o tyle dobre, że zmanifestowałoby solidarność pułków legionowych i dałoby Niemcom dobrą odpowiedź na ich ewentualne próby przeciwstawienia jednych pułków innym (à propos: jak głoszą najświeższe wieści, Niemcy wskrzeszają stary podział brygadowy i łączą znów pułk I z V-tym w I Brygadę, II-ci zaś i III-ci w II-gą; pułk V przychodzi w

najbliższym czasie na kwatery do Zegrza; podobno ma to być karne zakwaterowanie za niesubordynację i wybryki w tym pułku; kwatermistrze V pułku już przyjechali do Zegrza). Porozumienia się z kadrą II pułku nie udało się już osiągnąć. Właściwie w zasadzie oficerowie i podoficerowie kadry II pułku, wyznaczeni do odebrania od nas rekrutów, godzili się na racjonalność odmowy przyjęcia, ale nie decydowali się samodzielnie na nieusłuchanie rozkazu. Zresztą próba porozumienia się była tak dorywczą, że przez to samo zamiar nie mógł się udać. Wczoraj oficerowie i podoficerowie kadry II pułku, wyznaczeni do tej czynności, przyjechali do Zegrza, a dziś już rekrutów naszych objęli, jutro zaś odwożą ich do Ostrowia, my zaś odchodzimy do Pomiechówka i Modlina. Nasi politycy kadrowi z rady żołnierskiej zapowiadają, że w kadrze II pułku gotuje się pono jakiś akt solidaryzmu względem nas i protestu przeciwko zwinięciu naszej kadry. Ten akt ma się podobno wyrazić w postaci raportu z prośbą o przeniesienie ich również do pułku, motywowaną tym, że oni nie czują się lepszymi ani zdolniejszymi od nas i nie chcą pełnić tych funkcji, gdy nas od tychże odsunięto. Czy jednak dojdzie do takiego aktu solidaryzmu w kadrze III pułku – mocno wątpię.

25 czerwca, rok 1917, poniedziałek

Dziś opuściłem, wraz ze wszystkimi starymi żołnierzami I pułku, Zegrze i wróciłem do penatów pułkowych do Pomiechówka. Ale cofnę się jeszcze do ostatnich dni pobytu w Zegrzu, smutnych i nędznych dni likwidacji naszej kadry. Jeszcze w piątek 22 czerwca odebrano od rekrutów karabiny i bagnety, na których miejsce otrzymają oni nowe w Ostrowiu. Tego dnia, w piątek przed południem, nasza kompania kadrowa poszła jeszcze po raz ostatni na ćwiczenia. Ponieważ jednak wiedzieliśmy już o katastrofalnym schyłku naszej kadry, ćwiczenia szły słabo, bez zwykłej sprężystości i ochoty.

Przerobiliśmy z rekrutami gimnastykę i padnij z karabinem; na tym się ćwiczenia skończyły, resztę zaś czasu ćwiczeniowego użył sierżant Chociszewski, zastępujący bawiącego na urlopie Krzymowskiego, na mały pogadankowy wykład dla rekrutów; był to wykład pożegnalny, w którym Chociszewski scharakteryzował pokrótce ideę i dzieje Legionów, akcentując głównie momenty, wyróżniające I Brygadę Piłsudskiego od innych brygad. Zrobił to dość umiejętnie, wiernie oddając istotę tej różnicy i określając dziejową zasługę idei, wyrażanej przez I Brygadę. Następnie wykazał przemiany, które się dokonały w ostatnim roku wojny w stosunkach politycznych i międzynarodowych, stosując do nich cele, zadania i samą rację bytu Legionów. Oparł się głównie na rewolucji rosyjskiej jako czynnika, który najwięcej wpłynął na stosunek Sprawy Polskiej do stron walczących i doprowadził rzecz swoją do tezy, że Legiony już dziś swoje zadanie całkowicie spełniły i są zbędne. Na tym zakończył. Rekruci słuchali go uważnie, chłonąc każde słowo w sferze tych zagadnień, które ich najbardziej zajmują, bo stanowią o całej wartości ich udziału w wojsku i są dla nich po prostu kwestią ich sumienia i obowiązku. W historycznej części swego wykładu Chociszewski miał zupełną rację i bardzo słusznie podniósł zasługę I Brygady: ona ocaliła wartość czynu i dzieła Legionów dla sprawy wolności. Ale w zmienionej od półrocza przeszło, a zwłaszcza od rewolucji rosyjskiej sytuacji politycznej znaczenie tej szczególnej zasługi I Brygady przestało być aktualne i na dziś wniosków stąd takich, jak dawniej, wyciągać nie można. Dziś wartość Legionów mierzyć się powinno nie ideą niepodległościową w jej dawnym rozumieniu, ale zdolnością do przyszłego czynu, a więc przede wszystkim siłą organizacyjną i hartem. A właśnie pod tym względem pułki I Brygady, wprowadzone ideowo bardziej rozwinięte, szwankują i toczy je rdza politykomanii, która się staje nałogiem i wyradza się w formy nędzne. Tego ludzie I Brygady nie pojmują i dumni przeszłą zasługą, z pogardą traktują inne pułki i stroją się z upodobaniem w pawie pióra

swojej urojonej bezwzględnej wyższości. A na rekrutów, których olśniewa legenda I Brygady, powstała z jej dawnych zasług, działa to jeszcze bardziej zniechęcająco i utwierdza w pomysłach ucieczki, aby się nie dostać do II pułku. Również teza o tym, że Legiony spełniły całkowicie swoją rolę i nic więcej do zrobienia w sprawie polskiej nie mają, działać musi w tych warunkach na rekrutów demoralizująco; wszystkie lepsze elementy pod wpływem tego przeświadczenia utrwala się w zamiarach dezercji i sprężystość organizacji oraz wewnętrzny hart wojska, z natury rzeczy u rekrutów słabszy, niż u starych żołnierzy, chwieje się i upada; a to jest dziś przecie główną i bodajże jedyną wartością Legionów na wypadek czynu. Rozumiem, że można dziś zwątpić w wartość naszego wojska; sam w tych dniach jestem pełny zwątpienia; ale wątpiąc, nie odważyłbym się do ostatka szczepić mego zwątpienia do serc masy żołnierskiej, a zwłaszcza rekruckiej; raczej wbrew zwątpieniu hartowałbym serca innych, co też usiłowałem w kapralstwie moim robić. Dopiero gdyby zwątpienie doprowadziłoby mnie do ujemnego pewnika, zdecydowałbym się na głoszenie takiej tezy, ale też sam nie pozostałbym już nadal w wojsku. Być w wojsku, uczestniczyć w kadrze, przyjąć rekruta, ćwiczyć go i zarazem mówić mu, że wojsko to jest niepotrzebnym czy może nawet szkodliwym, to, zwłaszcza w naszych ochotniczych warunkach, uważam co najmniej za niekonsekwencję i bardzo wielką lekkomyślność. Niestety – jest to u nas zjawisko obecnie bardzo pospolite. Dla mnie jest ono po prostu niepojętym; ja bym, skoro należę do wojska, wstydził się po prostu mówić tak do rekrutów. Robią to nie tylko starzy żołnierze na własną rękę, ale robią i oficerowie. Podobnie do Chociszewskiego przemówił do rekrutów porucznik Barwiński wczoraj, żegnając się z nimi. Odradzał im wprawdzie dezercję, zalecał posłuszeństwo i wytrwanie, ale dodał, że zrobiliby lepiej, gdyby byli pozostali w domu i nie szli do wojska. Czyż nie rozumie, że jedno drugiemu przeczy i że głosząc to, staje się współuczestnikiem dezercji? Zresztą Barwiński w pierwszej chwili po dowiedzeniu się o zwinięciu naszej kadry, był zdania, że należy wprost zalecić rekrutom dezercję. Potem, widocznie pod wpływem otrzymanych instrukcji, zmienił zdanie i radził od dezercji odmawiać. Nie rozumiem, dlaczego ci ludzie doszli do usprawiedliwiania lub nawet sprzyjania dezercji dopiero od tej chwili, gdy kadrę I pułku zwinięto i rekrutów przeznaczono do kadry II pułku. Co się zasadniczo zmieniło? Nic – chyba tylko numeracja pułków. Dlaczego wczoraj, gdy jeszcze rekruci byli w kadrze I pułku, można było ich ćwiczyć i pragnąć zużytkowania ich na rzecz tego wojska, a dziś, gdy ich do innej przeniesiono kadry, trzeba to wszystko odrzucić i zachęcać do dezercji? Albo to jest przesadne i zarożumiałe przecenianie I pułku, monopolizujące dlań wyłączną i jedyną wartość w Legionach, albo lekkomyślne aż do zbrodniczości odbijanie własnego upokorzenia na samej sprawie: oto nam odebrano rekruta, więc niechże nikt go nie ma i niech się on całkiem dla sprawy wojska zmarnuje. Zaiste – są to dla mnie rzeczy niezrozumiałe, rzeczy, które tłumaczyć mogę tylko pewną aberracją I-brygadową, tym nieszczęsnym jadem samochwalstwa i rozpolitykowania, który rozkłada psychologię ludzi I Brygady.

Wczorajszy dzień upłynął w pewnym chaosie i rozprężeniu ogólnym. Rozpoczęła się dezercja rekrutów. Z naszej kompanii pierwsi uciekli Kwiatkowski i Białek, najlepsi chłopcy spośród rekrutów. Na wieczór uciekło jeszcze kilku, w ich liczbie Marczak, Tempieński, Tomiak. Wszyscy oni uciekli prawie że jawnie i z zamiarem nie dezercji z wojska, lecz ucieczki do I pułku. Dziś wszakże, gdy do pułku przyjechał, okazał się w pułku z naszej kompanii rekruckiej tylko jeden Marczak. Inni widocznie, zachęceni powodzeniem ucieczki, zboczyli wprost do domu. Z innych kompanii zdezerterowało także wielu, z niektórych aż po kilkunastu. W pułku znalazło się z tego ogółem koło dziesięciu. Może przybędzie jeszcze więcej. Dezerterowało też kilku starych żołnierzy,

popołniając przy tej sposobności kradzieże. Na ogół zachowanie się starych żołnierzy było niżej wszelkiej krytyki. Nie tylko że nie wahali się demoralizować rekrutów, nie krępując się już żadnymi względami, nie tylko że na własną rękę namawiali ich do dezercji, ale jeszcze sami, korzystając z ogólnego zamieszania, kradli i sprzedawali lub wywozili, co się dało. Wielu pokradło rekrutom pasy, mundury, buty. Ostatniego dnia, w tych smutnych okolicznościach rozbicia naszej kadry, zamiast skupić myśl i uczucie na trosce o sprawę ogólną, cała uwaga ich skupiła się na rabunku i spekulowaniu, aby sobie jak najwięcej z przedmiotów ekwipunku przywłaszczyć. Widok ten był wstrętny. Oszukaństwo, spekulacja, kłamstwo, kradzież – wylazło z ukrycia grasowały jak dzikie zwierzęta. A najwstrętniejsze to, że ludzie ci stroją się zawsze w idealizm i zasługę I Brygady. Bo też dobór starych żołnierzy w kadrze był najgorszy i wybrano jakby umyślnie z pułku wszystko to, co było najpaskudniejszego i najbardziej zdemoralizowanego, by kadrę tym świństwem zabagnić.

26 czerwca, rok 1917, wtorek

Kilka dni przed wyjazdem z Zegrza sfotografowałem się w grupie z całym moim kapralstwem rekruckim; fotografia udała się bardzo dobrze: obecni byli wszyscy moi rekruci – Chojenta, Wutke, Drygasiewicz, Mioduszewski w postawie klęczącej w pierwszym rzędzie, Skuza, Szywiak i Szczygielski w drugim rzędzie stojąco, wszyscy z karabinami u nogi, wszyscy w bluzach strzeleckich, pożyczonych dla fotografii od starych żołnierzy, w pasach, z ładownicami i bagnetami u boku, jak prawdziwi żołnierze, nie rekruci. Ja jeden na fotografii w maciejówce, rekruci – w swoich konfederatkach rekruckich. Fotografia ta będzie dla nas wszystkich miłą i drogą pamiątką. I ja się do moich rekrutów serdecznie przywiązałem, i oni do mnie. Miałem w kapralstwie dobrych chłopców, uczciwych, porządnych, niezezpsutych, starannych. Zachowam ich we wdzięcznej pamięci, jak zapewne i oni mię zachowają; żałują mię oni i z pewnością żałować będą nadal, gdy pod nowego komendanta się dostaną. Pracowałem nad nimi rzetelnie, zdobyłem wpływ na ich młode serca i umysły, kształtowałem je tak, by z nich dobrych żołnierzy, ludzi i obywateli wyrobić i muszę przyznać, że znalazłem w nich materiał wdzięczny, w którym ziarno mojej pracy kiełkowało bujnie. Żał mi tej pracy, tak brutalnie i niespodziewanie przerwanej, żał tych kochanych chłopców, którzy nie wiadomo do jakich rąk się dostaną i na jakie losy pójdą. Ostatnie dni w kadrze były nad wyraz smutne. Smutne nie tylko przez to, żeśmy się rozstawali, ale jeszcze bardziej przez to rozprężenie moralne, które im towarzyszyło. Zniechęcenie, niewiara, zachwianie wszelkiej ostoji ideowej i moralnej u rekrutów, zdemoralizowanych tym nagłym przeniesieniem ich do kadry II pułku, apoteoza dezercji, powstająca w umysłach rekrutów, brak jakichś mocnych wytycznych i dyrektyw od ich dawnych przełożonych, których oni za przewodników swoich uważać przywykli, wreszcie ohyda najniższych instynktów bandytyzmu, rozszalała w orgię chciwości i rabunku u starych żołnierzy, którzy by powinni świecić rekrutowi przykładem, a zwłaszcza być dla nich wzorem pokrzepienia w tych ciężkich chwilach zachwiania – oto tło tych smutnej pamięci ostatnich dni w Zegrzu. Z mojego kapralstwa nie uciekł z rekrutów żaden. Jeden tylko Szczygielski został akurat w tych dniach całkiem zwolniony z wojska i odjechał do domu jako małoletni (zwolniono wszystkich nie mających ukończonych lat 18). Pragnąłem już, żeby prędzej te dni minęły i prędzej się ten „bajzel” skończył.

Sam byłem i jestem usposobiony niezmiernie pesymistycznie do tego, co się stało. Mam już dość tej I Brygady, która nie jest ani wojskiem, ani organizacją czynu rewolucyjnego. Frazes rewolucyjny i gest jak rdza toczą jej organizm i strącają w męty politykowania i zarazem rozkładu moralnego. Politykowanie to jest nędznym i

jałowym, bo jeżeli takie instytucje, jak Rada Stanu i stronnictwa polityczne nie mogą sobie w polityce dać rady i dźwignąć sprawy z martwego punktu, to coś dopiero wojsko, które do polityki żadnych kwalifikacji nie posiada. Toteż pomimo najlepszych chęci i najgorętszych pobudek ideowych, politykowanie naszego wojska wałęsa się ciągle po manowcach i staje się pastwą ambiczyjek spekulantów, którzy na tej drodze próbują załatwiać swoje porachunki prywaty. Wyradza się z tego polityka bezprogramowa i bezzasadnicza, połowiczna i niedołężna, która do niczego nie doprowadza, jeno gotuje coraz to nowe kompromitacje, szczepi do serc niewiarę i, demoralizując masę, niszczy hart, potrzebny ewentualnie do przyszłych czynów. Jest u nas w pułkach I Brygady złoty kruszec wielkiej idei w sercach starej wiary, ale i ten topnieje, a zalewają go, niestety, podnoszące się dokoła fale mętów. Największa zaś mnie bierze złość na oficerów, najbardziej odpowiedzialnych za wszystko, nie dorosłych do przewodzenia, zwłaszcza w sferze politycznej i ideowej. Oni szkodzą najwięcej, bo posługują się masą żołnierską, jej nerwami i idealizmem dla celów polityki prywatnych swoich interesów, nie umiając nic doprowadzić do końca i błaznując siebie i nas na zewnątrz. Jaką wyrządzają przez to szkodę sprawie i żołnierzom, nad tym zbyt często się rozwodzić. Powrót do bezczynności w pułku po prostu mnie przeraża. Bezczynność, wegetowanie z dnia na dzień i drobne niedołężne, bezprogramowe politykowanie – to istna trójca szatańska. Znowu budzi się we mnie pragnienie wystąpienia albo przeniesienia się do innego pułku, a w każdym razie gdzieś tam, gdzie bym mógł znaleźć jakąś konkretną i żywą pracę wojskową. Słowem – wracam do tej samej myśli, która zaczęła kiełkować u mnie w połowie maja po nieszczęsnej wizycie naszej u Piłsudskiego i po rozwiązaniu naszej rady żołnierskiej w Zegrzu. Wtedy myśli tej zaniechałem, bo gdy przyszli rekruci, znalazłem pracę żywą, która tak pochłonęła moją energię i tyle mi sama przez się dawała zadowolenia, że przestałem myśleć o rzeczach dalszych i ogólniejszych, o samej nawet jej celowości poniekąd. Dziś, gdy mi ten warsztat żywej pracy z rąk wytracono, znowu wracam do poprzedniej myśli. Wątpię o Legionach, widząc, jak się one rozkładają i wchodzą w stan stopniowego upadku. Nie mogę się jednak zdecydować na wystąpienie i wciąż się waham; nie mogę jeszcze powziąć postanowienia, bo pomimo wszelkie wątpliwości i pomimo zła, które widzę, przychodzi mi jednak na myśl, że może przyjść dzień, który zawoła o wielki czyn wolności, i że po rozbiciu Legionów nie będzie do spełnienia tego czynu obecny nikt, bo w tym rozpyleniu i rozprężeniu wszystkiego w Polsce ten zawiazek wojska jest czymś jedynym, co ma pewną twardość i ścisłość, pewną moc organizacji wewnętrznej; jest to jedyny kształt spoisty, zdolny ewentualnie do czynu. Jeżeli się Legiony rozbije, to nie pozostanie już prawie nic, bo bądź co bądź, choć są one tylko strzępami organizacji, to jednak są czymś ściślejszym od Polski. Ta jedna myśl mnie trzyma, ta jedna ewentualność, choć niepewna, hamuje moje postanowienie.

27 czerwca, rok 1917, środa

Wyjechałem z Zegrza pozawczoraj. Z powrotem powiodło mi się nieźle, bo sierżant Chociszewski zabrał mnie koleją wraz z paru innymi uprzywilejowanymi. Na każdą kompanię po kilku ludzi mogło odjechać koleją dla zabrania ze sobą rzeczy kompanijnych. Chociszewski, kapral Krzystek, Krzewski, ja – skorzystaliśmy z tej możliwości. Reszta starych żołnierzy, odchodzących z Zegrza do pułku, maszerowała do Pomiechówka, względnie Modlina, pieszo. Był to marsz uciążliwy, wynoszący dwadzieścia kilka kilometrów; do tego zlał ich jeszcze deszcz ulewny, który przemoczył ich do nitki; wszystko szło, obarczone ciężkim rynsztunkiem, przeładowanym, niestety, rzeczami, zrabowanymi w Zegrzu na odjeździe; bo wigilią wymarszu rozszalała wśród starych żołnierzy w Zegrzu prawdziwa orgia rabunku: nie

chciano zwracać do magazynów w Zegrzu mundurów niemieckich, ukrywano je wszelkimi sposobami i zatrzymywano pod rozmaitymi pretekstami, operowano kłamstwem i wykrętem, dalej przy ładowaniu ekwipunku do wagonu, przeznaczonego do Ostrowia, nakradziono mundurów, spodni, butów, pasów, wreszcie okradano rekrutów i siebie nawzajem. Jak smutne były te ostatnie dni naszej kadry w Zegrzu, tak smutnym był ten odmarsz starej wiary do pułku. Gdyśmy tu przyjeżdżali, dano nam pociąg specjalny; przyjeżdżaliśmy wygodnie – byliśmy wtedy potrzebni; teraz, jak wyrzucony grat niepotrzebny, odchodziliśmy z głową spuszczoną, upokorzeni, skompromitowani, odchodziliśmy nie z dumą, lecz goryczą w sercu. Odchodziliśmy nie jako zwyciężeni, którzy, acz zwalczeni przemocą, honor sztandaru zdołali utrzymać, lecz jak niewolnicy, którzy o żadną zasadę się nie oparli, ulegli, a wyrzuceni zostali nie z własnego protestu, lecz z woli pana. Mówiono, że Niemcy odesłali nas pieszo za karę, rzekomo za okrzyki, które w pierwszych dniach p przyjeździe do Zegrza wznoszono, wołając chórem: „My chcemy Prusaków...”, na co wtór głosów zbiorowych odpowiadał: „...osrać!”. Sądzę, że niemieckie władze kadry nie były tak drobnostkowe, aby się czepiać tej jednej z wielu awanturek i mścić się za nią osobno na odchodnym, ale to pewne, że ponieważ awanturek i burd takich było bez liku, zebrało się ziarnko do ziarnka i Niemcy nie uważali za potrzebne okazywania nam jakichkolwiek względów przy odejściu. W zachowaniu się większości naszych starych żołnierzy i oficerów w Zegrzu zbyt mało było powagi, abyśmy sobie na szacunek Niemców zasłużyli. To trzeba, niestety, przyznać ze wstydem. Nie wstyd jest być zwalczonym, ale wstydem jest zasłużyć na upokorzenie i brak szacunku. Niestety – zasłużyliśmy. Wymarsz starych żołnierzy z kadry odbył się o godz. 3 ½ rano. Wyjeżdżający koleją, i ja w ich liczbie, wyjechaliśmy przed godz. ósmą. Rekruci jeszcze pozostali. Przyszedł po nich pociąg specjalny, którym mieli tegoż dnia, wkrótce po nas, do Ostrowia odjechać. Koło godz. 10 rano byłem już w Pomiechówku. Nudno tu, sennie i głodno. Odbywają się ćwiczenia, jest normalna służba garnizonowa, ale nie ma w nastrojach żołnierskich ani skry zapалу lub wiary. Jest ot – jakaś wegetacja i nic więcej. Nikt nie wie, po co istniejemy i co z nami będzie dalej. Nikt nie ma przekonania o pożytku i celowości naszej wegetacji. Uspokobienie jest po prostu straszne. Nie ma nic żywego. Ten pułk w Pomiechówku czuć trupem. Wszystko jest wyczerpane nerwowo do ostateczności, zdeorganizowane moralnie, osłabione fizycznie. Warunki zaprowiantowania są ohydne. Ludzie są ciągle głodni, wycieńczeni, ledwie się trzymają ostatkiem siły. Wyżywienie jest znacznie gorsze, niż w Zegrzu, porcja „obiadu” i kawy prawie o połowę mniejsza. Na obiad jest jakaś zupka z jarzyny suszonej, z rzadkiej kaszy, z wodnistej kapusty lub czegoś podobnego; w zupce parę kartofelek i kilka drobnutkich ochłapów „mięsa”, porcji mięsa nie bywa tutaj nigdy; jedynym właściwie pożywieniem jest chleb (po ćwiartce bochenka, czyli po funcie na dzień), który przeważnie zjada się od razu na wieczór. Gdyby jeszcze przynajmniej były jakieś lepsze perspektywy sprawy, wiara w coś, można byłoby wytrzymać, ale ostatki jej się rozproszyły. Jest w pułku jakaś beznadziejna próżnia, coś, co dławi jak brak tlenu w wodzie. Postępuje to stale z miesiąca na miesiąc. Jeszcze w Zambrowie spodziewaliśmy się wciąż czegoś i czekaliśmy. Dziś się już nie czeka niczego. Większą część dnia, poza ćwiczeniami, spędzają żołnierze leżąc w cieniu drzew na trawniku, jedni śpią, inni gawędzą lub grają w szachy, względnie czytają. Upał i głód dokuczają wszystkim, robiąc tą martwą wegetację podwójnie ciężką. Wiezorami chodzą żołnierze w większych grupach kąpać się we Wkrze. Ćwiczenia odbywają się co dzień od godz. 6 do 9 rano i od godz. 5 do 6 po południu. Ze wszystkich kompanii wydzieleni są ludzie do specjalnego oddziału szturmowego, który ćwiczy osobno. Zarządzone zostało rybołówstwo, do którego z naszej kompanii wyznaczono sześciu ludzi, dobranych przez sierżanta Burczaka,

któremu polecono organizować systematyczny połów ryb (w Narwi, Wkrze, Wiśle). Dotąd sprawa rybołówstwa jest w stadium początkowym. Kompanie w pułku są przepelnione; dużo przybyło ludzi z tyłów, względnie starych żołnierzy liniowych, którzy superarbitrowani, obecnie zaś ponownie powołani do wojska (wśród nich zastałem tu ob. Targosza-Eminowicza, mego kolegę z plutonu z roku 1915). Mnóstwo też napłynęło do pułku werbunkowców, których po zwinięciu przez Beselera posterunków werbunkowych odesłano do pułków dla wyćwiczenia ich w musztrze niemieckiej. W naszym baonie skupieni oni zostali chwilowo w III kompanii; wśród werbunkowców jest olbrzymia ilość szarż podoficerskich; samych sierżantów jest tam bez liku. W najbliższych dniach ma być stworzona w naszym baonie IV kompania, która ma się składać z dotychczasowej III kompanii, uzupełnionej nieco ludźmi z innych kompanii (z naszej kompanii mają być wydzieleni do IV-tej: sierżant Kaliszczyk, stary żołnierz Ekert, Diduch, Krakus, który został niedawno temu zdegradowany z kaprała na starszego żołnierza i inni). Nowa III kompania ma się składać z werbunkowców. Wbrew zapewnieniom tych rekrutów z Zegrza, którzy w ostatnich dniach uciekali z kadry, zapewniając, że uciekają do pułku, większość tych zbiegów po prostu widocznie zdezerterowała, bo tu ich znalazło się względnie niewiele. Z naszej zegrzańskiej I kompanii kadrowej zastałem tu z rekrutów tylko jednego Marcza, który dostał się tu do II kompanii. Tempieńskiego, Kwiatkowskiego, Białka i innych, którzy rzekomo uciekli z kadry do pułku – nie ma. W naszej kompanii jest tylko jeden zbieg spośród rekrutów zegrzańskich – niejaki Bruzda, który był w IV kadrowej kompanii.

28 czerwca, rok 1917, czwartek

Jestem znowu, jak zawsze, w I kompanii. Komendantem kompanii jest porucznik Młot-Porczyński. Należę do I kapraństwa. Komendantem kapraństwa jest sierżant Pinto-Grabacki, zastępcą – kapral Ślęzak. Kapraństwo wraz z komendantem liczy 18 ludzi; ma ono jednego sierżanta, jednego kaprała i aż pięciu starszych żołnierzy (Welenowski, Mrozowski, Jaśkiewicz, Frycz i ja). Kapraństwo składa się z dwóch sekcji; do I sekcji należą (oprócz komendanta kapraństwa i zastępcy): Welenowski, Mrozowski, Jaśkiewicz, ja i szeregowcy Diduch, Mieszkowski, Sapiga (były żołnierz liniowy, superarbitrowany) i Wawrzyniec Marek; do II sekcji należą: Frycz (objając z tyłów), Klups, Rokosz, Bruzda (rekrut – zbieg z kadry), Suryk, Kownas, Karwowski i Skowroński (dwaj ostatni – Białostoczanin, którzy przyszli do wojska dopiero w Zambrowie, aczkolwiek w Zegrzu w kadrze uchodzili już za starych żołnierzy i „instruktorów”). W pułku funkcjonuje rada żołnierska, ale i jej żywot jest mdły; wpływów jej się nie wyczuwa; żołnierze wiedzą o jej istnieniu, bo sami ją wyłonili, aczkolwiek nie wiedzą urzędowo nazwisk wybranych członków rady; zresztą zainteresowanie radą i jej działalnością jest bardzo słabe, bo ogół żołnierzy w ogóle zubożył na całą sprawę wojska i niczego do serca nie bierze. Z naszej kompanii członkami rady żołnierskiej są Heller i Mieszkowski. Rada żołnierska w stosunkach wewnętrznych jest mało czynna; zdaje się, że główna, a może jedyna jej działalność w chwili obecnej streszcza się do stosunków z Warszawą i łączności z całokształtem organizacji żołnierskiej wszystkich pułków. Stosunki rady żołnierskiej z Warszawą są bardzo ożywione i ciągłe.

Nie zdecydowałem się dotąd na żadne postanowienie o tym, co mam począć.

Wystąpienie z Legionów lub przeniesienie się do innego pułku, względnie do jakiejś innej poszczególniej sfery działalności wojskowej – oto są dwie główne ewentualności, które się zarysowują w moich projektach. Na pierwsze jednak z dwojga trudno mi się zdecydować; odruchowo skłaniałbym się do wystąpienia; mam już dość wojska, a

właściwie nie tyle wojska, ile tego „bajzlu” nieszczęsnego, jaki u nas panuje z winy nie naszej, lecz warunków. O, nie, nie wojska mam dość, bo organizację wojskową, której dawniej nie rozumiałem, cenię dziś bardzo (teraz dopiero zaczynam rozumieć mego zmarłego przyjaciela Stacha Gierszyńskiego, który, po odbyciu powinności wojskowej we Francji, będąc rewolucjonistą, stał się entuzjastą wojskowości, co mi się dawniej wydawało paradoksem). To mię właśnie głównie męczy, że Legiony, będąc niby wojskiem, są tylko parodią jego. Gdyby miały sprężystość wojskową, łatwiej by mi tu było wytrzymać. Beznadziejność sytuacji, w jakiej są Legiony, pcha mię do myśli o wystąpieniu. Skądinąd jednak, gdy pomyślę, że ich rozbitcie pozbawia sprawę polską, a wraz z nią i sprawę wolności jedyne go czynnika naprawdę zorganizowanego, to mi żal opuszczać ich szeregi. Gdy pomyślę, że może nadejść chwila (a w dobie tej wojny wypadki następują z nieobliczalną szybkością i możliwością), kiedy zajdzie potrzeba czynu z wewnątrz społeczeństwa polskiego i kiedy zabraknie Legionów, które mogłyby być tego czynu najsilniejszym wykonawcą, nie mogę się zdecydować na wystąpienie i, pomimo wszystko, postanawiam wytrwać. Przeniesienie do innego pułku jest rzeczą, mniej budzącą wątpliwości, choć na praktyce niezbyt łatwą do uskutecznienia. Jeżeli chodzi o moje przekonanie obecne, to prawdziwie mniej dzisiaj cenię wartość organizacyjną pułków dawnej I Brygady, niż wartość innych pułków. Ale co do bezczynności i próżni dzisiejszego życia w naszym wojsku, to doprawdy, przeniósłszy się do innego pułku, nie znajdę tam warunków lepszych ani żywszej pracy. Trafiłbym tam na taką samą wegetację, jak tutaj. Jeżeli już się przenosić, to wolałbym się przenieść gdziekolwiek tam, gdzie istotnie mógłbym znaleźć żywszą pracę. A wybór jest w dzisiejszych okolicznościach zastoju – niełatwy. Podporucznik Sadowski, z którym o tym mówiłem i który sam jest zrażony do naszego politykowania wojskowego i do naszego pułku i myśli także o przeniesieniu się, radził mi, żebym się nie śpieszył, żeby z jednej martwoty nie wpaść w taką inną; powiadał, że będzie stawał do raportu do Komendy Legionów z prośbą, aby go gdzieś przeniesiono i dano zajęcie; obiecuje, że o ile to uzyska, to mię wtedy sam wyciągnie z pułku i weźmie do siebie. Ale na to trzeba zaczekać, bo Sadowski wybiera się poprzednio na miesiąc nad morze, zdaje się – do Libawy, dla wypoczynku i odzyskania równowagi nerwów. Na razie jeszcze muszę czekać z konieczności, bo się dotąd na nic nie zdecydowałem.

Dziś wybrałem się na cały dzień z Burczakiem i jego oddziałem rybaków na rzekę na połów ryb. Sam się tam ofiarowałem, Burczak zaś, przypuszczając, że się choć trochę znam na tym jako pochodzący z Litwy, z kraju jezior, wziął mię chętnie ze sobą. Burczak już dobrał sobie grono „rybaków”, ale, niestety, nie ma w nim ani jednego zawodowego rybaka, znającego się cokolwiek na tej sztuce. Poszliśmy raniutko, o godz. 6, gdy kompania wyruszała na ćwiczenia. Z Burczakiem, jako komendantem naszym, było nas ośmiu: Geneja, Zdobyłak, Gładysz, Wilhelm Zajac, Połec i Dąbrowiecki. Udaliśmy się w górę rzeki szosą na Serock, do wsi Orzechowa, położonej nad Narwią i oddalonej o 5-6 kilometrów od Pomiechówka. Warunki naszego rybołówstwa są dotąd bardzo opłakane. Nie ma nikogo z nas, który by się znał na rzeczy. Mamy tylko pozwolenie na łowienie ryb, ale nic ponadto. Burczak usiłował rzecz zorganizować, ale to idzie bardzo opornie. Projekt Burczaka polegał na tym, aby wejść w spółkę z jakimś rybakim ze wsi nadbrzeżnych i korzystając z naszego pozwolenia na połów, a jego umiejętności i przyborów (łódź, sieci), wspólnie zająć się łowieniem ryby, dzieląc następnie zbiór na zasadzie pewnego układu. Projekt ten jednak napotkał bardzo wielkie trudności, głównie ze strony chłopów-rybaków, z których żaden nie chciał wejść z Burczakiem w układ ani udzielić pomocy. Rybacy miejscowi z wiosek nadbrzeżnych są bardzo zazdrośni o rybę i traktują nasze zamiary połowu co najmniej niechętnie, jeżeli nie wrogo; uważają nas za intruzów, którzy wdzierają się w ich przywileje łowieckie;

rzekę i ryby uważają za swoje dziedzictwo naturalne, którym nie chcą się z nikim dzielić. Siedząc nad rzeką i uprawiając łowiectwo zawodowo, nie chcą dopuszczać żadnych przygodnych przybyszów ani współników; rzekę mają pod względem użytkowym podzieloną na prawie zwyczajowym między sobą i to prawo użytkowe, oparte na układzie zwyczajowym, jest tak ściśle przestrzegane, że żaden rybak nie ośmiela się wchodzić w drogę innemu i łowić ryby tam, gdzie drugi obrał sobie miejsce do połowu. A choć teraz Niemcy nie udzielają miejscowym rybakom prawa połowu, względnie żądają tak wysokiej opłaty za patent na łowienie ryby, że chłopci-rybacy formalnego pozwolenia nie mają, to jednak, pomimo zakazów i pomimo straży rzecznej, rybacy łowią ryby cichaczem, nocami, względnie przekupując strażników niemieckich, a ceny ryby są tak wysokie, że się im zawód nie mniej niż dawniej opłaca. W każdym razie ze zwyczajowych przywilejów swoich rezygnować nie myślą.

29 czerwca, rok 1917, piątek

Kończę o wczorajszej naszej wycieczce na ryby. Burczakowi pertraktacje z rybakami nie udały się. Obszedł on cały szereg wiosek nadbrzeżnych, konferował z rybakami – i wszystko na nic. Żaden z rybaków nie chciał stanąć do spółki z nami ani nam w czymkolwiek dopomóc. Wszyscy boją się złamania solidarności zawodowej, wydania sekretów rzeki i ryby, obawiają się zemsty swoich towarzyszy zawodu. Wolą być sami, wolą łowić ryby po kryjomu nocami, metodami kłusowniczymi, zadowolając się zyskiem, jaki mają, niż stanąć do jawnego łowiectwa z nami, dającego im wprawdzie możliwość obfitego zarobku, ale za to narażającego ich na gniew miejscowego społeczeństwa rybaków i obrażającego zasady zwyczajowego przywileju zawodowego. W jednej tylko wsi Orzechowie udało się Burczakowi znaleźć chłopca, mieszkającego nad rzeką i posiadającego sieć, który, nie zważając na żadne względy, zdecydował się współdziałać z nami. Jest to chłop ciemny, obdarty, brudny tak, jak gdyby się od dwóch lat nie mył, dawny pijak, niedołęga. Chłopi dokoła śmieją się z niego, rybacy nie uważają go wcale za rybaka i mówią, że żadnego pojęcia o łowiectwie nie ma. Mówią, że kupił jakąś sieć kradzioną od złodzieja i że to jedyny jego związek z rybołówstwem. Ale ponieważ innej rady nie było, Burczak musiał się zdecydować na tego chłopca. Do niego też wprost udaliśmy się wczoraj. W tejże wiosce znaleźliśmy dobrą łódkę u innego chłopca, którą, za wiedzą właściciela, ściągnęliśmy na rzekę. Łódka, pomimo rozeschnięcia, okazała się dobra – lekka, względnie mało przeciekająca, dość obszerna. Spróbowaliśmy jej, wpierv wiosłując wzdłuż brzegu, między wysepkami mielizn piaszczystych, potem przeprawiliśmy się na drugi brzeg przez sam główny nurt rzeki. Tymczasem Geneja ze Zdobylakiem, zostawszy na brzegu, zaopiekowali się rzeczami naszymi, bośmy zabrali ze sobą na rzekę tylko bieliznę, i zajęli się siecią. Wykąpaliśmy się przy tym, napływaliśmy się i nabrodzili w wodzie do syta. Następnie zabraliśmy ze sobą sieć i naszego chłopca-rybaka i ruszyli w łódce w górę rzeki, ciągnieni na linie przez Burczaka i Dąbrowieckiego, a sterowani przeze mnie i Gładysza. Tymczasem Zając zajął się zdobyciem dla nas posiłku, bośmy nic ze sobą nie mieli, a już dobiegało południe. Niestety – nie dostał nic, prócz mleka, którego wypadło skąpo, bo na każdego tylko po kubku świeżego i po kubku kwaśnego. Smakowało nam jak przysmak, ale nie nasyciło. Chleba nie zdołał Zając dostać. Chłopi, niechętni naszemu przedsięwzięciu łowieckiemu, nie chcieli go nam odstąpić ani sprzedać. Wkrótce rozpoczęliśmy pracę. Zapuszczaliśmy kilkakrotnie sieć w miejscach głębokich i zacisznych, pełnych ryby, wybierając zatoczki, jeziora, uformowane z odnóg rzeki lub ciche głębiny, kryte mieliznami i wysepkami. Niestety – skutek był zawsze równie ujemny: nie złowiliśmy ani jednej ryby, mimo że miejsca były dobre, sieć także. Nie umieliśmy jej jednak zapuszczać, a nasz chłop, jak się okazało, nie miał najmniejszego pojęcia o sztuce

połowu. Głośnym mówieniem, okrzykami, pluskiem, niezdarnymi ruchami płoszyliśmy rybę, sieć, do której za mało uczepiono ciężarków szła za wysoko górą, względnie, trafiając na trawę i zarośla wodne, skręcała się w kłęby. Coś ze cztery do pięciu razy ponawialiśmy próbę i zawsze na próżno. Zajęło to nam czas do godz. 5 po południu. Jako rozrywka nasza wycieczka łowiecka była bardzo miła, bośmy cały dzień spędzili na wodzie i w słońcu, w samej bieliźnie, względnie w koszuli lub całkiem nago, ale dla łowiectwa czas był zmarnowany. Zyskaliśmy tylko jedno – nieco doświadczenia, bośmy mogli błędy nasze stwierdzić. Czas upłynął nam szybko, pełny urozmaicenia i swobodnej ochoty; nie zraziły nas nawet ani zbyt dokuczliwy uszczypliwości gniewu chłopów, którzy nie dawali nam spokoju, śledząc złośliwie nasze próby i usiłując nam na przekór robić; rozrywka, którąśmy mieli, usposabiała nas pokojowo, a chłopcy rzeczywiście dokuczali nam i w innych warunkach mogliby nas do pasji doprowadzić. Kilku z nich siedziało na brzegu, przyglądając się naszej robocie w milczeniu, ze złością i zazdrością w sercu: cieszyli się z naszego niepowodzenia, drwili z naszego rybaka, byli pełni szyderstwa i oczywiście nie udzielili nam ani słowa dobrej rady, wskazówki, pomocy; oprócz tego nasłali na nas cichaczem straż rzeczną pruską, licząc, że ta może nas przepędzi; przyszło dwóch Niemców z karabinami, ale, sprawdzwszy naszą legitymację łowiecką, nic nam nie mówili i usiedli tylko na uboczu; ta niegodziwość chłopów, którzy wyrzekają na Niemców i nienawidzą ich, a sami posługują się nimi przeciwko nam jak Judasze, była oburzająca, aleśmy tego nie podnosili. Doszło do jeszcze gorszej rzeczy, bo oto w pewnym momencie jakieś wyrostki chłopskie, namówione z pewnością przez chłopów, zaczęli z wysokiego wybrzeża, zarosłego drzewami, kryjącymi ich przed naszym wzrokiem, rzucać na łódź naszą i w wodę duże kamienie, chcąc nas ewentualnie uderzyć albo sieć uszkodzić oraz staczać ze stromego wybrzeża jeszcze cięższe kamienie; jednym z tych kamieni omal że nie trafiony został Dąbrowiecki. Innym razem należałoby przyjść z karabinami, by takich „skurwysynów” dobrze nastraszyć albo wręcz ich obić, korzystając z przywileju przewagi wojskowej. Dobrocią i przyzwoitym postępowaniem, cechującym zwykle zachowanie się legionistów wobec ludu, w takich razach nic się nie wskóra. U nas stosunek do ludu jest pełny zawsze odcienia braterstwa i solidarności, ale doprawdy chłopcy nie zawsze zasługują na to i nie zawsze stosunek taki rozumieją. Nieraz to ich tylko rozzuchwala, podczas gdy Niemców, którzy są dla nich bezwzględni, lękają się i nienawidząc w duchu, słuchają jak trusie, i... szanują. Dwóch groszy bym nie dał za to, że ci rybacy nadnarwiańscy nie są z niemieckimi strażnikami rzeczными w zмовie i w stosunkach łapownictwa. Łowią kłusownictwem ryby, a Niemcom się opłacają po cichu. Trudno uwierzyć, żeby tak nie było; jeden szczegół wystarcza: po brzegach lub płytkich miejscach koryta rzeki, gdzie jednak prąd jest słabszy, dużo widać poukrywanych na dnie łódek, sztucznie zatopionych przez piasek, którym dno łódki jest wypełnione; trudno przypuścić, aby te łódki ukryte, które się w razie potrzeby wybiera z wody, uszły uwadze strażników; tolerują je, bo mają w tym swój interes wspólnictwa. O godz. 5 zakończyliśmy nasz sport. Dopłynęliśmy do Orzechowa, ubraliśmy się i wróciliśmy do Pomiechówka. W słońcu, w wodzie i wśród ciągłego ruchu i pracy tak zmęczyliśmy się, nie jedząc przez dzień cały nic, że wracaliśmy ledwie żywi z osłabienia, prawie nieprzytomni, znosząc prawdziwą mękę. W Pomiechówku rzuciliśmy się na obiad i chleb jak wilki. Słońce tak nam wysmażyło skórę na plecach i nogach, że dziś jeszcze skóra mię piecze jak ogniem i jestem cały zbolały. Co do naszego rybołówstwa w przyszłości, będziemy musieli wyspekulować jakiś inny skuteczniejszy sposób połowu.

30 czerwca, rok 1917, sobota

Życie płynie tutaj leniwie, dzień podobny do dnia. Dzieją się małe zdarzenia, zachodzą czasem jakieś drobne zmiany w stosunkach kompanijnych, czasem jakiś poszczególny wypadek, który wyrasta do poziomu sensacji, poza tym – od czasu do czasu jakaś pogłoska z wielkiego świata, omawiana i przetrawiana do nieskończoności w próżniaczej atmosferze wegetacji. W atmosferze tej plenią się bujnie plotki, domysły wszelkiego rodzaju, na temat głównie tego, co się ma stać z Legionami. Każda ploteczka urasta z łatwością do sensacji jak ciasto na drożdżach. Poza tym ciągle narzekanie, stały nastrój niezadowolenia z losu, który jest istotnie marny, wielkie rozluźnienie dyscypliny, a zwłaszcza form wojskowych. Gdyby tak otwarto możliwość wystąpienia z Legionów, z pewnością ze $\frac{3}{4}$, jeżeli nie więcej, opuściłoby szeregi; ciągle się o tym mówi i zniechęcenie jest powszechne; zwłaszcza Królewiaci uciekliby prawie wszyscy na cztery wiatry, gdyby mieli tylko możliwość i nie lękali się skutków dezercji; Galicjanie trzymają się nieco mocniej Legionów, nie dlatego, żeby byli mniej zniechęceni, ale dlatego, że Legiony są dla nich bezpiecznym schroniskiem przed wojskiem austriackim i że gdyby wystąpili z Legionów, zostaliby wzięci natychmiast do austriackiego wojska i przeważnie musieliby iść na linię, do czego dziś już prawie nikt nie tęskni. Poza ćwiczeniami lub służbą albo pracą, o ile ona na kogoś wypada, ludzie godzinami wylegują się na trawie, używają kąpieli słonecznej, siedząc w słońcu obnażeni do pasa, kąpią się wieczorami we Wkrze, chodzą do lasów na poziomki i czernice. Tak upływa dzień za dniem.

W kronice kompanijnej od czasu do czasu coś drobnego się zdarza, to ktoś ubędzie, to przybędzie itp. Świeżo wczoraj dokonała się zmiana osoby sierżanta liniowego, czyli, podług nowej terminologii, sierżanta-szefa. Był nim Gorgoń, obecnie zostaje nim Nebelski. Gorgoń, wraz z kilku innymi starszymi sierżantami, najstarszymi rangą, służbą i zasługami, został przeniesiony na stopę oficerską, to znaczy uznany już w charakterze aspiranta oficerskiego. Odtąd otrzymuje już kwaterę oficerską, stołować się będzie w menaży oficerskiej (w kasynie), pełnić służbę oficerską, pozostając formalnie tylko w szarży sierżanta, ponieważ wszelkie nominacje są od czasu przejścia Legionów od Austrii w ręce Beselera, to znaczy od kwietnia – wstrzymane. W naszym baonie jeszcze w maju został w ten sposób wycofany z kompanii Włodek Mozołowski, który, po uznaniu go za aspiranta, otrzymał funkcję komendanta plutonu w II kompanii. Obecnie wycofano z kompanii i przeniesiono na stopę aspirantów oficerskich od razu kilku starszych sierżantów: Gorgonia i Krzymowskiego z naszej kompanii (ten ostatni bawi na urlopie), Garstkę (pseudonim Eta) z II kompanii. Za mojej pamięci na stanowisku sierżanta liniowego w I kompanii I baonu zmienili się następujący ludzie: sierżant Wiatr (obecnie chorąży), którego już nie zastałem na tym stanowisku, bo od lata r. 1915 był objął samodzielną komendę plutonu; następnie Szarski aż do czasu, kiedy zaginął w bitwie pod Polską Górą w lipcu roku 1916 (wzięty do niewoli lub prawdopodobnie zabity); po Polskiej Górze po reorganizacji kompanii objął funkcję sierżanta liniowego Krzymowski, który się utrzymał do grudnia tegoż roku; w grudniu w Łomży po usunięciu Krzymowskiego przez komendanta kompanii Kruka-Grzybowskiego, który się na niego za coś zagniewał, zastąpił Gorgoń; w styczniu w Zambrowie, przy reorganizacji kompanii na podstawie podziału na kapralstwa, zastąpiono Gorgonia przez Włodka Mozołowskiego, po sprawdzeniu jego starszeństwa rangi; w marcu Włodek Mozołowski wydzielony został z I kompanii do kompanii szkoły oficerskiej; przez czas trwania szkoły oficerskiej sierżantami liniowymi w I kompanii byli: wprawdzie młodszy sierżant Błaż, następnie młodszy sierżant Piotrowski; w kwietniu po zlikwidowaniu szkoły oficerskiej sierżantem liniowym zostaje znów Mozołowski; w maju po ustąpieniu Mozołowskiego nastaje powtórnie Gorgoń; wreszcie obecnie zostaje nim Adam Nebelski. Sierżantów w kompanii naszej pozostaje

teraz niewielu: dwóch starszych sierżantów – Nebelski jako liniowy i Znicz-Żybski, tkwiący od niepamiętnych czasów w prowianturze kompanijnej – i młodzi sierżanci Pinto-Grabacki, Błaz i Burczak (Piotrowski ciężko zachorował i jest w szpitalu, dawny rachunkowy Jaśko-Stasiak, poszedł w kwietniu na werbunek, Kaliszczyk, bawiący na urlopie, został wydzielony do nowej tworzącej się IV kompanii, choć, zdaje się, że kompania ta nie dojdzie do skutku z powodu zarządzonego odjazdu wszystkich werbunkowców i zmniejszenia się przeto stanu liczebnego baonu). Kapralów za to mamy w kompanii mnóstwo, jak nigdy: oprócz dawnych przybyło w ostatnich paru miesiącach jeszcze kilku nowych, którzy zostali z hinterlandu do pułku przysłani. Porucznik Młot-Porczyński, komendant naszej kompanii, zarządził, że kompania ma być obecnie traktowana za kurs instruktorski (oczywiście nieurzędowo, jeno w programie zajęć). Ile to już u nas było rozmaitych kursów, szkół itd. Jak w bajce Kryłowa: muzykanci zmieniają miejsca, próbują wszelkich po kolei instrumentów, a orkiestry i muzyki jak nie ma, tak nie ma. Mamy szkoły podoficerskie, szkoły niższe oficerskie, obozy ćwiczebne i kursy wyszkolenia, kursy instruktorskie itd., a wojska polskiego – nie ma i nie ma. Pomysł Młota nie jest zły, bo trzebaż czymś ludzi zająć i czas zużytkować, ale w gruncie nasi żołnierze zbyt poważnie traktować tego „kursu instruktorskiego” nie będą; ot – sobie, prosta zachcianka Młota z braku istotnego celu i znaczenia zajęć. W myśl tej kombinacji Młot przeprowadza na ćwiczeniach całkowity znowu program wyćwiczenia pojedynczego żołnierza – od a do z. Ileśmy już tego mieli!

1 lipca, rok 1917, niedziela

Korzystając z niedzieli, poszedłem rano z Eminowiczem-Targoszem na poziomki do lasu, położonego o parę kilometrów od Pomiechówka przy szosie, prowadzącej do Nasielska. Poziomek i czernic – pełny las, ale też ludzi zbierających – setki. Kobiety wiejskie, dzieci, żołnierze – wszyscy zbierają na wyścigi, jedni na sprzedaż dla zarobku, inni dla siebie, aby oszczędzić kupowania (jagody po 1 marce za kwartę). Nie mniejszą przyjemność od jedzenia jagód sprawia aromat lasu i poziomek leśnych, a nawet samo zbieranie. Zabawiliśmy w lesie aż do popołudnia i dopiero na godz. 2 wróciliśmy do koszar. Wieczorem z tymże Eminowiczem wybraliśmy się do sąsiedniej wioski, położonej nad Wkrą w górę rzeki, po miód. W obecnych czasach jest to towar dość rzadki i drogi, bo pszczoły zostały bardzo wyniszczone na wojnie (kiedy tylko przechodziły walczące wojska, tam wyniszczono bodajże wszystkie pszczoły, nic bowiem nie jest tak przez żołnierzy na wojnie poszukiwane, jak miód, a żołnierz nie będzie się bawił w systematyczne podbieranie miodu i rozbijanie wszelki napotkany ul, wytępi pszczoły i miód po prostu zrabuje; przyjrzałem się temu w r. 1915 na Wołyniu). Na wsi miód dostaliśmy tanio, płacąc po 3 marki za funt.

Z ważniejszych wydarzeń i spraw ostatnich dni mam do zanotowania o trzech: sprawa austriackich poddanych, wysłanie werbunkowców do obozu ćwiczebnego i sprawa nowej organizacji obozów ćwiczebnych, obchodząca mię blisko.

Zacznę od werbunkowców. Na razie po zwinięciu posterunków werbunkowych (zwinięcie to motywowane było urzędowo przez Beselera zawieszeniem werbunku na czas robót rolnych w kraju i potrzebą wyćwiczenia personelu werbunkowego w musztrze niemieckiej), werbunkowcy chwilowo odesłani zostali do swoich odpowiednich pułków, z których pochodzili. W pułkach zaczęto ich już ćwiczyć, ale wiedzano o tym, że jest projekt skupienia ich wszystkich w jednym z obozów ćwiczebnych dla wyćwiczenia w całości. Jest nawet projekt dalej idący, zmierzający mianowicie do tego, aby ewentualnie utworzyć z werbunkowców, gdyby już nie mieli oni być użyci do werbunku, osobny pułk, o co, jak powiadają, zabiega pułkownik

Sikorski, kierownik całej akcji werbunkowej i bezpośredni ich szef. W każdym razie chodzi o to, aby personel werbunkowego nie rozpraszać. Co do samego wyćwiczenia, to z pewnością dokona się ono lepiej w specjalnym obozie ćwiczebnym, niż w pułkach. Jednocześnie daje to możliwość użytkowania obozów ćwiczebnych, których założono w maju trzy – w Zegrzu, Ostrowiu i Zambrowie – podczas gdy rekrutów jest zaledwie tyle, że starczy na jeden obóz (w każdym obozie po dwa kursy wyszkolenia, czyli ogółem sześć kursów wyszkolenia, względnie kadr, odpowiednio do sześciu istniejących pułków piechoty). Pierwotnie kursy wyszkolenia, czyli kadry poszczególnych pułków, były rozmieszczone po obozach ćwiczebnych tak: w Zegrzu – kursy wyszkolenia nr 1 (kadra I pułku) i nr 3 (kadra III pułku), w Ostrowiu nr 2 i nr 5 (kadry II i V pułków), w Zambrowie – nr 4 i nr 6 (IV i VI pułków). Rekrutów otrzymały tylko dwa pierwsze kursy wyszkolenia (nr nr 1 i 3), będące w obozie ćwiczebnym w Zegrzu; wszystkie inne pozostawały dotąd bezczynne i niezapełnione, oprócz tylko personelu instruktorskiego, wydzielonego do nich z odpowiednich pułków. Trzeba było to jakoś załatwić, aby nie utrzymywać na próżno dwóch zbywających obozów ćwiczebnych, narażając się na niepotrzebny koszt utrzymania i na drwiny, że oto nie udało się złapać frajerów rekrutów. Wtedy to postanowiono użytkować przynajmniej dwa obozy ćwiczebne w ten sposób, żeby do jednego dać na wyćwiczenie werbunkowców, których jest do 2000 ludzi, zajmując nimi dwie kadry, w drugim – skupić wszystkich rekrutów, trzeci zaś – zlikwidować. Na obóz rekrucki wyznaczono Ostrów, dla werbunkowców – Zambrów, Zegrze zaś – do zlikwidowania. Wypadło przez to zlikwidować dwie kadry; władze Wehrmachtu skazały, jak wiadomo, na likwidację kursy wyszkolenia nr 1 i nr 5, czyli kadry pułków I i V, obu pułków dawnej I Brygady, piłsudczyków, uważając je za materiał najbardziej niesforny i politycznie niepewny, biorąc pretekst z naszych prośb majowych o przeniesienie nas z powrotem z kadry do pułku; odebrano naszej kadrze rekrutów, odesłano nas do pułku, kadrę zwinięto, rekrutów zaś wcielono do kadry II pułku w Ostrowiu; poza tym zlikwidowano kadrę V pułku, a na jej miejsce przeniesiono z Zegrza do Ostrowia kadrę III pułku (kurs wyszkolenia nr 3) wraz z rekrutami. Obecnie po unormowaniu w ten sposób rekruckiego obozu ćwiczebnego, załatwiono sprawę z werbunkowcami, którzy dziś odjechali z pułków do Zambrowa do tamecznego obozu ćwiczebnego. Sprawa obozów ćwiczebnych wchodzi teraz w dalsze stadium ewolucji. Odebranie nam rekrutów i usunięcie nas z obozów ćwiczebnych, które tak nas obeszło, nie minęło bez śladu.. Przypuszczano, że zainterweniował w tej sprawie oficerski komitet wykonawczy, któremu udało się przez ustalenie wobec tego faktu pewnej zgodnej postawy pułków i przez interwencję Komendy Legionów u władz niemieckich wyjednać pewne zmiany, skierowane do wyrównania stanowiska pułków w stosunku do obozów. Słyszałem od Sadowskiego, któremu to mówił przy raporcie pułkownik Śmigły, że kadra II pułku, która od nas rekrutów przyjęła, zsolidaryzowała się z nami i odmówiła ćwiczenia rekrutów ma zasadach ustalonych przez Niemców (to znaczy tych zasadach, na których Niemcy zreorganizowali obozy ćwiczebne). Stało wreszcie na tym, o czym dziś już nas rozkaz pułkowy powiadomił, że kadry, czyli tzw. kursy wyszkolenia, których pozostaje nadal cztery i których numeracja nie zostaje zmieniona (nr nr 2 i 3 w Ostrowiu, nr nr 4 i 6 w Zambrowie), przestają być kadrami poszczególnych pułków i stają się międzypułkowymi, a mianowicie w ten sposób, że personel instruktorski ma być do nich wydzielony równomiernie ze wszystkich pułków (tak oficerowie, jak podoficerowie i żołnierze) i tam bez względu na swoją przynależność pułkową zmieszany. Wobec tego i od nas zostaną tam wydzieleni i oficerowie, i żołnierze (podług nowej terminologii szeregowi, która to nazwa obejmuje i podoficerów i szeregowców wraz ze starszymi żołnierzami, odpowiadając niemieckiemu terminowi

„Mannschaft”). Będę się i ja usiłował tam dostać, bo wolę dziś kadre od pułku. Co więcej – materiał instruktorski wydziela się bez względu na przynależność do poddaństwa austriackiego czy polskiego, co jest także wielkim krokiem postępu, bo usuwa ten niebezpieczny podział w Legionach na Galicjan i Królewaków. Jednocześnie Niemcy zrobili ustępstwo w sprawie organizacji kadry, że odtąd już nie tylko komendanci kompanii, ale i baonów będą oficerowie Polacy, a jeno komendantem pułku kadrowego pozostanie na razie Niemiec.

2 lipca, rok 1917, poniedziałek

Dzień tutaj płynie tak powoli, że nie można się doczekać jego końca. Godziny się dłużą szalenie. Zupełne przeciwieństwo do biegu życia w Zegrzu, gdzie dni pędziły, zdało się, lotem strzały, tak że nadążyć niepodobna było robocie ani nastarczyć czasu. Tutaj dzień się mierzy okresami od jednego do drugiego etapu posiłku. Rano, gdy się wstanie o godz. 5 i przed godz. 6 wypije się tzw. śniadanie, tj. kawę, przeważnie, jak się u nas mówi, „na tempa”, to znaczy bez chleba (bo chleb się zjada cały wieczorem) i kawę się pije samą tak, jak się ćwiczy na „raz, dwa, trzy” (tempa), to się czeka i doczekać nie może południa – wielkiego terminu obiadu; po obiedzie, po którym zresztą człowiek nigdy syty nie jest, już się czeka wieczornego fasunku chleba i kawy, a gdy ten drugi radosny termin minie, to już nie pozostaje nic, jak czekać apelu wieczornego o godzinie trzy kwadranse na 10-tą i snu, aby nazajutrz znów tę samą vegetację rozpocząć. Żyje się czekaniem i zabijaniem czasu od śniadania do obiadu, od obiadu do fasunku i kawy, od kawy do snu itd. Godziny wloką się nieskończenie. Aby zabić czas, śpi się na trawniku w cieniu drzew i przed obiadem, i po obiedzie, byle tylko była pogoda; śpi się i po trzy, i po cztery godziny we dnie, nie licząc nocy i nigdy ochoty do snu nie braknie. Może organizm tak jest osłabiony z wycieńczenia głodowego, że gotów jest ciągle do snu. W tych warunkach bodajże błogosławieństwem są ćwiczenia, które przynajmniej skracają długość czekania. Ale mnie się tak trafiło, że od mego powrotu z Zegrza ani razu jeszcze nie ćwiczyłem; zawsze miałem jakiś pretekst do zwolnienia.

Pomówię teraz o sprawie austriackich poddanych w Legionach. Sprawa ta stała w ostatnich czasach na ostrzu noża. Zamiar Austrii odwołania swoich poddanych (Galicjan) z Legionów, którego się domyślano i o którym się wciąż w pogłoskach powtarzało, stwierdzony został urzędowo przez austriackiego ministra, hr. Czernina, w rozmowie z delegacją Wiedeńskiego Koła Polskiego. Termin tego odwołania był łączy z datą 1 lipca. W samych Legionach i w całym społeczeństwie polskim budziło to wielki niepokój. Zagrożeni odwołaniem austriaccy poddani, jeżeli nawet nie chodziło im o wzgląd zasadniczy przynależności do wojska polskiego, z niechęcią i obawą spoglądali na perspektywę, raz dlatego, że się do środowiska legionowego przywiązali i nieskorzy byli do zamiany go na środowisko armii austriackiej, po drugie dlatego, że po odwołaniu mieli być, jak słychać, wysłani na groźny front włoski. Dla sprawy ze względów zasadniczych odwołanie to było wielkim niebezpieczeństwem zarówno dlatego, że Galicjanie stanowią w Legionach znakomity tak liczebnie, jak jakościowo element, przeważnie najstarszej i najmorowszej wiary, najlepszych żołnierzy, główny kontyngent podoficerów, jak też dlatego, że takie odwołanie zadałoby cios polityczny rosnącym aspiracjom do przyłączenia Galicji do niepodległej Polski, czego jednym z wyrazów i atutów jest obecność Galicjan w wojsku polskim. Nastrój więc wobec perspektyw odwołania był bardzo wrogi i jednomyślny w całym społeczeństwie. Nie jest wykluczone, że gdyby do tego odwołania doszło, mogłoby przyjść, pomimo chronicznego u nas „bajzlu” i rozdźwięku między słowem a czynem, do zbiorowego i planowego oporu. Że żołnierze byliby do tego w masie gotowi, o tym nie potrzebuję mówić. Tym razem jednak podobno i sfery kierownicze byłyby, wbrew swojej

dotychczasowej roli, gotowe do zajęcia bardziej zdecydowanego stanowiska. Jak wiem od Hellera, który miał tę wiadomość przez stosunki z centralizacją organizacji wojskowej, Piłsudski zdecydowany był zaryzykować czyn i zarządzić, jak się Heller wyraził, koncentrację wszystkich pułków dla przeciwdziałania. Rzec stawała się ostrą. Z drugiej strony Galicyjskie Koło Polskie rozpoczęło w tym kierunku akcję polityczną, łącząc to z całokształtem swojej opozycyjnej gry w parlamencie; niemniej poruszyły tę sprawę czynniki polityczne w Warszawie, zabiegając, by Niemcy ze swojej strony także się tą rzeczą zajęły jako jednym z zasadniczych elementów sprawy wojska, o którą Niemcom chodzi. Tymczasem termin 1 lipca szybko się zbliżał. Kilka dni przed tym terminem rozeszły się pogłoski, że sprawa zostanie odwleczona i że niebezpieczeństwo na razie minęło. Wreszcie przed paru dniami ukazał się rozkaz Komendy Legionów powtórzony w ogłoszonym nam rozkazie pułkowym, który omawia tę sprawę. Nie rozstrzyga jej wprawdzie kategorycznie, nie zawiera żadnych wskazań o zrzeczeniu się przez Austrię prawa do odwołania swych poddanych z wojska polskiego, ale bądź co bądź zawiera tezy, które pokazują, że sprawa jest co najmniej odwleczona, a nawet są poniekąd w sprzeczności z zasadą przymusu odwołania. Powiedziano tam mianowicie o warunkach przejścia legionistów – austriackich poddanych z wojska polskiego do c.k. armii austriackiej. Otóż, po pierwsze, przeniesieni będą do armii austriackiej ci wszyscy legioniści – austriaccy poddani, którzy czynami swymi zakwalifikowani zostaną do kary dyscyplinarnej albo sądowej; po drugie, i to jest najważniejsze, ci, którzy dobrowolnie się chcą przenieść, mogą prosić o to drogą służbową w terminie czterotygodniowym od daty rozkazu, z tym, że jeżeli w ciągu tego terminu nie zrobią tego, to już nie będą mogli się później z wojska polskiego wynieść. Zdawałoby się, że takie ograniczenie dobrowolnego przeniesienia się terminem wyklucza zamiar, przynajmniej w bliższej perspektywie, przymusowego odwołania. Pewności, że sprawa ta została ostatecznie pomyślnie załatwiona, nie mam, bo ustalenie warunków dobrowolnego przeniesienia się do c.k. armii nie jest jeszcze formalnym zrzeczeniem się Austrii swego prawa. Ale że takie zarządzenia, dotyczące warunków przeniesienia się do c.k. armii, nie są zwykle ustalane bez wiedzy i porozumienia z Austrią, więc wnosić należy, że przynajmniej na razie Austria odstąpiła od kładzenia nacisku na zamiar przymusowego odwołania swoich poddanych. Że tam siła ludzi skorzysta z tego zarządzenia i po paru lub po kilku na kompanię przeniesie się, to nie ma znaczenia. Fakty takie mają zawsze miejsce. Będzie to tylko kropla w morzu. Charakterystyczne jest także to, że legioniści – austriaccy poddani dopuszczeni zostali obecnie, na równi z Królewiami, do obozów ćwiczebnych na instruktorów.

3 lipca, rok 1917, wtorek

Naturalnie, że wieść o przekształceniu istniejących kadr w kadry międzypułkowe, dające możliwość powrotnego dostania się mego do kadry, ucieszyła mnie rzetelnie. Zasmakowałem w Zegrzu w tej pracy kadrowej, żywej, może jedynej dziś w Legionach, która daje możliwość intensywniejszego działania wojskowego. W niej jest przynajmniej czyn wojskowy, twórczy i żywy. Uczestniczenie w tym czynie jest samo przez się przyjemnością. Chodzi mi nie o większą wygodę osobistą i łatwiejszą drogę awansów, które niewątpliwie są w kadrze w porównaniu do warunków, jakie mam w pułku, ale właśnie o tę żywą twórczość samą w sobie, której brak zupełny w zeszytywniałych i martwych warunkach pułkowych. U nas wszystko jest nienormalne, jak nienormalne są warunki powstawania, względnie wegetacji tego wojska; w normalnych warunkach znalazłoby się dla mnie w pułku nie mniejsze zastosowanie, niż w kadrze, choć mam wrażenie, że zawsze bym wołał kadrę jako rzecz bardziej twórczą, niż pułk gotowy. W pułku zaś u nas, z natury tych samych warunków nienormalnych,

spowodowanych brakiem rozwoju, jest ta rzecz bardzo ujemna, że ci sami ludzie wciąż się do wszystkiego zużywają, podczas gdy cała masa ludzi skądinąd nie mniej uzdolnionych i już wykwalifikowanych, nie mogąc się wybić w górę, smaży się we własnym sosie, jałowo i nieużytecznie, marnując się bez żadnego zastosowania dla siebie i dla sprawy wojskowej. Tacy ludzie, jak Mozołowski, Heller, Nebelski i wielu innych, którzy już są podoficerami, znakomicie wyrobionymi, nie awansując, zużywają się i zajmują miejsce i pracę, która dla innych jest przez to niedostępna. Reszta – jest rezerwą, jest ciągle materiałem biernym, choć kwalifikacjami i pragnieniem czynu dawno już z tej bierności wyrosła. I ta właśnie bierność, ten rozdźwięk między przymusową biernością a zdolnością i chęcią żywej pracy – jest jedną z najbardziej męczących rzeczy. Przez utworzenie szkoły oficerskiej w Zambrowie starano się u nas tę rzecz naprawić i w tym tkwiła myśl bardzo zdrowa. Tym się też tłumaczy to względne zadowolenie, jakie się w tej szkole miało. Ale szkoła się skończyła i wszystko wróciło do dawnego stanu. I nie mogło nie wrócić, gdy nie nastąpiło rozwoju wojska. Nie jest to winą niczyją, jak tylko winą fatalnych warunków. W tym rozdźwięku i w tej bierności jest główne źródło szerzenia się prądów rozkładowych w nastrojach, w nerwowym i moralnym stanie żołnierzy. Stąd też płynie owo politykowanie wojska, w którym szuka sobie ujścia niezużytkowana, młoda, tęskniąca do emanacji energia próżnujących żołnierzy. Kadra otworzyła pewne nowe, czynniejsze drogi działania lepszym elementom spośród żołnierzy. Nie uświadamiamy to sobie wszyscy i nie uświadamiają zwłaszcza ci, którzy pracy tej nie spróbowali, ale tak jest w istocie. W tym leży sekret uroku, jaki wywarła kadra na tych, co w niej pracować rzetelnie zaczęli. Nawet taka mizerna kadra, jak ta nasza w Zegrzu, uboga w rekrutów zarówno liczebnie, jak co do ich jakości, budząca skądinąd pewne uzasadnione wątpliwości co do politycznej swej budowy, pełna przykrych elementów, jak zwłaszcza ingerencja niemiecka, nawet taka kadra zdołała nas pozyskać. Co do mnie, to od czasu wycofania Legionów z linii znalazłem w tej kadrze po raz pierwszy zadowolenie i dopiero zacząłem prawdziwie wyczuwać i rozumieć wojskowość jako zawód. Kadra była dla nas szkołą zawodową, szkołą fachu czy też sztuki wojskowej. Swoją drogą, o ile bym teraz wrócił do kadry, to zdaję sobie sprawę, że dziś warunki pracy kadrowej ze względu na rekruta mogą być o wiele gorsze, niż te, które były w Zegrzu i że w tej pracy mogę doznać niejednego rozczarowania. Co innego jest wziąć świeżego rekruta i zacząć nad nim pracować systematycznie od początku, a co innego przyjść do rekruta, który już przechodził z rąk do rąk, przez różne wpływy i metody oddziaływania, a w dodatku jest już psychicznie znarowiony rozmaitymi przejściami natury moralnej i politycznej. Rekrut w warsztacie kadrowym jest tym, czym dzieło sztuki w pracowni artysty; ciągłość twórczego procesu jest jednym z zasadniczych elementów dobrego dzieła. Inną, o wiele lepszą, płodniejszą i dla mnie osobiście ciekawszą byłaby nieprzerwana, ciągła praca w moim dawnym VI kapralstwie, niż ta, którą ewentualnie bym teraz w kadrze dostał. Przechodzenie z jednych rąk instruktorskich w drugie i wstrząśnienia psychiczne nie mogły pozostać bez śladu ujemnego na materiale, jakim dzisiaj jest ten rekrut. Bądź co bądź jednak, jeżeli tylko będzie możliwość, zdecydowany jestem do kadry pojechać. A możliwość, zdaje się, będzie, bo trafia mi się właśnie okazja po temu. Dziś rozkazem pułkowym wydzielony został cały szereg oficerów, wyznaczonych bądź do innych pułków (przeważnie kapitanowie na komendantów baonów), bądź do kursów wyszkolenia w obozach ćwiczebnych, a z tego kilkunastu do kursu wyszkolenia nr 2 w Ostrowiu, w którym znajduje się właśnie cały komplet rekrutów z naszej dawnej kadry I pułku w Zegrzu. Tam bym właśnie chciał najbardziej trafić. Oficerowie ci mają dojechać na miejsce już jutro wieczór. Wśród oficerów, wydzielonych do Ostrowia, są między innymi Sadowski i Barwiński. Co do tego

ostatniego, to sędzę jednak, że obejmie on tam nie komendę kompanii, lecz funkcję adiutanta, do której jest o wiele odpowiedniejszy. Z Sadowskim już od czasu wyjazdu z Zegrza zbliżyłem się w szeregu rozmów; łączy nas wspólna niechęć do politykowania wojskowego i tej demoralizującej jałowizny, jaką przedstawia polityka frazesowa bez metody, prowadzona od wypadku do wypadku, która nie jest ani czynem i rewolucyjnym tworzeniem faktów, na co ja bym się godził, ani metodą zastosowania się do warunków i oportunistycznego wytwarzania na ich gruncie samej formy wojskowej, co jest ideą Sadowskiego. Aczkolwiek stoimy z Sadowskim na dwóch skrzydłach, rozumiemy się dobrze i obaj zarówno jesteśmy przeciwni bajzłowi politycznemu, który nie jest ani wojskiem, ani czynem rewolucyjnym. Sadowski, który już dawniej nosił się z myślą zaangażowania mnie do swojej kompanii rekruckiej, nie wykonał tego w Zegrzu, *primo* dlatego, że ja sam nie kwapiłem się wtedy do współpracy z nim, traktując sceptycznie jego kompromisowe w stosunku do zarządzeń niemieckich i do faktów dokonanych usposobienie, po wtóre zaś dlatego, że Sadowski widział mnie w początkach naszego pobytu w Zegrzu, jak mu się zdawało, rozpolitykowanego i obawiał się wpuszczenia tego prądu do swej kompanii. Teraz wszakże, gdyśmy się zbliżyli i zrozumieli (łączy nas poza tym jeszcze jeden wielki moment orientacyjny, mianowicie, zwątpienie o Piłsudskim jako o sile, która z motoru twórczego stała się główną ostoją bezwładu i zaporą tak czynu rewolucyjnego, jak kompromisowego wytwarzania wojskowości), Sadowski znów mnie pragnie pozyskać do siebie. Jak tylko się dowiedział o przekształceniu kadry na międzypułkową i ewentualności dostania się do niej z powrotem, zaczął mnie szukać i dawać do zrozumienia o swoim zamiarze zaangażowania mnie do współpracy. Dziś, gdy go wyznaczono do tej kadry, rozmówił się ze mną ostatecznie i zrobił mi propozycję, którą przyjąłem. O propozycji tej i w ogóle o planach Sadowskiego pomówię jutro.

4 lipca, rok 1917, środa

Od wczoraj w południe do dzisiaj w południe byłem na warcie głównej. Wartę miało I kapralstwo i II naszej kompanii pod komendą kaprała Dzika. Ludzi ogółem było niespełna 20-stu, posterunki się wystawiło trzy (przy komendzie stacji, posterunek alarmowy samej warty i przy areszcie), w nocy – cztery (przy pożarnym dzwonku alarmowym). Spodziewałem się, że będę miał na warcie funkcję przewodniego, rozprawiającego posterunki jako starszy żołnierz, ale ponieważ było dwóch starszych ode mnie (kapral Ślęzak i starszy żołnierz Rzepecki, starszy ode mnie rangą), więc wypadło mi stać, na równi z szeregowcami, na posterunkach. W ogóle mamy tyle w kompanii w szczególności w naszym kapralstwie szarż podoficerskich, że stopień starszego żołnierza prawie nigdy nie daje w robotach i służbie pierwszeństwa. W naszym kapralstwie mamy w obecnej chwili, oprócz sierżanta Grabackiego, aż trzech kaprałów (Ślęzak, Picheta i Chmielowski) i poza tym aż pięciu starszych żołnierzy (Mrozowski, Welenowski, Jaśkiewicz, Frycz i ja); starsi żołnierze pełnią dyżury na sali, wyznaczani są do robót, usunięci są od służby kaprała dziennego. Zresztą posterunki na warcie głównej były lekkie; stałem dwa razy na posterunku przy areszcie (wczoraj od godz. 4 do 6 wieczór i dziś od godz. 9 do 10 ½ rano). I raz w nocy na posterunku alarmowym przy warcie (od godz. 2 do 4 nad ranem). Lokal warty głównej, czyli tzw. kordegarda, mieści się w niedużym domku drewnianym, parterowym, stojącym na ustroniu, w ładnym położeniu nad drogą boczną, wiodącą z Pomiechówka do wiosek, położonych w górę Wkry, z widoczkim na Wkrę, łąki i las; zacisznie jest tam i ładnie; w domeczku tym pierwsza duża izba od wejścia służy za lokal warty, w głębi zaś prowadzi od niej korytarz, przy którym mieści się pokój profosa i sześć cel aresztanckich, z tych dwie – ciemnice kompletne, bez okien. Cele aresztanckie mają

niską pryczę z twardych desek, służącą za łóżko i zarazem jedyne miejsce do siedzenia dla aresztanta i małe zakratowane okienko wysoko w górze, nic ponadto. W drzwiach każdej celi jest mały zasuwany otworek – okienko Judasza – służące do obserwacji aresztanta i do podawania mu jedzenia. Humor legionistów, zapewne ręką pełniących wartę wypisał na drzwiach każdej celi, komu by się ona należała w myśl pojęć żołnierskich o wymiarze sprawiedliwości. A więc na celi nr 1 dwa napisy: „dla szeregowców” i „pokój freitrow”, na drzwiach celi nr 2 – „pokój dla podoficerów”, na celi nr 3 – „dla profosa i klucznika”, na celi nr 4 napis złośliwy: „dla kantyniarzy i złodziei”, zaznaczając równorzędność tych dwóch zajęć; na drzwiach celi nr 5, ciemnicy – „dla kucharzy i prowiantowców”, o stopień gorszych i winniejszych nawet od kantyniarzy, a pod tym napisem drugi – „dla rachunkowców”, u dołu zaś mściwa ręka „leguna” dopisała jeszcze: „i oficerów III baonu” (aluzja do niedawnych zająć w III baonie, gdzie nie wypłacano żołnierzom dodatków żywnościowych, o których wśród żołnierzy krążyły wersje, że oficerowie przegrali je w karty; wywołało to kilkudniowy strajk głodowy w III baonie, który pociągnął usiłowania ostrej represji ze strony ówczesnego komendanta baonu, kapitana Sasa-Kulczyckiego, aż interweniowała w to rada żołnierska I baonu i wreszcie sam pułkownik, dzięki czemu strajk został przerwany, niektórzy oficerowie III baonu przeniesieni, a żołnierzom dodatki – wypłacone); wreszcie na drzwiach ostatniej celi, ciemnicy nr 6 napis „dla komisji żywnościowej”. W pojęciach żołnierzy kantyniarz, kucharze, prowiantowcy, rachunkowcy i członkowie komisji żywnościowej – to jedna wielka zbrodnicza szajka, żyjąca z okradania żołnierzy i tuczająca się kosztem ogładzanej masy, szajka, która ryczałtowo zasługuje na zamknięcie w areszcie. Czas na warcie głównej zeszedł nam nieźle; kupowaliśmy ciągle chleb i masło w Pomiechówku i cały dzień wczoraj jedliśmy, a zwłaszcza objadali się wszyscy jagodami, których niezliczoną moc wykupywano od przechodzących drogą kobiet i dzieci.

Wracam do moich układów z podporucznikiem Sadowskim w sprawie wyjazdu do kadry w Ostrowiu. Wahałem się trochę co do wstąpienia do kompanii Sadowskiego, ale ponieważ bardzo mi chodzi o wydostanie się z bezczynności pułkowej, by móc intensywniej pracować w zawodzie wojskowym i ponieważ kadra przedstawia względnie najlepsze warunki po temu, a kombinacja z Sadowskim była najpewniejszą okazją do tego, zdecydowałem się. Przyczyny mojego wahania się polegały na tym, że znając Sadowskiego, obawiałem się nieco jego krańcowego indywidualizmu. Sadowski jest z natury entuzjastą, który nie umie być połowicznym. Gdy się zabiera do pracy, do której ma przekonanie, robi to z całym oddaniem się. Poniekąd to samo mam i ja, w rzeczach, które mnie zdołają zainteresować. Jak większość tego rodzaju ludzi, Sadowski w takiej pracy nie znosi koło siebie czegoś, co nie jest do niego dostosowane. Wszystko musi się w takim razie podporządkować jemu i całość musi iść tak, jak on tego chce i jak on tym kieruje. Jako wybitna indywidualność nie znosi on innej wybitnej a odrębnej indywidualności i lubi się otaczać swymi kreaturami, które są od niego zależne i ściśle posłuszne jego woli. Wiem, że to samo miałbym i ja w podobnej pracy. Mając kapralstwo w Zegrzu, nie mogłem znosić w kapralstwie starych żołnierzy, którzy nie stosując się do mojej pracy, byli mi tylko zawadą i o których wpływ na rekrutów, zresztą zupełnie chaotyczny, byłem zazdrosny, bo mi krzyżował drogi mego planowego i celowego oddziaływania na nich. Sadowskiemu przyjrzałem się w Zegrzu. Do kompanii swojej pościagał z innych kompanii i dobrał na instruktorów żołnierzy z różnych innych pododdziałów, robiąc z nich karne i giętne narzędzie. Byli to ludzie, których Sadowski wyciągnął z nicości, którzy by, nie wzięci przez niego, pozostawali bez żadnej funkcji i którzy przeto jemu zawdzięczali wszystko, zarówno wygodę i lepsze stanowisko, jak perspektywy awansów na przyszłość; to wytwarzało ich

zależność od Sadowskiego, większą od zwykłej zależności służbowej; stawali się oni jego wiernymi psami; nie dawał on im wprawdzie próżnować, ale dawał im wszystko, co w tych warunkach za pracę mogli mieć swoją; wobec Sadowskiego ludzie ci udawali oczywiście bardzo gorliwych, i choć rzeczywiście byli gorliwi, to jednak byli nimi więcej przez chęć dogodzenia przełożonemu, niż z wewnętrznych pobudek ideowych; Sadowski brał to, zdaje się, za dobrą monetę ideowości, podczas gdy ja, patrząc na to ze strony i z pozycji pospolitego żołnierza, widziałem, jak się rzecz ma w istocie: przychodzili oni bowiem nieraz do naszej kompanii, z której byli przez Sadowskiego wzięci, i nie krępując się, wypowiadali się swobodnie przed kolegami, skarżąc się na przeciążenie ich przez Sadowskiego pracą, ale chwając sobie wygody i stanowisko, jakie mają w kompanii Sadowskiego dzięki niemu; ta wygoda i stanowisko były ich głównym bodźcem gorliwości i przedmiotem zadowolenia. Otaczanie się Sadowskiego ślepych kreaturami, powodowanymi w istocie względami karierowiczostwa, przestraszało mnie nieco; lękałem się, że indywidualizm Sadowskiego może być nieco krępującym dla mnie, choć różnica stanowiska i funkcji, jakie będzie zajmował on, komendant kompanii, i ja, ewentualnie komendant kapralstwa, jest tak wielka, że, być może, mój indywidualizm w tej drobnej sferze działania, którą mieć będę w porównaniu do jego sfery, da się z jego indywidualizmem pogodzić. Bo, oczywiście, ja w pracy mojej kadrowej powodować się będę więcej względami na dobro i celowość roboty, niż przypodobaniem się Sadowskiemu. Powiedziałem to wczoraj otwarcie Sadowskiemu, że to jest ewentualnie jedyna rzecz, której się lękam. Oczywiście, Sadowski jest zbyt rozumny i uczciwy, aby świadomie szukać otoczenia karierowiczów i kreatur i przekładał je nad otoczenie ludzi samodzielnych, byle w ramach godzenia tej samodzielności ze stosunkami zależności służbowej. Bądź co bądź zdecydowany jestem pójść do kompanii Sadowskiego. Różnią mnie z nim dalsze wnioski polityczne, bo podczas kiedy on całkowicie się dziś przechyla na rzecz politycznej koncepcji i metody LPP, ja – nie przestałem wierzyć w rewolucyjną podstawę czynu i nie tracę nadziei, że Legiony mogą jeszcze w tej roli stanąć. Ale obaj zarówno niechętni jesteśmy czczej gadaninie, polityce frazesu i drobnemu bezprogramowemu politykowaniu, rozkładającemu wojskowość, którą, tak on, jak ja cenimy dla tych ewentualnych zadań, które podług myśli naszej stoją wobec wojska. Gdyby jechał do kadry Krasicki lub Szajewski, wolałbym do ich kompanii się dostać, bo są to znakomici instruktorowie do wyszkolenia rekrutów, a jednocześnie nie mają tak wybujałej indywidualności, jak Sadowski. W ich kompaniach miałbym wszystkie dodatnie strony planowego kierunku rozwoju kompanijnej pracy, jednocześnie większą swobodę i samodzielność w pracy osobistej. Ani jeden, ani drugi nie jedzie. Do Barwińskiego, który jedzie, nie zwracałem się wcale, bo, choć u niego nie byłbym krępowany, jednak w jego kompanii brak wszelkiego kierunku i planu kierowniczego, a zresztą wątpię, aby on dostał kompanię.

5 lipca, rok 1917, czwartek

Jak wiadomo, kadra ma być obecnie międzypułkowa. Instruktorowie do niej, to znaczy zarówno oficerowie, którzy mają w niej objąć funkcje komendantów baonów, kompanii i adiutantów, jak instruktorowie-żołnierze, mają być wyznaczeni z rozmaitych pułków. Oficerowie od nas pojechali już wczoraj. Kiedy wyznaczeni zostaną i pojadą instruktorowie-żołnierze – nie wiadomo. Prawdopodobnie dokona się to w ten sposób, że oficerowie z różnych pułków, po rozmieszczeniu ich w kadrze i objęciu funkcji, zorientują się dopiero w personelu żołnierskim, który tam zastaną, wysortują go, część mniej zdatnych odeślą do pułków, z których pochodzą, a dopiero na ich miejsce sprowadzeni zostaną z różnych pułków nowi. Przypuszczam więc, że z parę tygodni upłynie, zanim nowi zostaną wyznaczeni i wyjadą. Dotąd urzędowo nikt od nas nie

został wyznaczony, ale z pewnością wyznaczeni będą w pierwszej linii ci, którzy się poprzednio porozumieli z wyjeżdżającymi do kadry oficerami i zostali przez nich zaangażowani. W takim razie pojechałbym i ja. Sadowski, wyjeżdżając, miał listę tych, których ewentualnie, o ile miejsce znajdzie, chce pozyskać dla swej kadrowej kompanii w Ostrowiu. Listę tę, uwzględniając tych, co się zgodzili na zaangażowanie, z pewnością albo przedstawił, albo przedstawi przez Mozołowskiego komendantowi naszej kompanii Młotowi, i ci z pewnością wydzieleni w stosownym czasie zostaną. Listę kandydatów do kompanii Sadowskiego ułożył mu Włodek Mozołowski, którego Sadowski o to uprosił, ufając jego znajomości ludzi w kompanii I, jego taktowi i zmysłowi wojskowości. Sadowski chciał zaangażować nawet samego Włodka do swojej kadry na sierżanta-szefa i Włodek sam także pragnął tego, ale zdaje się, że to do skutku nie dojdzie, bo Włodek jest zbyt cenną siłą fachową, aby się Młot zgodził na pozbycie się go z kompanii (Włodek bowiem jest znowu w kompanii I). Ja osobiście pragnąłbym także bardzo, aby Włodek Mozołowski był sierżantem-szefem w kadrowej kompanii, w której ja byłbym. Jego znakomita rutyna zawodowa, jego takt – łagodziłyby krańcowe zapędy indywidualizmu entuzjasty Sadowskiego, kąpanego w gorącej wodzie. Lista ułożona przez Mozołowskiego dla Sadowskiego uwzględnia ludzi wyłącznie z I kompanii. Do ułożenia tej listy Sadowski dał Mozołowskiemu dwa główne kryteria negatywne: wybieraj spośród nie-inteligentów, którzy nie mają aspiracji oficerskich i nie należeli do szkoły oficerskiej, i spośród nie szarż. Sadowski wychodzi z następującego, bardzo słusznego zresztą w naszych warunkach założenia. Wszystko, co robimy – powiada – robimy z myślą o przyszłym wojsku polskim, do którego tworzenia przygotowujemy się. Otóż gdyby naraz nastały warunki do tworzenia tej armii, to powołanie od razu pierwszego rocznika rekruta wytworzy taką potrzebę zwiększenia kontyngentu oficerskiego, że wszyscy mający u nas pokończone szkoły oficerskie lub posiadający choćby cenzus wykształceniowy, zostaną oficerami; ogromna większość ich – to są dziś szarże podoficerskie; wytworzyłoby to od razu taką próżnię w elemencie podoficerskim, że trzeba byłoby ją na gwałt zapłacić, co nie jest jednak łatwym, a przecież element podoficerski ma tak ważne zadanie w wojsku, że nie można sobie wyobrazić dobrego wojska bez dobrych wykwalifikowanych podoficerów, choćby oficerowie byli najdoskonalsi; a podoficerowie muszą być urabiani stopniowo i nie mogą być z dnia na dzień stworzeni; Sadowskiemu chodzi o to, aby właśnie w swej kompanii kadrowej mieć takich ludzi, którzy by się do funkcji podoficerskich zaprawili i dla których byłoby to praktyką i szkołą; ludzi takich, którzy aspiracji i kwalifikacji oficerskich nie mają wcale i w żadnych warunkach nie zostaliby wypompowani do szeregów oficerskich; ludzi, dla których stan podoficerski byłby spełnieniem ich aspiracji w wojsku i praktycznym uwieńczeniem ich zdolności i którzy ewentualnie pozostaliby i po wojnie na stałe podoficerami, czyli tzw. „zupakami”. Myśl jest w tym bardzo rozumna, bardzo przezorna, bardzo logicznie płynąca z tych ogólnych założeń budowania dobrego warsztatu wojskowego z Legionów, które pochłaniają całą ideologię wojskową Sadowskiego. U nas to właśnie jest nienormalne, że podoficerami są w olbrzymiej większości, aż prawie wyłącznie ludzie, którzy aspiracjami i zdolnościami przerastają stan podoficerski i kwalifikują się na oficerów; podoficerstwo nie zadowala ich, a jednocześnie oni sami, pomimo własnej woli, samą obecnością swoją tamują dostęp do podoficerstwa tym, którzy by się na właściwych „sztandowych” podoficerów nadawali. Jest to wina warunków, w jakich istniejemy i skutek braku rozwoju naszego wojska, które wciąż zmuszone jest być tylko embrionem wojska, podczas gdy ten embrion dawno wyrósł ze swego stadium embrionalnego i ma już nogi, którymi chce chodzić, ma ręce, którymi chce chwycić, ma płuca, którymi chce oddychać, ma głos, którym chce wołać; cóż dziwnego, że taki embrion nie mieści się

wygodnie w łonie matki i że, pozbawiony naturalnych warunków stopniowego rozwoju, zaczyna doświadczać wewnętrznych procesów anormalnych i wyrodnieje! Stąd płynie główne zło w naszym wojsku, stąd ogólne zniechęcenie, stąd rozkład samej formy wojskowej, stąd objawy demoralizacji, niecierpliwość, zubożenie idei, ciągle politykowania próby itd. Trzeba więc, aby w przynajmniej w miarę możliwości, choć w drobnych rzeczach, kiedy tylko się okazja przedstawia, planowo naprawiać te błędy przyrodzenia naszej wojskowości i ułatwiać, choć w szczegółach, warunki normalniejszego rozwoju. Taką okazję daje kadra, doskonała praktyczna szkoła zawodowej umiejętności podoficerskiej. Tą myślą powodował się właśnie Sadowski przy angażowaniu ludzi. Tylko trzech inteligentów zakwalifikował do swojej listy – mnie, Rzepeckiego i Miładowskiego (tych dwóch ostatnich miał już poprzednio w swej kompanii w Zegrzu), uwzględniając w danym razie tylko ściśle osobiste nasze wartości; ma na myśli, oprócz zużytkowania nas do podoficerskich funkcji w kompanii, zużytkować nas do swej pomocy w tzw. wykładach oficerskich, które zwykle w normalnych kompaniach spełniają oficerowie, jak wykłady o obowiązkach żołnierskich, o zasadniczych elementach wojskowości itd., wymagające większej inteligencji i szerszego zakresu pojęć; w kadrówce, która jest tylko miniaturką kompanii, jest u nas, tylko jeden oficer, toteż Sadowski chce mieć w naszych osobach także zastępców i bezpośrednich oficerskich pomocników swoich; poza tym ułożył listę z samych tylko szeregowców, pozbawionych aspiracji oficerskich. Włodek Mozołowski wpisał mu do tej listy takich żołnierzy, jak Spychała, Pawlikowski, Karwan, Szos, Stępień, Gębala, Przybytniowski, Marszałek, Langner, oprócz faworytów i kreatur Sadowskiego, których miał już w Zegrzu, jak Choromański i Mazur. Byłoby dobrze, gdyby jak najwięcej tych wpisanych przez Mozołowskiego na listę – poszło. Niestety, bardzo wielu i to właśnie najlepszych, gdy Sadowski ich zwołał i przedstawił propozycję, zaczęło się ociągać, wahać lub wręcz odmawiać, poniekąd nie orientując się w zamiarach Sadowskiego i w sytuacji, poniekąd wstydząc się pozorów pchania się do awansów, że to im niby nie zależy na stopniach podoficerskich, poniekąd zaś ulegając popularnym uprzedzeniom, niechętnym tej kadrze w szczególności, a w ogóle tradycyjnie nieufnym wszelkiemu wyłapywaniu ludzi z kompanii przez pojedynczych oficerów. Nawet najlepsi żołnierze są wrażliwi na to uprzedzenie i na wstyd, wytwarzany przez pozory karierowiczostwa i pięcia się w górę do awansów i szarż, ogół zaś żołnierzy upatruje takie karierowiczostwo w każdym bezpośrednim zbliżeniu żołnierza do oficera.

6 lipca, rok 1917, piątek

Dziś wypadł mi dyżur na sali, jedna z najnudniejszych, acz koniecznych czynności koszarowych. Tutaj komplikuje się on jeszcze tym, że jeden dyżurny wyznacza się na dwa kapralstwa; wprawdzie przez to dyżury są rzadsze, ale za to dyżurny ma większą przestrzeń lokalu do sprzątania. Druga komplikacja dyżuru tutejszego to dodanie do zamiatania jeszcze codziennego przecierania podłogi mokrą szmatą. Wystarczyłaby do zgnębienia mię miotła, a cóż dopiero gdy przybywa do niej mokra szmata! Na nic mój stopień starszego żołnierza – dyżur ogarnia zarówno szeregowców, jak starszych żołnierzy. Tylko kaprale mają przywilej, wyłączający ich od piastowania godel miotły i ścierki. Kaprale, no i, oczywiście – sierżanci. Jeszcze niedawno przywilej ten nie stosował do nich w naszych egalitarnych stosunkach. Dopiero od Zambrowa datuje się zmiana, akcentująca różnicę szarż i stopni hierarchicznych w różnych szczegółach nie tylko służby, ale i koszarowego życia, a po trochu już nawet i stosunków wewnętrznych. Od zamiatania, a jeszcze bardziej od ścierania podłogi mokrą szmatą zmęczyłem się porządnie, więcej, niż gdybym te cztery godziny ćwiczył: aż krzyż mię bolał tak, że z trudem go wyprostować mogłem. Nasi przełożeni, a nieraz i koledzy,

mają jednak wzgląd na mnie, a przynajmniej na mój wiek i powagę, gdy przychodzi na mnie taka służba dyżuru: starają się mi ulżyć, wyręczyć sami w pewnych szczegółach, względnie wyznaczyć kogoś do pomocy i wyręczenia; tak sierżant-szef Nebelski, jak kapral dzienny Dzik okazywali mi te względy, wyznaczając żołnierzy spośród bosych (jako z reguły zwolnionych od ćwiczeń, a przeto próżnujących) do pomocy mnie. Po obiedzie dziś nastąpiło wydzielenie ludzi z kompanii do organizującej się nowej kompanii IV w naszym baonie. Ze wszystkich trzech kompanii wydzielono po części i w ten sposób ukompletowano IV-tą do liczby około 80 ludzi. Z naszej kompanii wydzielono najwięcej, bo coś około czterdziestu żołnierzy i podoficerów. Przy wydzielaniu, jak to u nas zwykle się praktykuje, starano się pozbyć z kompanii ludzi, uważanych za mniej zdolnych, czyli mówiąc po prostu – notoryczne „łaferry”, dalej ludzi nowych, mniej spojonych z kompanią, w ogóle ludzi gorszych, niekarnych, względnie ludzi, do których komendant kompanii jest z tych czy innych względów, słusznie lub nieraz niesłusznie, źle uprzedzony. Nasz komendant (nazwa „komendant” została wczorajszym rozkazem urzędowo z terminologii wykreślona i zastąpiona przez spolszczoną nazwę „dowódcy”, z którą się jednak nasze ucho jeszcze nie oswoiło), porucznik Młot, celuje pod tym względem. Jest on niezmiernie o kompanię swoją zazdrosny, skąpy na wypuszczanie z rąk ludzi, których ceni, choćby względy dobra ogólnego wymagały pewnego poświęcenia. Do kompanii IV wydzielono od nas kilku kaprali, mianowicie Słężaka, Chmielowskiego, Pichetę, Sołtysa, Papira, Mikiewicza, trzech starszych żołnierzy – Krakusa-Tymkowa (zdegradowanego z kaprała), Ekierta i Frycza i garść szeregowców, wśród których Diduch, Skowroński, Sajewski, Geneja, Merchut i szereg innych. Niemniej pozostaje jeszcze w naszej kompanii 10 kaprali: Dzik, Heller, Kalemba (ten ostatni pełni funkcje kompanijnego trębacza), Obłąk, Grzyb, Tyrcha, Drzewiecki, Rożański, Turski i Jurek Michalewski (podoficer rachunkowy). Z sierżantów nie tknięto nikogo oprócz jakiegoś nowego sierżanta sanitariusza, który świeżo przybył. Jutro kompania nasza, po wydzieleniu z niej tak liczego grona ludzi, zostanie na nowo zorganizowana, to znaczy nastąpi nowy podział na kapralstwa i nowe wyznaczenie funkcji.

Od kilku dni ujawniają się na froncie wschodnim symptomy wznowionej ofensywy rosyjskiej. Od miesięcy trąbiono, że rewolucyjna armia rosyjska jest tak zdemoralizowana, tak rozluźniona, że jest zupełnie niezdolna do działania zaczepnego. Tymczasem Rosjanie z wielką pompą, z wielkim impetem i wołaniem na cały świat – rozpoczęli ofensywę. Niemcy i Austriacy, zajęci – pierwsi na froncie włoskim, drudzy na froncie belgijsko-francuskim w walce gwałtowną ofensywą angielską, utrzymywali stan bierny na linii frontu rosyjskiego. Pochodziło to nie tylko, a bodajże i nie tyle ze względów militarnych, ile z pobudek politycznych, aby nie drażnić Moskali i zachować wobec nich kurtuazję. Niemcy i Austria, spragnione pokoju, kokietując rewolucyjną Rosję, dawały jej do zrozumienia, że walczyć z nią nie pragną wcale. Poza tą kokieterią ukrywała się także świadomość, że niebezpiecznie jest drażnić taki żywioł, jak rewolucja, który, raz podrażniony, wyłonić może z siebie straszliwą moc wściekłości, trudniejszą do ugaszenia od spekulacyjnej zimnej kalkulacji innych wrogów. Niemcy i Austria mają aż nadto wrogów, aby się mogły nie liczyć z każdym z nich i nie oszczędzać jego ambicji i drażliwości szczególnych. Ale rewolucyjna Rosja uderzyła sama, podnosząc jednocześnie wielkie larum w sprawie swej ofensywy, tak w prasie, jak w opinii europejskiej i na wiecach, zjazdach, kongresach itd. wewnętrznych. Uderzenie ofensywy rosyjskiej rzucone zostało głównie na Wołyń i Galicję Wschodnią. Drogi na Kowel i Lwów – oto dwie najbliższe wytyczne tej ofensywy. Ogniskami jej – Brzeżany i odcinek pod wsią Koniuchy. Wrażenie sprawione tą ofensywą jest na ogół wielkie, większe, niż jej dotychczasowe rezultaty. Na razie bowiem tylko w kilku

miejscach uzyskali Rosjanie drobne lokalne sukcesy. Jeżeli wierzyć można komunikatom i doniesieniom niemieckim i austriackim, siła ofensywy rosyjskiej już się zdaje wyczerpywać. Nastroj jednak w opinii jest taki, że się prawie powszechnie wierzy w wielkie skutki ofensywy rosyjskiej i daje się posłuch wszelkim alarmującym pod tym względem pogłoskom. Na ogół ofensywa rosyjska i jej ewentualne sukcesy są traktowane w opinii polskiej i nawet w samych Legionach życzliwie. Co do mnie, to choć na skutek rewolucji w Rosji sympatie moje w dużym stopniu się ku niej przechyliły i choć wpłynęło to na pewne zasadnicze przegrupowanie elementów mojej orientacji, to jednak militarnego zwycięstwa Rosji i takiejże porażki mocarstw centralnych nie życzyłbym. Życzę najwyżej porażki politycznej Niemiec, która, zdaje się, jest pewną i dodanie do niej jeszcze porażki militarnej stworzyłoby fakt pogromu Niemiec i dyktatury koalicji, a właściwie Anglii i może Ameryki; dyktaturze tej nie ufałbym zgoła ze stanowiska wolności. Nie niepokoję się zbyt ofensywą rosyjską, w której wielkie postępy nie bardzo dziś wierzę.

Wracam jeszcze do sprawy wyjazdu kadry. Zdecydowany na to jestem zupełnie i spodziewam się, że, jak to już pisałem, mój układ z Sadowskim zostanie zrealizowany. Kiedy to nastąpi – nie wiem. W związku z tą sprawą wyznaczenia ludzi do kadry, rozegrał się epilog rady żołnierskiej I pułku. Rada ta, jak pisałem w dzienniku, wegetowała w ostatnich czasach bardzo słabo. Po tej nieszczęsnej majowej wizycie naszej u Piłsudskiego zabrakło radzie tężyzny, wiary, świadomości dróg, po których ma nadal kroczyć i programu. Zdaje się, że zaiste mądrze postąpiliśmy w Zegrzu, likwidując po prostu naszą starą radę. Rada żołnierska w pułku, tak samo, jak wznowiona rada w kadrze w Zegrzu, wegetowała w jakimś półśnie, wmawiając w siebie, wbrew trawiającemu ją wewnątrz zwątpieniu, że należy trwać i że może znajdzie się coś do zrobienia. Aby coś robić, czepiała się ona przemijających wypadków i usiłowała na ich tle to jakąś opinię, to względnie akcję ustalać, ale było to mdłe i słabe, jak wszystko, co nie ma programu i z drugiej strony nie posiada cech silnego odruchu wiary lub woli. Było to tylko nędzne i bardzo połowiczne mędrkowanie, coś w rodzaju słabych wysiłków na politykowanie. Wznowiona rada w Zegrzu trochę się chwilowo ożywiła w momencie likwidacji naszej kadry, ale na krótko i na nic kategorycznego zresztą zdobyć się nie była w stanie. Po zlikwidowaniu kadry i powrocie naszym do pułku rada zegrzańska znikła jako jednostka odrębna i złąła się z radą pułkową. Z okazji teraz podniesienia sprawy ponownego wydzielenia ludzi do kadry „czujność” wegetującej rady znów się zbudziła. Rada żołnierska, nie analizując sprawy, nie wchodząc w to, że przekształcenie kadr pułkowych na międzypułkowe było bądź co bądź pewną zdobyczą oporu czynników legionowych i politycznych polskich na Niemcach, było wyrazem wytargowanego przez te czynniki kompromisu po nieszczęsnym zlikwidowaniu kadry I pułku i zwinięciu kadry V-go, i chwytając w lot okazję, że oto zdarzyła się jej sposobność nowego wystąpienia z „akcją” i to akcją o pozorach „radikalizmu”, uchwaliła na swym posiedzeniu, odbytym przed trzema dniami, „nie dopuścić” do wyjazdu żołnierzy do obozów ćwiczebnych. O uchwale tej dowiedziałem się od Hellera dopiero wtedy, gdy już sam on wraz z innymi członkami i przywódcami rady zwątpili w wartość własnej uchwały i rozmyślali nad tym, jak się od niej cofnąć. Uchwała ta była zaiste naiwną i powziętą bez zastanowienia. Nie mówiąc o tym, że zwalczała ona jedną ręką polską, ręką rady żołnierskiej, to, co drugą ręką, ręką pewnych solidarnych usiłowań i zabiegów czynników oficersko-legionowych zostało, choć połowicznie zdobyte, tkwił w niej jeszcze inny błąd kardynalny. Co znaczy bowiem „nie dopuścić” i jak to niedopuszczenie w praktyce wykonać? Przyjdzie bowiem nie uprzejma prośba o wyjazd, ale wydzielenie w drodze rozkazu. Co wtedy? Nie dopuścić, to znaczy stawić opór rozkazowi i to władzy nie niemieckiej, lecz

własnej, a więc bunt. Bunt przeciwko własnej władzy w obliczu Niemców? *Cui bono?* Czy to jest ów „czyn” rewolucyjny? A jeżeli nie pójść na bunt i wobec kategorycznego rozkazu ustąpić, to do tych innych zwichniętych w połowie drogi „akcji” dodać jeszcze jedną, która na papierze się uchwała, a w praktyce się nie wykonywa, co jeno osłabia tylko nasz hart wewnętrzny i własną wobec samych siebie powagę i przyczynia się do owego nieszczęsnego, a tak zgubnego, niestety, tak typowego u nas „bajzla”. Zaiste – nie dla żołnierzy politykowanie.

7 lipca, rok 1917, sobota

Dokonano dziś nowej organizacji kompanii. Dokonano jej w myśl zamiaru Młota o nadaniu kompanii charakteru kursu instruktorskiego, oczywiście, nieurzędowego. W myśl tego zamiaru wszystkie funkcje w kompanii obsadzono podwójnie, przez jednego tytularnego funkcjonariusza podług formalnego starszeństwa szarży, względnie rangi, i drugiego funkcjonariusza-praktykanta spośród starszych żołnierzy i szeregowców. Tytularny funkcjonariusz ma być tylko kierownikiem i dozorcą praktykanta, który ma właściwą funkcję całkowicie sam spełniać, aby się z nią praktycznie zapoznał i wdrożył w odpowiednie czynności. Podług myśli Młota, inspirowanej, o ile mi wiadomo, przez Sadowskiego, chodzi o to, by wykorzystać czas zastoju w ten sposób, aby największą ilość ludzi zaprawić do czynności, które im wypaść mogą, gdy rozpocznie się ewentualnie tworzenie armii, a do których pełnienia formalnie, z braku szarży, dziś oni użyci być nie mogą. Chodzi o to, aby dać żołnierzom, zostającym w przymusowej bezczynności z braku rozwoju wojska, praktyczną szkołę wojskową, by ich zdolności rozwinąć i wykwalifikować we wszystkich kierunkach. Dotyczy to zarówno tych, którzy nie mają kwalifikacji wyższych niż podoficerskie, jako też tych, którzy mają ukończoną szkołę oficerską i ewentualnie przy rozwoju wojska awansowaliby na oficerów, a to z tego założenia wychodząc, że dla tego, aby być dobrym oficerem i ewentualnym kierownikiem kompanii, trzeba znać samemu dobrze i praktycznie wszystkie funkcje niższych stopni. W ogóle tendencja taka do traktowania naszych szeregow obecnych za praktyczne kursy wyszkolenia przyszłej kadry wojska polskiego jest bardzo popularna obecnie wśród naszych oficerów, przynajmniej w naszym pułku. I trzeba przyznać, że to jest w zasadzie dobre. Podług tej myśli, ma być w kompanii naszej zarządzana od czasu do czasu zmiana funkcji, aby możliwie jak największa ilość ludzi zapoznała się praktycznie z najróżnorodniejszymi funkcjami i służbą. Ażeby zaś wyciągnięto z tego jak największy pożytek, Młot dąży do tego, by funkcjonowanie kompanii doprowadzić do stanu najdoskonalszego i pod wszelkimi względami wzorowego. Ma być cały szereg wykładów i pogadanek wewnątrz kapralstw, porządki i pełnienie funkcji i służby – wzorowe. Młot, wielki idealista, usiłuje osiągnąć bezwzględną doskonałość. W dzisiejszej organizacji kompanii utworzono pięć kapralstw, w których poza tytularnymi komendantami, na zastępców, czyli praktykantów, mających być w istocie faktycznymi komendantami, wyznaczono między innymi starszych żołnierzy: mnie, Rzepeckiego, Janka Medyckiego i Strycharza. Tak samo wyznaczono zastępców, czyli praktykantów, dla funkcji podoficerskich furiera, magazyniera, podoficera broni, zachowując tytularnych funkcjonariuszy – sierżanta Kaliszcza, kaprali Hellera i Obłęka – do kierowania praktykantami. W kapralstwie, którego zastępcą komendanta, a właściwie faktycznym praktykującym komendantem zostałem ja, tytularnym komendantem jest sierżant Pinto-Grabacki. Kapralstwo to liczy 19 ludzi, a mianowicie: młodszy sierżant Grabacki i Kaliszcza, starsi żołnierze Mrozowski i ja, i szeregowcy Wituszyński, Królikowski, Zdobylak, Gębala, Capiga, Marek, Klups, Rokosz, Bruzda, Smyk, Kaliński, Miładowski, Karwowski, Kownas i Vyskočil. Zadowolony jestem z tego, że mieć będę większe pole

do pracy i mniej męczyć bezczynnością, chociaż ani porównać nie mogę zadowolenia, jakie się osiąga z prowadzenia kapralstwa rekruckiego do tego, jakie mieć będę w posiadaniu komendy nad kapralstwem starych żołnierzy w pułku. Tam to jest żywa i prawdziwa twórcza robota, bo prowadząc kapralstwo i kierując rekrutami, tworzę z nich żołnierzy i ludzi na wzór i podobieństwo moje, urabiam ich własnym wpływem w formę moich ideałów, podczas gdy tu tych żywych skutków mojej pracy mieć nie będę. Stary żołnierz, zwłaszcza ten nasz, legionowy, który był na wojnie i wyrobił swój charakter na twardych warunkach, w jakich się nasze Legiony rozwijały, jest wprawdzie ciekawym i charakterystycznym typem indywidualnym, ale już na dalsze wpływy niepodatnym i raczej opornym. Można go w pewne normy ująć, ale marzyć o tworzeniu zeń czegoś – trudno. Ta praca da mi tylko to, że po pierwsze zapełni czas i da pewne ujęcie mechanicznej energii, a następnie będzie rzeczywiście poniekąd szkołą dla mnie, tym, czym jest samokształcenie. W tym kierunku postaram się ją zużytkować. W kapralstwach rekruckich, jak się o tym w Zegrzu naocznie przekonałem, całe kapralstwo staje się powoli takim, jakim jest jego komendant: nabiera jego wad i zalet, tchnie jego charakterem, ideałami i aspiracjami. Dość porównać moje dawne VI kapralstwo w Zegrzu z tamecznym I kapralstwem komendanta Dudy; były to dwa odrębne typy, dwa różne charaktery i prądy, jak różne były dwie metody i różne elementy wpływu.

Przechodzę do uzupełnienia wczorajszej relacji o agonii i zgonie rady żołnierskiej naszego pułku. Jak człowiek, wyczerpany ciężką chorobą i konający, miewa nieraz krótko przed śmiercią chwilę podniecenia, w której ujawniają się pozory rekonwalescencji i ożywienia energii witalnej i po której potem tym rychlej następuje śmierć, tak ta nieszczęsna chora rada żołnierska podniosła się nagle ze swego łoża boleści, zrobiła niefortunny gest, mający rozmach i pozory siły i woli – i skoła. Na śmierć była już skazaną wyrokiem tej choroby zawodu, który ją zranił śmiertelnie w ubiegłym maju. Próbowwała jeszcze żyć, zamykać oczy na wewnętrzną ranę i zapychać czymś tę próżnię, którą w jej najgłębszej wierze i intencjach zadał jej Piłsudski. Na nic się to nie zdało. Rana krwawiła ciągle i faktu próżni żadne pozory oszukać nie mogły. Uchwała, powzięta przed kilku dniami przez radę żołnierską o niedopuszczeniu wyjazdu instruktorów do obozów ćwiczebnych, zaczęła natychmiast u samych jej autorów budzić wątpliwości i niesmak. Wyczuwali, że zrobili głupstwo i że wbrew pozorom radykalizmu, są w błędnym kole. Trzebaż, że akurat nazajutrz po tej uchwale dwaj ostatni liderzy rady, Heller z naszego baonu i Sztrauch z baonu II, zostali wezwani do pułkownika Śmigłego. Śmigły ich wezwał dla omówienia z nimi tych prądów, które się w łonie naszych organizacji żołnierskich zaczęły ujawniać, a których głównym rzecznikiem był, jak wiem od Hellera, Radomski z III pułku. Ognisko ich było w Radomskim i, zdaje się, w elementach rady żołnierskiej IV pułku. Prądy te polegały na tym, aby dążyć do wytworzenia rewolucyjnego czynu bez liczenia się z oficerami. Co do mnie, nie byłbym od tej myśli daleki, gdyby tylko o samą zasadę chodziło. Znając jednak warunki wojskowości i w szczególności warunki naszej atmosfery w Legionach, gdzie osoba Piłsudskiego tak nad wszystkim niepodzielnie panuje, streszczając w sobie, jak przyrząd cudowny do zbierania promieni słonecznych, wszystkie promienie idealizmu żołnierzy, nie wierzę, aby cośkolwiek praktycznie zdziałać można było wbrew czy bez oficerów, gdy oficerowie są ściśle Piłsudskiemu podporządkowani. Można dokonać awantury i uwieńczyć nią nasz „bajzel”, ale nie czynu. Zrozumiał to dokładnie Heller po bytności u pułkownika, zrozumiał też i po raz wtóry uświadomił sobie Zagłoba-Kamiński, który rozumiał to poprzednio, ale w ostatnich czasach znów nałogowo, jak pijak do butelki, był do rady wstąpił. Nie rozumie tego, zdaje się, Radomski, a zresztą wolno tego w III pułku nie rozumieć, bo w naszych warunkach

bodajże tylko ten pułk mógłby na taką inicjatywę czynu, w łożysku takiej metody, zdobyć, ale nigdy nie pułk I. Pułkownik nagała Hellerowi i Sztrauchowi, żądając przeciwdziałania takim prądom i powołując się na Piłsudskiego, na swój ścisły i bezpośredni z nim kontakt. Nazajutrz po tej rozmowie z pułkownikiem odbyło się posiedzenie rady żołnierskiej. Rozmowa z pułkownikiem zadecydowała o istnieniu rady. Rada żołnierska przestała istnieć. Na ostatnim posiedzeniu, które odbyło się, dobrze nie pamiętam, 3-go, 4-go czy 5-go bm., nazajutrz po rozmowie Hellera i Sztraucha z pułkownikiem Śmigłym, nie tylko że nie zatrzymano się więcej na własnej uchwale sprzed dwóch dni, ale postanowiono radę rozwiązać.

Na horyzoncie naszych stosunków i spraw wyrasta nowa ciężka chmura – sprawa przysięgi. Sprawa przedstawia się groźnie i zgola nieobliczalnie. Jaka burza i klęski oraz ciosy wynikną z tej chmury, czy też może wbrew błyskom, zapowiadającym jej zgrozę, minie ona nas jakoś, nie naruszając spokoju – to w tych dniach się okaże. Brak mi miejsca na pisanie o tym. Odkładam do jutra.

8 lipca, rok 1917, niedziela

Pierwszą wieść o zamierzonej przysiędze wojska polskiego otrzymaliśmy pozawczoraj. Wyczytaliśmy o tym w dziennikach warszawskich z tego dnia. W „Kurierze Polskim” i „Gazecie Porannej” podany był tekst, czyli rota przysięgi, z zaznaczeniem, że tekst został akceptowany przez Radę Stanu i odpowiadająca temu, który Rada Stanu sama ułożyła w porozumieniu z przedstawicielami mocarstw centralnych jeszcze w kwietniu roku bieżącego. Notatka o przysiędze była wydrukowana jako podana przez Radę Stanu. Jednocześnie było wskazane, że przysięga podług tej rotacji ma być złożona 9 lipca przez oddziały wojska, stacjonowane w Warszawie, 11-go zaś przez resztę oddziałów. Już ta pierwsza wieść o tym wywołała wśród żołnierzy szemranie. Sama przysięga była przyjęta niechętnie, a jej tekst – jeszcze bardziej. Niewiele pomagało to, że przysięga miała aprobatę Rady Stanu. Instytucja ta jest od dawna skompromitowana w opinii żołnierzy, jak zresztą ogromnej większości społeczeństwa. Resztę powagi i moralnego autorytetu odebrało jej świeże, dokonane przed paru dniami, ustąpienie z niej Piłsudskiego, który, wraz z trzema członkami „lewicy” niepodległościowej (Artur Śliwiński, Błażej Stolarski i dr Jankowski z Lublina), zgłosił swą dymisję z Rady Stanu. U naszych żołnierzy obecność Piłsudskiego w Radzie Stanu była jeszcze jednym atutem, który ratował jakieś względy tej słabej i zdyskredytowanej instytucji. Nie ona, ale Piłsudski był w ich pojęciu sztandarem i symbolem władzy narodowej, który jeszcze w tej Radzie Stanu oszczędzano i czczono. Piłsudski musiał dobrze wiedzieć o tym i rozumieć przeto wielką odpowiedzialność, która ciążyła osobiście na nim; od jego takiej lub innej decyzji w stosunku do Rady Stanu zależał też stosunek do niej wojska i ogromnych mas narodu. Należąc, pokrywał Radę swym autorytetem, występując – odzierał ją z resztek powagi. Rota przysięgi, podana w pismach, nie była koniecznie najgorsza. Zasadniczym jej elementem było zaprzysiężenie wierności Ojczyźnie – Królestwu Polskiemu – i królowi polskiemu, osobiście dotąd zresztą nieistniejącemu, ale już mającemu na kredyt państwowość i narodowość Polski; bezpośrednio za tym następował ustęp, budzący w naszych stosunkach najwięcej wątpliwości i będący największym kamieniem obrazy – mianowicie zaprzysiężenie na czas obecnej wojny braterstwa broni armiom Niemiec i Austro-Węgier oraz ich sprzymierzeńców; wreszcie na ostatku ślubowanie posłuszeństwa przełożonym. To są trzy główne elementy tej przysięgi. W krytyce żołnierzy wszystkie trzy te elementy były kwestionowane. Najostrzej uderzano na element braterstwa broni z Niemcami, uważając, że to jest wiązaniem sprawy polskiej, któremu dzisiaj nie odpowiada bynajmniej tej sprawy potrzeba i perspektywy. Wiązać się tym nie chciano. Jedni uważali to za przymus

niewolniczy, przeciwny zasadzie niepodległości, w której o braterstwie broni, o wojnach i terminie ich trwania decydować powinna nie jakaś z góry zastrzeżona przysięga, ale wolne postanowienie państwowych władz polskich, tak jak nie zaprzysięgają braterstwa broni z Niemcami ani żołnierze bułgarscy, ani żołnierze tureccy, ani austriaccy i węgierscy; trwanie tego braterstwa broni określa się sojuszem, utrzymywanym przez odpowiednie rządy i wolą odpowiednich ludów, streszczoną w parlamentach, przed którymi te rządy są odpowiedzialne, względnie przez monarchów, o ile sprawa sojuszków polityki zewnętrznej i wojny jest prerogatywą panującego. Dlaczegożby w Polsce, jeżeli ma być ona niepodległą, miało być inaczej? Dlaczego w Polsce sprawa braterstwa broni na czas tej wojny musi być określona z góry przysięgą wojskową, zamiast być przez władze państwowe polskie zadecydowana? Czy że władz tych jeszcze dotąd nie ma? Ale w takim razie należy rozpocząć od ich utworzenia, to znaczy od dania przez okupantów możliwości ich powstania, a nie odwracać rzecz w ten sposób, że wpierw się wiąże i określa kierunek dróg państwowych polskich przysięgą, a dopiero wtedy na gruncie już określonego kierunku – tworzy elementy państwowe, w istocie już nie suwerenne co do najbardziej zasadniczych decyzji. Tak rozumowali ci, którzy krytykę swoją opierali na gruncie zasadniczym tezy niepodległościowej. Rozumowaniu temu trudno zarzucić brak logiki. Inni traktowali rzecz mniej zasadniczo, ale radykalnie. Rozumieli, że mocarstwa centralne, a zwłaszcza Niemcy aż nadto mają powodów do nieufania Polsce i jej władzom państwowym, gdyby te miały się swobodnie z narodu wyłonić, bo w obecnych warunkach, w okolicznościach wolnej decyzji, więcej jest szans na to, że Polska obróciłaby się, gdyby tylko poczuła siłę, przeciwko Niemcom, niż w kierunku braterstwa broni z nimi przeciwko Rosji. Nie dziwiono się więc zbytnio, że Niemcy, wbrew logice zasad, zaczynają przy tworzeniu państwa, władzy i wojska polskiego od przysięgi, narzucającej z góry, przynajmniej na czas wojny, kierunek braterstwa broni z Niemcami. Nie dziwiono się i zgadzano, że Niemcy nie mogą nawet postąpić inaczej. Przyznawano też, że formuła przysięgi jest pod tym względem nawet bardzo umiarkowana, zawierająca tylko minimum tego, co jest ze stanowiska niemieckiego niezbędnym, bo, jak słyszeć było, poprzednio miała być do tekstu przysięgi wstawiona formuła wierności na czas wojny cesarzowi Wilhelmowi jako naczelnemu dowódcy, formuła, oczywiście, o wiele kategoryczniejsza w kierunku zależności, niż proste braterstwo broni. Rozumiano to wszystko i zgadzano się, że praktycznie Niemcy inaczej załatwić sprawy nie mogli. Niemniej uważali, że przysięga powinna być odrzucona, właśnie dlatego, że dziś braterstwo broni z Niemcami jest dla sprawy polskiej więcej niż zbyteczne, bo szkodliwe. Ten kierunek hołduje otwarciu zerwania wszelkiego braterstwa broni z Niemcami i pojmuje sprawę polską jako zasadniczo dziś wrogą interesowi niemieckiemu w tej wojnie, a jeżeli nie wrogą, to co najmniej równie wobec Niemców i ich sojuszników neutralną, jak wobec Rosji i koalicji. Rzecznicy tego kierunku byli za tym, żeby raz przynajmniej zerwać ze sprawy polskiej maskę jakiejś rzekomej solidarności z Niemcami i to zerwać ją właśnie w obliczu tak decydującego elementu, jak przysięga, w zupełnej świadomości, że Niemcy bynajmniej nie zgrzeszyli przesadą, żądając dla uratowania tej maski wstawienia do przysięgi formuły o braterstwie broni. Nie robili Niemcom zarzutu, ale po prostu nie chcieli tej maski, którą uważali za obłudną i ujemną. Nie bali się przy tym dla sprawy żadnej najostrzejszej konsekwencji tego kroku, gdyby nawet Niemcy wskutek tego mieli znieść Legiony, rozbroić je czy internować i wyrzec się wszelkiego dalszego kształtowania państwowości polskiej. Ich zdaniem, sprawa polska zbyt mocno stoi na międzynarodowym rynku interesów i zagadnień, aby mogło jej zaszkodzić przerwanie natychmiastowego budownictwa państwowego i dłuższy na czas wojny zastój; że raczej

przeciwnie – groźnym jest dla sprawy polskiej ściśle wiązanie tego budownictwa z jednostronnym interesem mocarstw centralnych, który jest kruchy i może runąć w katastrofie, pociągając za sobą i Polskę. Słowem – z różnych punktów widzenia krytykowano najostrzej ów ustęp o braterstwie broni i zwracano się kategorycznie przeciwko całej przysiędze, motywując głównie owym ustępem. Nie mniej szemrano i przeciwko dwóm innym elementom przysięgi. Zwracano uwagę na to, że personifikowanie Polski w królu, który dotąd nie istnieje, jest błędem i niebezpieczeństwem. Powinna być wpierw konkretna osoba króla, aby móc jej przysięgać osobiście. Gdy w r. 1914 składano w Legionach przysięgę austriacką, przysięgano osobiście Franciszkowi Józefowi (w I Brygadzie przysięgano Franciszkowi Józefowi jako królowi polskiemu), podczas gdy teraz żąda się przysięgi niewiadomemu królowi, a gdy potem Niemcy narzucą na króla kogoś dla nich dogodnego, odda mu się już zaprzysiężone na ślepo wojsko. Taka z góry na niewiadomego króla złożona przysięga służy niebezpiecznym ułatwieniem dla Niemców w narzucaniu Polsce króla bez woli i zgody narodu. Wreszcie krytykowano i element zaprzysiężenia posłuszeństwa przełożonym, ponieważ w obecnych warunkach, kiedy władza wojskowa polska oddana Beselerowi, byłoby to zaprzysiężeniem posłuszeństwa dla Beselera – i nic więcej.

9 lipca, rok 1917, poniedziałek

Gdyśmy się 6.VII dowiedzieli o zamierzonej przysiędze, zaraz poznać było można, że usposobienie żołnierzy jest tej przysiędze niechętnie, jeżeli nie wrogie. Ponieważ rada żołnierska już przestała istnieć, żadnych postanowień ani uchwał w drodze organizacyjnej nie nastąpiło, ale przez rozmowy prywatne, przez wzajemny kontakt żołnierzy, bez planowej zмовы ustalać się zaczął kierunek odmowy składania przysięgi. Komentowano tę sprawę gorąco. Zamiłowanie do pogłosek, do omawiania spraw natury politycznej, do politykowania w ogóle – znalazło w tej sprawie nowy obfity żer. Czuć było w nastrojach i atmosferze nowy bujny materiał do zamieszania, do warcholstwa, do tego nieszczęsnego „bajzlu”, który trawi Legiony. Tym razem zresztą trudno się było dziwić żołnierzom. Sprawa przysięgi jest zbyt poważną, zbyt wkraczającą w sferę ich sumienia i ich najgłębszych ideowych założeń, aby nie mogła nie poruszać umysłów. Co do mnie, to starałem się zachować jak największą równowagę i jak najmniej się tą sprawą w rozmowach z żołnierzami zajmować. Po prostu unikałem wszelkich na ten temat rozmów i usuwałem się od grup rozprawiających. Smucił mnie ten nowy zaczyn rozstroju, tak straszliwie kruszący biedne wojsko nasze, ale z drugiej strony nie odważałem się występować przeciwko niemu, czując, że to sprawa sumienia dla wielu i sam żywiąc w sercu poważne wątpliwości. Wiedziałem wprawdzie, że dla większości motywem jest, niestety, nie tyle poważna troska o sprawę i o własne sumienie, ile względy bądź prywaty, bądź wyrobionego zamiłowania do awanturnictwa i do zamętu za wszelką cenę. Niestety - wiedziałem o tym. Jest to nieszczęsna choroba, tocząca jak rak środowisko Legionów, demoralizacja, która postępuje w ciągłej progresji, wreszcie smutny nałóg u wielu. Ale cóż na to poradzić? W tym wypadku dla przeciwstawienia się temu trzeba byłoby agitować chyba na rzecz przysięgi i uzasadniać mocno słuszność sprawy takiego zaprzysiężenia. A żeby w tej roli wystąpić, tak jak przed paru dniami występowałem w roli rzecznika posłuszeństwa wojskowego w sprawie organizacji kadry, trzeba było, aby własne przekonanie było z tym zgodne. Tymczasem tego przekonania brakło. Nie chciałem być czynnikiem powiększenia „bajzlu”, do którego czuję coraz większą odrazę, ale nie mogłem też przeciwstawiać się temu. Stałem na uboczu, zacisnąłem usta w bólu moralnym i czekałem, co z tego będzie. Nie mogłem, niestety, zamknąć

oczu, by nie widzieć niczego dokoła. Być może wolałbym być na ten czas ślepym, głuchym i nieczułym jak kawałek drewna. Niektórzy z dawnych działaczy rady żołnierskiej, podobnie jak ja usposobieni, pełni niesmaku do szerzącego się rozprzężenia i do jego głównego czynnika – nałogu politykowania, że wymienię tu kaprała Hellera i sierżanta Balbina-Figlera, zajęli to stanowisko, że się podporządkują w tej sprawie bezwzględnie rozkazowi władz pułkowych, to znaczy pułkownika, rozumiejąc, że rozkaz ten będzie oparty na dyrektywie Piłsudskiego. Jeżeli pułkownik każe przysięgać, przysięgną, choćby reszta żołnierzy i inne pułki odmówiły, jeżeli każe nie przysięgać, przysięgi nie złożą. Sami wdawać się w roztrząsanie sprawy i decyzję nie będą. Tak też odpowiadali na zapytania tych, którzy ich opinii zasięgali, sami nie agitując ani za, ani przeciw. Ja sam, po pewnym namyśle, nie znajdując dla siebie lepszego wyjścia, także się, przynajmniej na razie, zdecydowałem na to samo. Dla mnie osobiście sprawa przysięgi przedstawiała się trudniej jeszcze, niż dla innych. Obchodziła mnie nie tyle stosowność tej rotacji przysięgi, ile zaprzysiężenie na wierność Polsce jako Ojczyźnie, podczas gdy moją Ojczyzną jest Litwa. Przez wstąpienie do Legionów Polskich nie przyjąłem Polski za ojczyznę. Biorąc udział w czynie, tworzącym wolność Polski, szukałem w nim pośrednio narzędzia realizacji wolności Litwy. Czy dobrą wybrałem do mego celu drogę – sam jeszcze całkowitej pewności nie mam. Sądzę jednak, że w warunkach, w jakich byłem ja i mój kraj, nie mógłbym innej skuteczniejszej formy działania dla siebie znaleźć i byłbym w biernej bezczynności utonął. W perspektywach układu międzynarodowego wolna Polska między Rosją i Niemcami musi w moim przekonaniu stać się – chce czy nie chce – czynnikiem wolnościowej emancypacji Litwy. To była i jest idea mojego udziału w Legionach. Poza tym, gdy już w Legionach jestem, przybywa do niej jeszcze cel nowy: cel poznania i wykształcenia się w wojskowości z myślą o ewentualnym w przyszłości, w warunkach, których przewidzieć jeszcze konkretnie niepodobna, zużytkowaniu tej wiedzy i sztuki bezpośrednio dla litewskich stosunków i potrzeb. To wszystko jest tak, ale gdy teraz stoję wobec zagadnienia zaprzysiężenia Polsce jako Ojczyźnie mojej, sprawa się zmienia. Lojalnie współudział w czynie wytwarzającym wolność Polski brałem i brać pragnę, służąc sprawie zupełnie tak, jak gdyby ona moją własną i bezpośrednią była. Ale co innego jest uznać to za cel ostateczny i wyłączny, wyczerpujący całą ideę moją i skuwający mnie wiernością raz na zawsze do siebie, utwierdzając to aktem wolnej przysięgi. Będzie to z mojej strony nieprawda, bo szczerze tej przysięgi nie złożę i nie będę gotów do wypełnienia jej. Nigdy w przyszłości Litwy dla Polski się nie wyrzeknę i nie przyjmę obywatelstwa innego w sumieniu i przekonaniu moim, jak litewskie. Jeżeli Litwa nie będzie wolną pod względem prawno-państwowym, będę musiał przyjąć i przyjmę z formalnym zaprzysiężeniem poddaństwo urzędowe tego państwa, do którego Litwa będzie czasowo należała. Ale będzie to poddaństwo i przysięga fałszywe, przymusowe, wytworzone tym faktem konieczności, że w cywilizacji obecnej wykluczone jest istnienie człowieka bez jakiegokolwiek przynależności państwowej. Poddaństwo to i przysięga nie będą mnie krępowały w moim sumieniu, w którym jedyną wierność i jedyne obywatelstwo – litewskie – dochowam, tak mi dopomóż Bóg! Bez skrupułu składałem przysięgi „wierności” państwowej dla Rosji i cara; nie były one nigdy przysięgami dla mnie i nie wiązały sumienia mego. Inaczej jednak wyglądałoby złożenie przysięgi polskiej obecnie. Trudno mi było znaleźć wyjście w tej sprawie. Albo odmówić przysięgi i się usunąć ostatecznie z Legionów, zrywając wszelki związek z tym, co one jeszcze zdziałać mogą, albo przysiąc, traktując przysięgę nie za właściwy wolny wyraz wiary i sumienia, lecz za przymusowe akcesorium sprawy legionowej. Ostatecznie, ściskając zęby, gotów byłem zdecydować się na to drugie. Oczywiście, była to kwestia wyłącznie

moja osobista, nie mająca nic wspólnego z zagadnieniami, powstającymi w sprawie przysięgi wobec Legionów. Te zagadnienia, kształtujące się w odrębnej płaszczyźnie, powstawały i dla mnie także, ale już poza sferą głównego zagadnienia, interesującego mnie osobiście. W sprawie tych zagadnień ogólnych postanowiłem na razie zastosować się do tego, jaki wyjdzie rozkaz od bezpośredniej władzy pułkowej. Takie stanowisko nie ułatwiało jednak mego stosunku do nastrojów żołnierskich, bo trudno było w sprawie tak osobistej i subtelnej, jak przysięga, nakazywać ludziom posłuszeństwo. Bo przysięga ta w naszych warunkach – to rzecz sumienia i idei, nie zaś dyscypliny wojskowej.

10 lipca, rok 1917, wtorek

Zreferuję tok ostatnich kilku dni w sprawie przysięgi. Były to dla mnie dni ciężkie, groźne jak czarna chmura dla całej sprawy Legionów. Kto wie, czy nie jesteśmy już istotnie widzami ostatniego aktu legionowego dramatu. Zdaje się to być tymczasem naprawdę początkiem końca. Byłby to wprawdzie koniec nie plamiący honoru, a więc jeszcze nie najgorszy, ale za to koniec przekreślający na przyszłość całą wartość legionowego dzieła dla sprawy polskiej. I w tym tkwi najsmutniejszy element tego finału. Użyteczność, którą Legiony już wydały dla sprawy – ta jest niewątpliwa i tej już nic nie cofnie. Ale większość nas, przynajmniej większość ideowego elementu u nas, żyła ciągle jeszcze wiarą, że dzieło Legionów jeszcze nie spełnione i że w przyszłości czeka je jeszcze znakomita rola w sprawie. Ta myśl była dźwignią naszej organizacji w radzie żołnierskiej, ona też nakazywała nam wytrwanie i utrzymywanie form wojskowych. Pierwszy cios zadał wierze naszej Piłsudski w maju, zabijając ideę naszej rady żołnierskiej. Powiedział on wtedy – i bodajże był dobrym prorokiem – że momentem, który zakończy sprawę Legionów, ratując ich honor, będzie moment przysięgi. Moment ten nastał i słowa Piłsudskiego zdają się sprawdzać. Na gruncie przysięgi murem stanie bierny opór Legionów, a nie będąc w stanie przełamać warunków nacisku i nie dając się sam złamać, spowoduje rozsypanie się Legionów. Honor będzie uratowany, ale dzieło zabite. Wartości, które były „zmagazynowane” w Legionach, zostaną rozproszone. Ich skupienie w kształtach organizacji wojskowej o wybitnej sile ideowej i obywatelskiej zostanie stracone. To, że ludzie z Legionów po ich rozbiciu wejdą w rdzeń społeczeństwa jako prywatne jednostki, nie powetuje straty. Jako jednostki niewiele się one będą różniły od masy społeczeństwa, w której są te same nastroje, co w kołach żołnierzy legionowych. Rozproszeni, będą oni tak samo odosobnieni i niezdolni do jakiegoś zbiorowego mocnego czynu, jak ogół jednostek w masie. Główna ich wartość i ewentualna zdolność czynna polegała właśnie na ich zorganizowanym skupieniu i o właśnie w tym skupieniu legionowym. To w razie rozbicia będzie niepowetowanie stracone. A tymczasem sprawa polska bynajmniej nie dobiła jeszcze do bezpiecznego brzegu i może właśnie przyjść chwila, która wymagać będzie wielkich ofiar i wielkiego czynu. Dla chwili tej zabraknie Legionów, które mogły się być stać tej ofiary i tego czynu dźwignią. I to jest dla mnie w perspektywach tego epilogu legionowego najsmutniejsze. To mię boleścią największą napęla. Nie czuje tego i nie uświadamia może dziś większość naszych legionistów, zwłaszcza w masie żołnierskiej, w której cała sprawa jest dość lekko i brawurowo traktowana, ale dla mnie to jest męką największą. Nie jest straszną ani tragiczną śmierć starca, którego życie jest spełnione. Ale tragiczną i męczącą jest śmierć młodego życia, w którym są siły do spełnienia wielkich zadań. U nas w masie cała ta sprawa bierze się przeważnie lekko, z punktu widzenia sensacji i plotkarstwa oraz pewnej lekkomyślnej brawury, ale w istocie jest to rzecz głębokiej tragedii. Ha, trudno, inaczej się stać nie mogło, skoro do tego przyszło. Honor uratowany będzie – to prawda. Piłsudski dobrze rzecz przewidział,

mówiąc nam o tym w maju. Ale nie mogę się oprzeć przekonaniu, że on ponosi winę za to, co się w upadku Legionów marnuje. On był ich wodzem i on mógł je do nowego czynu prowadzić. Zadania tego nie odważył się podjąć. Przerastało ono jego siłę psychiczną, nadłamaną ciężkimi doświadczeniami wojny. Jedno tylko spełnił uczciwie: stanął na straży ich honoru. Ale ze stanowiska historycznego w sprawie polskiej on, wódz, który miał ten złoty róg czynu, zawinił: stracił róg, zmarnował wielką siłę, a w rękę został mu tylko sznur, z którym tańczyć będzie w narodowej szopce. I płasć będzie cała szopka narodowa i mącić się narodowa kadź, a w niej on, duch czynu polskiego, Piłsudski. I znów sprawa polska nie wolną ofiarą ludu-obywateli, ale automatyczną śrubą wypadków, wytwarzanych czynami obcych, sterowana będzie do tego lub innego portu.

Ale przejdę już do sprawozdawczego toku rzeczy od dnia 6 lipca. W tym dniu nic jeszcze nie było skryształizowane, wszystko luźne, płynne, dopiero nastrojowe. Niechęć do przysięgi szerzyła się wraz z wieścią o niej i narastała szybko, ale nie była jeszcze postanowieniem. Większość elementów stateczniejszych, podoficerskich skłaniała się do wyczekania stanowiska, jakie będzie podyktowane przez naszego pułkownika. W masie jednak już wrzało. Do innych motywów ostrej i coraz rosnącej niechęci do przysięgi dołączał się jeszcze motyw z kolportowanej równolegle, choć, zdaje mi się, wielce wątpliwej, pogłoski o tym, że Legiony po zaprzysiężeniu mają być wysłane na linię. To ostatnie w obecnych stosunkach politycznych jest przez naszych żołnierzy jak najbardziej wrogo traktowane. Bić się przeciwko Rosji rewolucyjnej i koalicji w jednym szeregu z Niemcami – tego nikt nie życzy i nie widzi w tym żadnego ideowego celu. Gorętsi, jak Wiktor Wąsowicz z III kompanii, snuli już jak ruchliwe mrówki między żołnierzami i agitując na wszystkie strony zapalali zarzewie oporu przeciwko przysiędze. Wieczorem tego dnia zostałem zaproszony do sierżanta Pączka z III baonu na zebranko kilku ludzi dla omówienia sprawy przysięgi. Pączek po naszej majowej wizycie u Piłsudskiego był się całkowicie usunął od wszystkiego, co tchnie jakąkolwiek polityką. Zerwał z tym tak radykalnie, że odmówił nawet przyjscia na pierwsze po powrocie od Piłsudskiego sprawozdawcze zebranie rady żołnierskiej przed jej ostatecznym zlikwidowaniem. Stał on na tym stanowisku, że albo jesteśmy wojskiem i niczym więcej, albo tworzymy jakiś katagoryczny czyn. Ponieważ drugiego nie dostrzegał, pogрузzył się całkowicie i wyłącznie w pracę zawodową. Wytrwał na tym gruncie konsekwentnie. Nic go od tego odwrócić nie zdołało. Ale czujność na rozwijające się wypadki zachował. Toteż gdy teraz dowiedziałem się, że Pączek zbiera u siebie ludzi dla omówienia tej sprawy, zrozumiałem, że rzecz nie zatrzyma się połowicznie na nastrojach. Jeżeli tacy ludzie jak Pączek poruszyli się na wieść o przysiędze i zaczynają skupiać dokoła siebie innych, to się nie skończy na gadaniu. Ludzie jak Pączek znają tylko ostateczności: albo siedzą cicho jak trusie, że ich z nory wykurzyć nie można, albo jeżeli się ruszą, to ruszą na coś stanowczego, co gotowi są doprowadzić do ostatka. To nie warcholi ani kapani w gorącej wodzie, jak Wąsowicz. Zwłaszcza ten Pączek, jakim go widziałem po doświadczeniu majowym, nieskory byłby się poruszyć dla byle czego. Jeżeli ci powstają, to jest naprawdę rzecz groźna. Już nie o nastroje chodzi. Zrozumiałem to i w tej chwili wyczułem, nad jaką przepaścią stajemy. Nie miałem ochoty iść na zebranie do Pączka, bo byłem podrażniony nerwowo i czułem wielki niesmak do nadchodzącej burzy zamętu i prawdopodobnie katastrofy. Punktualnie o godz. 10 na oznaczoną porę poszedłem jednak, ale go nie zastałem; skorzystałem z tej niepunktualności zapraszającego i poszedłem spać. Tymczasem nic nie wiedzieliśmy jeszcze, jakie stanowisko zajmie Śmigły i oficerowie. Porucznik Młot-Parczyński w rozmowie z nami na inne tematy parokrotnie wspomniał, że prawdopodobnie wkrótce będziemy przysięgać, gdyż rota przysięgi została przez Radę

Stanu zaaprobowana i sama przysięga przez nią nakazana. Było to w sobotę 7 bm. Mogło się z tych słów Parczyńskiego zdawać, że wśród oficerów panuje tendencja do zaprzysiężenia.

11 lipca, rok 1917, środa

Pomimo stan zagrożony, może nawet katastrofalny, kompania funkcjonuje regularnie. Formalny tryb życia i funkcji nie uległ zmianie. Odbywają się ćwiczenia, wprowadzie w nieco osłabionym tempie, ale za to wykładów mamy więcej niż kiedykolwiek, służby są regularne jak zwykle. Porucznik Młot zabawia się nadal w inscenizowanie kursu instruktorskiego i zajmuje się kompanią tak jak zawsze. Młot jest tak rozczulająco zakochany w swojej kompanii jak młody mąż po ślubie. Całe dni niemal spędza w kompanii, dogląda każdego szczegółu, zarządza wszystko do najmniejszych drobiazgów i wszystkich sił dobywa, aby doprowadzić kompanię do doskonałości i zrobić ją wzorową. Żołnierze nazywają go za to „mendą”, bo bywa dla nich przez to czasem aż nieznośny i nuży ich swoją pedanterią, ale cenią go jako człowieka sumiennego i ideowego. Nie zważając na katastrofę, groźnie nad Legionami zwisającą, Młot ani na chwilę nie oderwał się od swej pracy w kompanii. To przejęcie się i przywiązanie bywa aż rozczulające.

Na mnie wypada dziś służba kaprała dziennego w kompanii. Od ostatniej reorganizacji kompanii służbę tę pełnią także starsi żołnierze. Do pomocy w charakterze żołnierza dyżurnego miałem Bieniaka.

Wracam do sprawozdawczego toku w sprawie przysięgi, od dnia 7 lipca. Już tego dnia, to znaczy nazajutrz po otrzymaniu pierwszej wieści o zamierzonej przysiędze i zanim jeszcze dowiedzieliśmy się cokolwiek o stanowisku, zajętym przez nasz pułk, zaczęły napływać pogłoski wprawdzie o tym, że pułki III i V postanowiły nie przysięgać, a pod wieczór o tym, że rzekomo wszyscy komendanci batalionów w V pułku zostali aresztowani. Pogłoski te czy wieści jeszcze bardziej podnieciły wrogi przysiędze nastrój żołnierzy. Czekano, jakie stanowisko zajmą nasi oficerowie i jakie zarządzenie wyda pułkownik. Ale już trudno było wątpić, że żołnierze będą parli forsownie do odmowy przysięgi. Rzecz przedstawiała się coraz groźniej. Tegoż dnia dowiedzieliśmy się, co się później istotnie sprawdziło, że przysięga dotyczy tylko Królewaków, a właściwie wszystkich przynależnych do ziem, które wchodziły w skład państwa rosyjskiego, z całkowitym wyłączeniem Galicjan jako poddanych austriackich (*à propos* legionistów Galicjan, to sprawa ich ewentualnego odwołania przez Austrię zdaje się być na razie zażegnana; komisarz austriacki w Radzie Stanu złożył oświadczenie, że Austria tego odwołania stosować nie zamierza). Nazajutrz, w niedzielę 8 lipca, dowiedziano się wreszcie o rezolucji oficerów naszego pułku w sprawie przysięgi. Po obiedzie Nebelski odczytał żołnierzom głośno jakiś świstek, zawierający szereg aktualnych dokumentów i informacji w sprawach wojskowo-politycznych. Był tam tekst motywowanej dymisji Piłsudskiego z Rady Stanu, dalej tekst roty przysięgi, znany nam już z gazet, wraz z rozkazem zaprzysiężenia wojska w dniu 9 i 11 lipca, wreszcie „jednogłosna” uchwała korpusu oficerskiego I pułku piechoty o odmowie złożenia przysięgi, uzasadniona odpowiednią motywacją. Co to był za świstek – nie wiem. Zdaje się, że pochodził on od Hellera, który go otrzymał z II baonu od Zagłoby. Wieść o rezolucji oficerskiej wywołała zgodną aprobatę masy żołnierskiej, wyrażaną głośno, hucznie i gorąco. Grunt był dobrze do tego usposobiony. Tegoż dnia wieczorem rozeszła się wiadomość, że do pułku przysłała z Komendy Legionów depesza, odwołująca przysięgę. Na chwilę zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło i że sprawa może jakoś się ułożyć. Tegoż dnia czy nazajutrz w numerze „Głosu”, który do nas nadszedł, przeczytaliśmy program zamierzonej na dzień 9 lipca uroczystości zaprzysiężenia w Warszawie wraz z gorącym

artykułem redakcyjnym na ten temat i odezwą Rady Stanu, podpisaną przez marszałka Niemojowskiego, do żołnierzy, wzywającą do złożenia przysięgi. Na razie nie zaniepokoiło to nas, sądziliśmy bowiem, że odwołanie, o którym słyszeliśmy, nastąpiło już po wydaniu tego numeru pisma. Dowiedzieliśmy się tylko, że zaprzysiężenie projektowane było w formie bardzo uroczystej, na stokach Cytadeli, pod krzyżem Traugutta, na miejscu stracenia przez Moskali członków Rządu Narodowego w roku 1863. Przysięgać mieli w dniu 9 lipca Królewiaczy z konsystujących w Warszawie oddziałów, w obecności honorowych oddziałów z innych pułków i przedstawicieli różnych towarzystw, związków itd. oraz masy publiczności. Przysięga bowiem miała być publiczna, a odbierać ją miał członek Rady Stanu ksiądz Przeździecki. Tymczasem w poniedziałek 9 lipca, w dniu, w którym miało się to zaprzysiężenie odbyć, a zdawało się nam, że już odwołane zostało, zaczęły po obiedzie napływać wieści, i to autentyczne, bo od ludzi, którzy bezpośrednio z Warszawy wracali, że jednak przysięga miała miejsce. Wielu bowiem żołnierzy naszych wybrało się na ten dzień umyślnie do Warszawy, aby się przyjrzeć, co to będzie. Podług relacji, którą przywieźli, to, co się odbyło, była to właściwie nie przysięga, ale jakiś smutny i nędzny „bajzel”. Kompromitacja była zupełna. Ponieważ czynniki Rady Stanu i Komendy Legionów, które zarządziły tę przysięgę, wiedziały już dobrze o wrogim usposobieniu pułków, przeto odwołały uroczystość publicznego zaprzysiężenia, aby uniknąć skandalu, ale zastąpiły je zaprzysiężeniem w formach mniej uroczystych i ściśle poufnych w łonie samego wojska. Wezwane były na ten dzień z wszystkich pułków delegacje, złożone z Królewaków, które miały złożyć przysięgę w imieniu swoich pułków. Przysięga odbywała się w dziedzińcu koszar konsystującego w Warszawie III pułku; odbierał ją jeden z kapelanów legionowych, publiczność na przysięgę nie była dopuszczona; obecnych było tylko kilku członków Rady Stanu. Nie udało się jednak przemycić przysięgi w ten sposób cichy, wewnętrzny, czysto wojskowy. Przede wszystkim pułki I, V i IV nie przysłały wcale delegacji. Delegacja I pułku artylerii przybyła do miasta, przeszła się po ulicach Pragi ze śpiewem (śpiewano też „Rotę” Konopnickiej), doszła do mostu, zawróciła i odjechała. Tak samo przyjechała i bez stawienia się na przysięgę odjechała delegacja VI pułku. Z Królewaków III pułku przysięgło tylko kilkudziesięciu, z II pułku ułanów zaledwie kilku, poza tym garść z różnych oddziałów sztabowych Komendy Legionów. Reszta odmówiła przysięgi. Nie pomogły perswazje i gniew Berbeckiego, który był głównym przysięgi aranżerem. Wiara przysięgać nie chciała. Nie pomogła obecność członków Rady Stanu. Ich powaga była tak znikoma i tak została dalece na szwank narażona, że gdy Berbecki odczytywał rotę przysięgi, zaprzysięgając tych, co ją składali, a panowie z Rady Stanu powstałi uroczyście, z szeregów ułanów II pułku zanucono im pieśń: „O, cześć wam, panowie magnaci!”, pieśń, która była policzkiem. Takie zaprzysiężenie stało się, oczywiście, wielkim skandalem. Nie ocaliło od skandalu to, że akt nie był publiczny. Warszawa, naturalnie, wiedziała o wszystkim. Liczne rzesze publiczności gromadziły się w pobliżu koszar III pułku i Mostu Poniatowskiego, usposobione wrogo do przysięgających, a owacyjnie do odmawiających przysięgi. Była to nie przysięga, ale gorszący bałagan, kompromitujący inscenizatorów i kompromitujący do reszty skompromitowaną w opinii narodowej Radę Stanu.

12 lipca, rok 1917, czwartek

Chociaż dziś zaszedł u nas w sprawie przysięgi fakt przełomowy, fakt odmowy przysięgi i chociaż jestem pod silnym bezpośrednim wrażeniem tego faktu, postaram się jednak referować tok rzeczy w konsekwentnej kolejności, abstrahując się od aktualizmu moich wrażeń i myśli dzisiejszych.

We wtorek 10 lipca dowiedzieliśmy się o wezwaniu pułkownika Śmigłego do Warszawy. W związku z rezolucją oficerów I pułku o odmowie przysięgi i z tym, co słyszeliśmy o aresztowaniu szeregu oficerów innych pułków za odmowę przysięgi, obawialiśmy się, że pułkownik zostanie w Warszawie aresztowany. Fakt ten bardzo wszystkich zaniepokoił i poruszył. Wśród żołnierzy i, zdaje się, oficerów powstała myśl o złożeniu z pułkownika ciężaru odpowiedzialności przez przyjęcie go na swoje barki. Oczywiście, w zasadzie w wojsku ochotniczym, jakim jest nasze, wolno żołnierzowi przysiąc lub nie przysiąc; jest to rzecz jego osobistego przekonania i sumienia, której konsekwencje oczywiście sam ponosi; nie wolno natomiast na żadne zmywy i żadne zbiorowe odmowy przysięgi; wszelkie zmywy zresztą są w wojsku surowo zakazane. Chodziło więc o to, aby postanowieniu odnowy przysięgi odebrać cechę jakiegokolwiek zmywy lub tym bardziej cechę dyrektywy z góry od pułkownika. Postanowiono to wykonać w ten sposób, aby ci wszyscy, którzy nie chcą przysięgać, stanęli każdy indywidualnie do raportu i zameldowali o tym swoim przełożonym w tym celu, aby na wypadek, gdyby do pułkownika chciano stosować jakieś represje, mógł się on wykazać tym, że to żołnierze sami z własnej inicjatywy odmawiają przysięgi. W naszej kompanii zajął się tym sierżant Burczak, jeden z najsilniejszych przeciwników przysięgi, który od początku z całym przekonaniem występował w tym charakterze. Zwołał on po ćwiczeniach wszystkich żołnierzy i wyjaśnił, o co chodzi, zapowiadając, że analogiczna akcja jest przeprowadzona we wszystkich kompaniach i wzywając do stanięcia do raportu. Wszyscy jak jeden mąż zgodzili się na to. U nas w I pułku w takich wypadkach nie ma wyjątków i wyłamania się pojedynczych ludzi. Zaraz zarządzono raport, o którym uprzedzono porucznika Młota. Poproszono mnie, abym podał formułę meldunku, żeby wszyscy meldowali identycznie. Formułę podałem krótką i ściśle formalną, nie wyszczególniając motywów odmowy, ponieważ wychodziłem z założenia, że skoro wolno każdemu żołnierzowi rzecz tę we własnym sumieniu rozstrzygnąć, więc obojętnym jest, jakie są jego osobiste motywy, jeżeli tylko konkluzja jest odmowna. Formuła ta brzmiała tak: „Obywatelu poruczniku, melduję: dowiedziałem się o zamierzonej przysiędze; przysięgi tej, której rotę znam, składać nie życzę (albo i nie „będę”)”. Wszyscy Królewianie (dla skrócenia będę wszystkich nie-Galicjan, to znaczy wszystkich byłych poddanych rosyjskich po prostu tą rubryką Królewianów ogarniać, nie zaznaczając za każdym razem, że w ich liczbie są także ci, bardzo nieliczni, którzy pochodzą z innych niż Królestwo krajów, jak Litwa, względnie Wołyń, Białoruś itd.) ustawili się do raportu w rzędzie i Młot odebrał raport. Tegoż dnia po południu, przy odczytywaniu nam rozkazu dziennego na jutro, odczytano rozkaz Komendy Legionów, zapowiadający przysięgę i zastrzegający kategorycznie, że wszyscy, którzy jej nie złożą, zostaną z Legionów zwolnieni i w najbliższych dniach odesłani do domów. Widocznym było, że Komenda Legionów, zarówno jak Rada Stanu zdecydowały się jednak na kategoryczne postawienie tej sprawy. Czy zdołają się jednak na tym stanowisku utrzymać i jakie będą tego skutki? Wobec powszechnego niemal oporu legionistów i wobec kapitalnego skandalicznego bankructwa przedsięwzięcia w pierwszym dniu przysięgi w Warszawie zdaje się być nieuniknionym, że Legiony się po prostu na tym gruncie rozsypią. Pozostaną tylko Galicjanie i znikoma garstka zaprzysiężonych Królewianów. Jak postąpią Galicjanie po secesji Królewianów, której sprzyjają z całego serca i czy zechcą nadal w tych szeregach pozostać, aby służyć za podstawę dalszych eksperymentów wojskowych Rady Stanu – to pokaże najbliższa przyszłość. Faktem jest jednak, że o ile Komenda Legionów i Rada Stanu wytrwają na swym stanowisku w sprawie przysięgi, to odmowa przysięgi ze strony Królewianów i ich masowe ustąpienie z wojska będzie rzeczą tak głośną w całym kraju, tak skandalicznie kompromitującą Radę Stanu oraz jej przedsięwzięcia wojskowe, że nie

rozumiem, jaką czelność znajdzie ona sobie do dalszego angażowania się w tę sprawę i na jakie jeszcze perspektywy liczyć może w tych warunkach jej „dzieło” tworzenia wojska polskiego. Rada Stanu zabija tym po prostu całą sprawę wojska. Droga przez nią wybrana jest drogą nie wiodącą do żadnego celu. Ewentualnie może osiągnąć jedyny cel – wykazanie niemożności tworzenia wojska polskiego w kraju pod okupacją niemiecką w czasie trwania wojny. Bo jeżeli wojsko bez przysięgi istnieć i być tworzone nie może, a przysięga nie może nastąpić bez istnienia zorganizowanych władz państwowych polskich, te zaś nie mogą powstać jako władze narodowe pod przewagą niemiecką, której cały naród jest wrogi i która sama boi się i nie ośmiela się dopuścić czynników narodowych polskich do swobodnego zorganizowania się w formy państwowe, to oczywiście zbudowanie wojska polskiego jest zadaniem równającym się rozwiązaniu kwadratury koła. Tej kwadratury koła podjęła się Rada Stanu; toteż to, co faktycznie mogłaby ona w tych warunkach dokonać, byłoby nie wojskiem polskim narodowym, ale formacją wojskową służebną na polityczny użytek niemiecki. Tego zaś nie chce cały naród i na to nie idą Legiony. Dopóki nie przyszło do przysięgi, Legiony mogły istnieć z myślą bądź o przeczekaniu tego czasu przejściowego i doczekaniu się warunków swobodnego narodowego tworzenia armii, bądź o zużytkowaniu swej siły i organizacji wojskowej dla celów rewolucyjnych do wyzwolenia sprawy polskiej od więzów niemieckich, sprzecznych z istotą jej rozwoju. Było to możliwe, zanim nie przyszło do przysięgi. Można było istnieć samym faktem swojego istnienia, bez sankcji, jaką jest przysięga. Było to naturalnie nienormalne, ale cóż u nas jest normalnego. Przysięga natomiast określa cel Legionów, który w istocie ich celem nie jest i być nie może. Służy ona niewolnemu tworzeniu państwowości polskiej, rozpoczynając dzieło od tego, co jest tej państwowości podporą – od wojska. Zaprzysięć się do roli narzędzia niewolnego tworzenia Polski – tego Legiony zrobić nie mogą. I z pewnością cały pokłask i gorące uznanie w narodzie towarzyszyć będą tym, którzy przysięgi odmówią i wrócą do domu. To do reszty skompromituje pozostałe szczątki Legionów, zwłaszcza królewiackie szeregi zaprzysiężonych. Legiony, otoczone do dnia dzisiejszego uznaniem narodu, spadną do rzędu znienawidzonego narzędzia niewoli pruskiej, a Rada Stanu zgotuje sobie w opinii narodowej tytuł zdrady stanu. I ciekawa rzecz, że jak się okazuje, na przysięgę nastawały nie czynniki niemieckie i nie Beseler, ale właśnie Rada Stanu. Beseler, gdy się ujawniło, że w Legionach gotuje się stanowczy i ostry opór, chciał odwołać przysięgę. Natomiast Rada Stanu uparła się i postanowiła ją przeforsować. Czynniki Komendy Legionów z szefem sztabu Berbeckim na czele utwierdziły Radę Stanu w wykonalności przeforsowania przysięgi. Berbecki, głowa zgoła niepolityczna, prostoliniowością przypomina barana, który trafiając na przeszkodę uderza w nią łbem i jeżeli nie przełamie przeszkody, rozbija sobie łeb. W samej Radzie Stanu zwyciężył Władysław Studnicki, bezwzględny, prawdziwy Robespierre białego terroru, Studnicki, który o znienawidzonej przezeń I Brygadzie Legionów miał się wyrazić, że należałoby żołnierzami I Brygady wraz z samym Piłsudskim udekorować słupy telegraficzne po drodze z Modlina do Warszawy. Rada Stanu po usunięciu się z niej Piłsudskiego i trzech członków lewicy poszła z całą bezwzględnością na przeforsowanie przysięgi. W jakim celu to robi i jaką ma w tym myśl? Myśl jest następująca. Rada Stanu po kryzysie majowym, zakończonym, jak wszystko inne, połowicznie, mając już dość zasadniczego stawiania sprawy, kończącego się jak zawsze jałowo zdecydowała się na drogę wytwarzania konkretnych faktów budownictwa państwowego w ramach możliwości, to znaczy robić to, co się da. W oportunizmie tym, spokrewniającym ją z programem LPP, Rada Stanu doszła do praktycznych układów z Niemcami i Austrią co do utworzenia prowizorycznego rządu polskiego. Rzecz jest, zdaje się, bliska realizacji (prezesem ministrów ma zostać znany wybitny dyplomata

austriacki, Polak hr. Adam Tarnowski, były ambasador w Bułgarii) i do tworzenia wreszcie armii. Pierwszym aktem regularnej armii – przysięga; według programu Rady Stanu, bezpośrednio po zaprzysiężeniu wojska miała być wydana odezwa werbunkowa, a już za kilka tygodni rozkaz (względnie już rozkaz nowego rządu) przymusowego poboru rekruta. Czy jednak cały ten program nie rozbija się na przysiędze – [...] ¹. W opinii narodu – tak; ta sprawa przysięgi zabija Radę Stanu tak, jak zabito w narodzie w r. 1863 analogiczną politykę Wielopolskiego. Czy Rada Stanu wytrwa w swym programie i doprowadzi dzieło do skutku i jakim ono będzie – przyszłość bliska okaże. Asystujemy wielkiemu aktowi dramatu.

13 lipca, rok 1917, piątek

Tymczasem w masie żołnierskiej opinia w sprawie przysięgi krystalizowała się coraz mocniej. Oczywiście, wszelkie wątpliwości co do przysięgania lub nieprzysięgania ustały. Ale nie o to jedno chodziło. Zaczęła w masie z dnia na dzień, nawet z godziny na godzinę rosnąć i potęgnić świadomość o historycznym znaczeniu chwili, o jej powadze i przeto o sile odpowiedzialności, ciężącej na nas i mającej być wyrażoną w naszej decyzji i czynie. Z lekkomyślnego początkowo i awanturniczo-prywatnego traktowania sprawy, jakie się zaznaczało w nastrojach pierwszych dni, świadomość żołnierzy, pogłębiając się, wyszlachetniała i nabrała cech gorącej i zacnej myśli obywatelskiej. To, co mnie najbardziej w pierwszych dniach raziło – ta prywatność i brak powagi w tak doniosłej sprawie – zaczęło zanikać i ustępować miejsca głębszym motywom wyższego rzędu. W naszej kompanii jednym z najczynniejszych kierowników opinii żołnierskiej w tej sprawie okazał się Burczak, który wykazał dużo taktu i wyrobienia. Nie brakło jednak i pewnych elementów i pomysłów awanturniczych, których ogniskiem był naturalnie w III kompanii Wąsowicz, człowiek biorący wszystko po amerykańsku z zaprawą polsko-szlacheckiego warcholstwa sejmikowego. Czego też tam Wąsowicz nie powymyślał, jakich konceptów nie wyprojektował! Z jego to inicjatywy kolportowany był wśród żołnierzy projekt obrócenia całej przysięgi w szopę w ten, na przykład, sposób, aby gdy jakiś tam kapelan z ramienia Komendy Legionów albo jakiś dygnitarz z Rady Stanu, względnie któryś z Berbeckich, Zielińskich lub Januszajtisów zacznie do nas przemawiać o znaczeniu aktu przysięgi i wzywać do jej złożenia lub odczytywać rotę przysięgi, wszyscy na umówiony znak wykonali „w tył zwrot” i po prostu rozeszli się, zostawiając stropionego oratora albo, jeszcze lepiej – rozbiegli się w nagłej ucieczce, manifestując, jak są dalecy od nabrania się na ten kawał. Z inicjatywy też Wąsowicza pojechali jacyś tajemniczy wysłańcy w okolice Płocka dla sprowadzenia ukrytej tam u chłopów amunicji, rzekomo w celu przygotowania czynnego oporu gwałtowi, który ma być nam zadany. Były to jednak tylko inscenizacyjne ekscesy Wąsowicza, który musi zawsze w takich wypadkach kręcić się jak mysz w ukropie. Na ogół – powaga i świadomość odpowiedzialności rosła. W związku z tym twardniało postanowienie oporu, które przestało być traktowane za rzecz wolnego osobistego wyboru decyzji i uznane zostało za dogmat solidarności.

Wieczorem tegoż dnia 10 bm. przyjechało do Pomiechówka (i Modlina) szereg naszych oficerów, którzy byli poprzednio wydzieleni do innych pułków, względnie do obozów ćwiczebnych. Obecnie wracać zaczęli do pułku, bądź dlatego, żeby się porozumieć i znaleźć w swoim pułkowym środowisku w tej chwili decydującej, bądź też dlatego, że już przysięgi odmówili i zostali usunięci od swych funkcji. Między innymi przyjechali major Burhardt-Buckacki, kapitan Dąb, kapitan Drogat, kapitan Dreszer, porucznik

¹ Ubytek w karcie, brak jednego lub dwóch słów.

Borecki i szereg innych, popularnych i dobrze zasłużonych oficerów naszego pułku i w szczególności także baonu. Wszyscy oni śpieszyli w tej ciężkiej chwili do pułku jak do rodzinnego domu i byli też witani przez kolegów-oficerów i wiarę żołnierską nie tylko jak dobrzy znajomi, lecz jak bracia i przyjaciele. Wiara była z nich dumna i ucieszona, że się wszyscy skupiają pod wspólnym znakiem i śpieszą do kupy. Witano starych dobrych oficerów z zapałem, pełnym gorącego uczucia i wzruszenia. Z nich kapitan Dąb-Biernacki przyjechał jako już zwolniony z Legionów za odmowę przysięgi. Sam widok Dęba poruszał żołnierzy z jego dawnej kompanii, a cóż dopiero wieść o jego ustąpieniu z wojska pod tak popularnym znakiem. Najbardziej zaś cieszą się z Bukackiego, jednego z ulubieńców żołnierzy.

Nazajutrz 11 lipca we środę nic bardzo nowego nie zaszło. O terminie wyznaczenia przysięgi u nas nic jeszcze nie wiedzieliśmy. Mówiono tylko tyle, że pułkownik ma tego dnia wrócić z Warszawy i że pułkom, które jeszcze nie przysięgały, wyznaczony został termin dla jej złożenia do dnia 14 lipca. Zresztą nic pewnego jeszcze nie wiadano. Rano tego dnia Heller zwołał do swego pokoju podoficerskiego grono żołnierzy, bardziej interesujących się tą sprawą i podał im motywy, jakie ustaliła Rada żołnierska pułkowa dla odmowy przysięgi. Rada żołnierska, która, jak to przed kilku dniami pisałem, była się rozwiązała, znów na gruncie aktualnej sprawy przysięgi odżyła i nie tylko odżyła, ale od razu odzyskała całą siłę i sprężystość swoją, jak za najlepszych dni swego istnienia. Bo też istotnie znalazł się tym razem żywy grunt dla jej działania. Rada żołnierska odrodziła się w swym poprzednim komplecie; z naszej kompanii Heller wahał się na razie i ustępował inicjatywę swemu koledze w radzie, Burczakowi, ale następnie dał się unieść prądowi, przekonał się całkowicie o potrzebie intensywnego ruchu przeciwko przysiędze i znów stanął na czele akcji żołnierskiej jako jeden z jej sterników w tej sprawie. Odtąd rada odbywa ciągle zebrania i stale reguluje wszystkie bieżące zagadnienia sprawy. Otóż co do motywów, które rada postanowiła ustalić, by je ujednolicić w masie żołnierskiej, aby każdy z żołnierzy umiał, będąc zapytany o nie lub ewentualnie pojedynczo będąc namawiany i przekonywany do przysięgi, uzasadnić swoją odmowę logicznie, to zostały one przez radę ustalone następująco: motywów tych określiła rada trzy; pierwszy – że przysięga może być składana tylko komuś lub czemuś określönemu, ale nie jakiemuś niechcianemu przyszłemu królowi i w żadnym razie nie przed powstaniem państwowych władz polskich; drugi – że żadne przymierze, a więc i braterstwo broni, nie mogą być zaprzysięgane przez wojsko, zwłaszcza przed ich określeniem przez czynniki władzy państwowej (rządu, króla, sejmu), bo są one atrybutem tej władzy, który wojsko nie może sobie przywłaszczać ograniczając z góry swobodną decyzję przyszłej władzy i woli narodowej; wreszcie trzeci motyw – że odbieranie przysięgi li tylko od Królewików z wyłączeniem od niej żołnierzy Galicjan sankcjonuje podział legionistów na Polaków i Austriaków, którego my zasadniczo uznać nie możemy. Co do ostatniego punktu poradziłem, aby go nie wysuwać, ponieważ to nie jest motyw odpowiedni. Rozumiem, że to jest rzecz bardzo ważna sama przez się, ale rzecz, która nie decyduje w tym wypadku o wartości przysięgi. Gdyby nawet istniały władze państwowe polskie i gdyby przysięga była przez nie ustalona, to znaczy nie budziła w nas żadnych wątpliwości, nie mogłyby one zaprzysiąc poddanych austriackich, dopóki Austria nie zwolniłaby tychże od poddaństwa. Przeciwnie podziałowi na austriackich i polskich poddanych należałoby coś przedsięwziąć na innej drodze, niż na drodze odmowy przysięgi przez Królewików. Nie byłoby racji uniemożliwiać państwu polskiemu tworzenia armii na tej zasadzie, że Austria nie pozwala temu państwu użytkować do armii żołnierzy Galicjan. Odmowa przysięgi powinna się opierać tylko na wadach samej przysięgi, nie zaś służyć za ryczałtowy

pretekst do postawienia za jednym zamachem wszystkich zagadnień na porządek dzienny. Zgodzono się z tym.

Wieczorem tegoż dnia zaczął się podnosić w nastrojach i perspektywach zwrot optymistyczny. Zaczęto przypuszczać i wnioskować, że sprawa przysięgi może się da jakoś ominąć i że szczęśliwa gwiazda Legionów, która je z tylu niebezpieczeństw wyprowadziła całe, wyprowadzi je i tym razem. Że Rada Stanu się zastanowi i cofnie od doprowadzenia rzeczy od ostateczności, znajdując jakieś wyjście pośrednie, które uratuje Legiony od rozbicia. Tyle razy zdawało się, że Legiony już już wiszą na włosku i lada chwila się rozpadną, jak to było w Baranowiczach, i zawsze ratunek się znalazł. Zdawało się, że może i tym razem tak będzie. Im bardziej dnie płynęły za dniami, tym mniej wierzono, aby to już naprawdę nadchodził koniec. Zbyt cenną rzeczą w sprawie polskiej zdawały się Legiony, aby Rada Stanu nie cofnęła się w ostatniej chwili, przekonując się o swej bezradności. Trudno było przypuścić, aby przez upór, silniejszy niż logika dalej nie zesłała ona z obranej przez nią drogi. Wierzono, że „jakoś to będzie”. Liczono na jej kapitulację. Nastaną może represje w stosunku do osób, padną pewne ofiary, ale zasadniczo Legiony utrzymają się i opozycja nasza w sprawie przysięgi zwycięży.

14 lipca, rok 1917, sobota

Wracam jeszcze do dnia 11 lipca, środy. Rano przyszedł ordynans Dreszera, że mnie Dreszer do siebie prosi. Zastałem u niego dr Boguszewskiego, który chciał się ze mną widzieć. Przyjechał wczoraj do Pomiechówka na dni parę wraz z kapitanem Dębem. Obaj zostali wyrzuceni z Legionów za odmowę przysięgi. Chociaż w III pułku odmówiło przysięgi więcej oficerów, to jednak dotąd rozkazem Komendy Legionów zwolnieni zostali z Legionów tylko trzej: kapitan Dąb-Biernacki (Dąb był poprzednio przydzielony do pułku III), niejaki kapitan Sokołowski i dr Boguszewski, uważani widocznie za nieprzejednanych i za niebezpiecznych agitatorów. Co do innych oficerów III pułku, którzy odmówili przysięgi, to Zagórski, obecny komendant pułku, nie traci nadziei, że zdoła ich do przysięgi nakłonić, co Boguszewski uważa za bardzo prawdopodobne. Co do żołnierzy Królewaków III pułku, to ich większość, która odmówiła przysięgi, została natychmiast poddana aresztowi koszarowemu i izolowana; jednocześnie ściągnięto z nich „komiśne” (to znaczy rządowe) spodnie i buty i w ten sposób trzymano ich przez parę dni; była w tym i represja, i zapowiedź wyrzucenia z Legionów, i zwłaszcza chęć psychicznego opanowania ich woli i doprowadzenia do przysięgi; izolowani aresztowani żołnierze zaczęli być nachodzeni przez różnych przełożonych i mężów cywilnych, wreszcie przez samego Zagórskiego, występujących w roli agitatorów przysięgi. Bardzo prawdopodobne, że większość da się przełamać i przysięgnie. Co do Boguszewskiego, to wraz z rozkazem o zwolnieniu otrzymał marszrutę bezpowrotną do Wilna jako miejsca zamieszkania. Nie chce tam jednak jechać, bo się boi pułapki, z której nie będzie się mógł potem wyrwać; Boguszewski zaś jest pełny ambicji do odegrania jakiejś roli politycznej, zwłaszcza w sprawie stosunku Polski do Litwy. Liczy, że gdy się do Wilna dostanie, Niemcy, uważając go za osobę politycznie niepewną, pośpieszą zapchać go do jakiejś dziury, do jakiegoś małego miasteczka jako lekarza pod pozorem epidemii, skąd nie będzie się mógł wydostać, i to do tego stopnia, że gdyby nawet Rosjanie przyjąć mieli, przypuszcza, że go Niemcy przy cofaniu się ze sobą zabiorą. Wobec tego Boguszewski udaje się na okupację austriacką, gdzie spodziewa się protekcji Szeptyckiego, łatwego znalezienia zajęcia i otwartych dróg do działania politycznego ze wszelkimi perspektywami, jakie się w dalszych konsekwencjach otworzyć mogą. Przyjechał w gościnę do I pułku, aby stąd, przez pułkownika Śmigłego, wyrobić sobie przepustkę na przejazd do Lublina, co mu

Śmigły przyrzekł. Trzeba też wiedzieć, że w myśl instrukcji Piłsudskiego wydalani z Legionów mają się starać dostać do okupacji austriackiej. Z Dreszerem i Boguszewskim miałem rozmowę, z której się dość dużo w sprawie domniemyanych intencji Piłsudskiego dowiedziałem. Są to zresztą przeważnie tylko domysły, oparte na pewnych spostrzeżeniach oraz na tym, co przez najbliższych przyjaciół Piłsudskiego z ich półsłówek i gestów przenika do naszych kół. Piłsudski, jak zawsze, lubi otaczać swoje decyzje tajemnicą, szczególnie w chwilach zwrotnych; szyje wtedy po kryjomu, w głębokiej konspiracji, unikając naradzania się i zwierzeń nawet we własnym obozie. Tak samo robi obecnie. Zdaje się, że dopiero teraz, po wystąpieniu z Rady Stanu i uzyskaniu formalnej swobody ruchów, czuje się rzeczywiście w swoim żywiole i zaczyna działać. Rada Stanu i praca w instytucji kolegialnej nie jest terenem właściwym dla Piłsudskiego. Tam on marnieje. Dopiero na swobodzie, gdy jest zostawiony sam sobie, budzi się w Piłsudskim lew czynu albo kombinator polityczny, względnie jedno z drugim. Oczywiście, im wyżej stanął Piłsudski, im głębszy jest jego wpływ i większą jego siła w narodzie, tym jest bardziej przez przeciwników politycznych śledzony; zarówno własny jego obóz, jak obóz przeciwników, gdzie jest on postacią najbardziej znienawidzoną, starają się odgadnąć jego zamiary i odkryć tajemnice jego knowań. Ale Piłsudski umie kryć końce w wodę i cieszy się tym jak dziecko. Bo Piłsudski nie tylko pracuje i działa, ale i bawi się zarazem swoim działaniem. Ma on w sobie to, co mają najczęściej wielcy ludzie: ich siła i wielkość kojarzy się z dziwactwem i fantazją dziecka. Piłsudski, jak ktoś trafnie zaobserwował, ma dużo podobieństwa z wielkimi ludźmi epoki Odrodzenia. W charakterze jego pierwiastek tragiczny łączy się z pierwiastkiem na wskroś epickim. Jak tamci wielcy ludzie, tak Piłsudski ma dokoła pełno satelitów, którzy nie są zwykłymi karierowiczami, lecz przypominają raczej kondotierów: są zbieraniną charakterów, barwnych indywidualności, wykolejeńców, połamańców, bujnych talentów i bujnych namiętności obok niedołęgów, pasibrzuchów, neurasteników itd. Wiąże ich z Piłsudskim nie tylko ich interes kariery, wątpliwej bardzo w zmiennych fazach przeszłości tego człowieka, ale głównie blask jego wielkości, urok jego siły i charakteru, nałóg żywiołowego przywiązania i żądza niezwykłości. Tacy Jodkowie, Sokolniccy, Sławki i dziesiątki innych tak w Legionach, jak poza nimi – to jest ten osobliwy, pstrokaty dziwaczny orszak satelitów Piłsudskiego. Są tam talenty, ale są i ludzie mali, są ludzie czyści, ale są i plugawi. Piłsudski trochę kocha ich, trochę się nimi bawi, trochę ich używa do swej gry, trochę nimi pogardza, ale ich zawsze trzyma przy sobie, bo są mu potrzebni; są mu potrzebni właśnie tacy, a nie inni; ci pozostaną mu wierni w złym i dobrym losie, tych się nie potrzebuje krępować i oszczędzać, on, ich pan. Ale, wracając do rzeczy, gotów jestem dopuścić myśl, że to wrażenie, które w maju z rozmowy z Piłsudskim wyniosłem i na którym oparłem moje uczucie zawodu względem jego osoby, było mylne: być może to, co, jak mi się zdawało, ujrzałem w Piłsudskim, nie było istotne i było tylko pozorem bardzo płytkiego traktowania tej wielkiej niepospolitej indywidualności. Kto wie, czy z rozmowy Komendanta z gronem kilku pospolitych żołnierzy można odczytać najgłębszą treść myśli tego człowieka, który może w tym czasie torował już głęboko w ukryciu drogi dla nowych Sprawy wytycznych. Dziś nie podejmuję się jeszcze o tym sądzić. Niech czyn Piłsudskiego, gdy się już zmanifestuje w faktach, przemówi za niego. Dziś trudno nawet zgadnąć, jakim on jest i co gotuje, bo mamy dotąd tylko domysły. Zdaje się jednak, że jakaś myśl i plan Piłsudski ma i że to, co się dzieje, nie jest tylko wyrazem niedołęstwa Komendanta i nieumiejętności opanowania przezeń sytuacji. Tkwi też w tym bodaj coś głębszego niż sama tylko chęć uratowania honoru Legionów. Nie wiem jeszcze, nie decyduję się nic w tej sprawie orzec. Przyznaję, że sprawa jest dla mnie dotąd niewyraźna. Byłem skłonny z całą stanowczością potępić zachowanie się

Piłsudskiego, który na parę dni przed tym awanturnicznym przedsięwzięciem Rady Stanu w sprawie przysięgi wystąpił z Rady, nie mogąc nie przewidzieć, że jego ustąpienie odda w obecnych psychologicznych warunkach Radę na żer nieokiełznanej polityki pp. Studnickich i Łempickich. Nie mógł nie wiedzieć Piłsudski, że w tych warunkach wejdzie na stół sprawa przysięgi, sprawa, na której się rozbiją Legiony bez żadnej użyteczności czynnej, jaka z nich mogła jeszcze być dla Sprawy Polskiej wydobyta. Nie mógł tego nie przewidzieć, a zresztą nie wolno mu takich rzeczy nie przewidzieć. A że nie tylko przewidywał, ale wiedział o tym – to przecież wiem, bo jeszcze w maju mówił o tym z najdokładniejszą ścisłością. Wiedział i dopuścił do tego, wycofując się na parę dni przed tym i umywając ręce jak Piłat. A że to zmarnowanie Legionów bez wykorzystania zawartej w nich użyteczności uważałem za rzecz bardzo ciężką, przeto potępiałem Piłsudskiego. Powinien był pozostać w Radzie Stanu i nie dopuścić do tego; sądzę, że istotnie było to w jego mocy i że Rada Stanu za cenę zachowania Piłsudskiego byłaby się oparła polityce Studnickiego i Łempickiego. A jeżeli nawet nie mógł temu przeszkodzić, to powinien był ustąpić z Rady o dwa dni później, właśnie już na gruncie przysięgi, dając poparcie nam i ujaskrawiając opór polityce Rady. Nie – on wołał ustąpić cicho, bez głośnego protestu, na nas składając ciężkie brzemię rozwiązania sprawy przysięgi i jawną odpowiedzialność za czyn rozbicia Legionów. Wygląda to na zachowanie się bankruta: jest upadek wielkiego dzieła, którego on był twórcą i oto on nie usiłuje ratować ani nawet dzielić ciężaru upadku. Jest to prawie potworne. Dziś jednak, słysząc o aktywizmie Piłsudskiego i zaczynając dostrzegać pewne kontury jego akcji w tej robocie, zaczynam myśleć, że to ja się myliłem w mojej ocenie Piłsudskiego i że on dobrze wiedział, o co jemu chodzi i czego on przez to chce.

15 lipca, rok 1917, niedziela

Opiszę teraz sam akt przysięgi, właściwie jej odmowy w I pułku we czwartek 12 lipca w Modlinie.

W nocy z 11 na 12 lipca pełniłem w kompanii służbę kaprała dziennego. Kompania od dawna spała, ja zaś siedziałem przy świeczce i pisałem jakiś list czy dziennik, spełniając obowiązek czuwania, gdy wtem koło północy przychodzi ordynans z komendy stacji w Pomiechówku i przynosi do kancelarii kompanijnej świeży nagły fonogram z komendy pułku. Fonogram ten, zawierający rozkaz pułkowy, brzmiał, jak następuje:

„11.VII.L125. Fonogram. Godz. 9.55. Jutro dnia 12.VII ma się odbyć przysięga – każdy baon złączy wszystkich żołnierzy i podoficerów królewaków w jedną kompanię, K.K.M. (kompania karabinów maszynowych), orkiestra i telefon dołączą swoich królewaków do Ba-onu I. Kompanie czteropłutonowe pod kmdą oficerów królewaków. Wszyscy oficerowie królewacy bez funkcji stawiają się także. Zbiórka punktualnie o godz. 8.00 rano po zewnętrznej stronie (Weichselstras) na pastwisku I pp. Zwrócić uwagę na porządną sylwetkę żołnierza. Wyekwipowanie bez płaszczy, karabin, bagnet, ładownice. Dla oficerów szable, pas. Oficerowie konni stawiają się konno. Każda kompania przyniesie ze sobą spis królewaków obecnych na placu i wykaz nieobecnych na przysiędze. Śmigły, pułkownik, m.p.”

Nazajutrz, we czwartek 12 lipca, o godz. 6.45 rano zarządzona została zbiórka wszystkich Królewaków w przepisany szary i umundurowaniu. Przed wyjściem udzielono żołnierzom poufnej instrukcji, aby się zachowali na przysiędze z całą godnością i spokojem, bez żadnych okrzyków i awantur. Uprzedzono, że na uroczystości ma być obecny Januszajtis i członek Rady Stanu p. Ludomir Grendyszyński. Żołnierze zastosowali się do tej instrukcji bez zastrzeżeń. Zrozumieli, że żądanie pułkownika powinno być wypełnione. Ustały wszelkie koncepty awanturnicze, propagowane przez Wąsowicza. Wiedzieliśmy, że pułkownik Śmigły

wrócił wczoraj z Warszawy i że dał słowo czynnikom Komendy Legionów, że on w najmniejszej mierze wpływać nie będzie na żołnierzy w kierunku odmowy przysięgi, zostawiając im całkowitą swobodę osobistej decyzji. Żołnierzom zresztą dość było własnego przekonania i rzuconego poprzednio hasła od Piłsudskiego, aby odmowa przysięgi była solidarna i niewzruszona jak mur. Zrozumieli, że nie powinni stwarzać pozorów uprzedniej zmowy ani tym mniej ulegania wpływowi czyjemukolwiek i że nie wolno im utrudniać roli pułkownika i obniżać powagi swojej odmowy przez niepoważne awanturnicze zachowanie się. Wymaszerowano w kierunku na Modlin. W tym marszu, w którym szli oni stwierdzić swoją ideę, zachowali powagę i spokój – doskonałe. Szli na odmowę przysięgi z prostotą taką samą, jakby szli na spełnienie każdego powszedniego obowiązku wojskowego. Nie było znać żadnego zdenerwowania, chwiejności, braku równowagi, które, zdawało się, mogły być usprawiedliwione okolicznościami tego marszu. Śpiewano po drodze piosenki żołnierskie, żartowano; szło się raźnie, poranek był słoneczny, ale nie gorący. Jedno tylko dawało się dostrzec, to wysokie podniesienie moralne poziomu. Ciekawa jest rzeczą, że ten sam żołnierz, który w rozproszeniu na własną rękę traktuje sprawy ideowe *sub specie* prywaty i ze wszystkiego robi bajzel – gdy się znajdzie w szyku, w zespole, całkowicie się zmienia i przejmując duchem wielkiej solidarności i wybitnej ideowości. Następuje transformacja wprost do niepoznania. Jest w szeregu duch zbiorowy o wybitnej dyscyplinie i wysokim poziomie moralnym. W jednostkach duch ten nie jest ukształcony, ale budzi się on w nich, gdy się znajdują w kupie. Szczególnie w chwilach postanowień decydujących i czynów większej doniosłości, angażujących odpowiedzialność ideową. Pięknym i wielkim staje się wtedy ten żołnierz, który w pospolitych warunkach jest bardzo przeciętnym człowiekiem, pełnym słabostek i wad powszednich. Zaraz po godz. 8 przemaszerowaliśmy na miejsce, gdzie na błoniach pod Modlinem w kierunku na Zakroczym stały już tabory, Królewiaczy II baonu i innych oddziałów stacjonowanych w Modlinie. Wszystkie oddziały ustawiły się w linii rozwiniętej. Naprzeciwko w pewnej odległości rozłożyły się luźne grupy widzów spośród Galicjan II baonu. Wkrótce po wyrównaniu linii i ukształtowaniu szyku przybył od strony Modlina Grendyszyński i Januszajtis. Padła komenda: „Baczność!”, „Batalion w prawo patrz!”. Grendyszyński z Januszajtisem w towarzystwie kapitana Scaevoli-Wieczorkiewicza, dowodzącego utworzonym chwilowo z Królewaków baonem, przeszli przed linią frontu. Grendyszyński szedł blady, poważny, trzymając czapkę uniesioną nad głową, nie patrząc na żołnierzy, ze wzrokiem spuszczonego na ziemię. Na twarzy jego malowało się głębokie przygnębienie i wyraz bardzo ciężkiej i przykłej roli, którą zmuszony był spełnić. Po przejściu wzdłuż całego frontu Grendyszyński z Januszajtisem stanęli przed środkiem, oddziały zaś ustawiły się dokoła nich w wielki czworobok. Pierwszy przemówił Grendyszyński. W mowie jego była wielka powaga i głęboki ton tragizmu. Mówił krótko. Roty przysięgi samego faktu zaprzysiężenia nie bronił; nie uzasadniał, że jest dobra, nie kwalifikował jej wcale; wiedział, że wobec nas byłoby to próżne, a zresztą sam może o tym przekonany nie był. Nie było w słowach jego ani, co jeszcze ważniejsze, w głosie nic, co by tchnęło przekonaniem i wiarą, mogącą się udzielić słuchaczom. Ograniczył się do stwierdzenia tezy, że bez przysięgi wojska regularnego tworzyć niepodobna. Chciał przez to wyrazić tę myśl, że czy dobrą, czy też złą jest ta przysięga, musi ona być jednak złożona, jeżeli armia ma być tworzona. A wiadomym jest przecie to, o czym Grendyszyński w swej krótkiej przemowie nie wspomniał – że Rada Stanu zdecydowała się pchnąć naprzód całą siłą pary sprawę budowy wojska, spóźnioną bardzo: zaraz po przysiędze miała być wydana odezwa werbunkowa, a rychło potem – pobór przymusowy rekruta. Grendyszyński dodał, że ta rota przysięgi, na którą ma wojsko zaprzysięć, była rezultatem bardzo

długich i szczegółowych targów Rady Stanu z Niemcami. Tak jest, istotnie: wiemy o tym dobrze. Ale to jest jednym właśnie z przykładów ubóstwa krótkowzrocznej polityki szczegółów i targów detalicznych. Rada Stanu, targując się z Niemcami o szczegóły brzmienia roty, punkt ciężkości całej wagi zagadnienia przeniosła we własnej świadomości do drobiazgów i subtelności tekstu, tracąc z oczu samą sprawę przysięgi jako takiej w perspektywie ogólnej sytuacji i jej momentów zasadniczych. Dobijając targu, miała wrażenie, że osiągnęła wielkie ustępstwa i że rota jest do przyjęcia możliwa. Była o tym w najlepszej wierze przekonana, jak zresztą godziła się na tekst tej roty i lewica Rady Stanu wraz z Piłsudskim, biorąc w kwietniu udział w jej układaniu i targach. Ale od kwietnia do lipca stosunki nie stały nieruchomo i sytuacja uległa zmianie; w zmienionej sytuacji zmieniła się też wartość roty przysięgi. Z pewnością, gdyby ta sama przysięga była przedstawiona wojsku po 5 listopada, a nawet w styczniu tego roku po ukonstytuowaniu się Rady Stanu, przysięga odbyłaby się bez żadnych zajść i opozycji. Od tego czasu jednak rzeczy się zmieniły. To jest też jednym z głównych kunktatorstwa grzechów. Zarządzenia, poczęte w kunktatorstwie, są zazwyczaj spóźnione. Są nawet czasem teoretycznie dobre, ale nie odpowiadają chwili bieżącej i jej potrzebom. Rzeczy spóźnione bywają czasem niebezpieczniejsze i gorsze od złych. Grendyszyński zakończył bardzo umiarkowanym wezwaniem do złożenia przysięgi, brzmiącym jak propozycja, powołując się, że spełnia przez to swój obowiązek i rozkaz Rady Stanu. Na tym zakończył. Po nim zabrał głos Januszajtis.

16 lipca, rok 1917, poniedziałek

Przypuszczam, że nie musiał się czuć dobrze Grendyszyński, stojąc wobec żołnierzy I Brygady w roli rzecznika przysięgi. Widocznym było, że się łamie w sobie. Jakąż rolę kapryśny los mu zgotował! Stoi mi w pamięci pewne zebranie warszawskie z marca roku 1915, na którym Grendyszyński przewodniczył; było to zebranie przedstawicieli ówczesnego tzw. Bloku Niepodległościowego do porozumienia się z gronem przedstawicieli Litwy, przybyłych z Wilna, wśród których i ja byłem. Było to w czasie, gdy do Warszawy przysłała wieść o kapitulacji Przemysła; Moskale byli u szczytu swego triumfu i Galicja leżała u ich stóp zdobyta, prócz skrawka zachodniego z Krakowem; choć nad Bzurą, niedaleko Warszawy, stała linia wojsk niemieckich, to jednak utrata Warszawy przez Rosjan zdawała się nieprawdopodobna. Wieść o upadku Przemysła głęboko nas wszystkich, zebranych w mieszkaniu Patka, przygnębiała; wszyscy byliśmy usposobieni wrogo do Rosji i do nieszczęsnego w tym czasie moskalofilstwa; ale jedni byli rzecznikami własnego czynu niepodległościowego, upostaciowanego w Legionach, i sprzyjali orężowi mocarstw centralnych, inni w Bloku Niepodległościowym, a wśród nich Grendyszyński najbardziej, byli rzecznikami neutralizmu polskiego, jak najdalszymi od myśli łączenia sprawy polskiej ze sprawą mocarstw centralnych, wyznawcami tzw. orientacji koalicyjnej, anglo-francuskiej. Pamiętam starcie tych dwóch prądów, starcie, w którym poważny, pełny równowagi Grendyszyński traktował myśl Legionów w sojuszu z Austrią i Niemcami za rzecz szaleńcza i romantyczną, pozbawioną zgoła realizmu. Jakże we czwartek ubiegły na polach pod Modlinem inną wypadło mu grać rolę! *Mutantur tempora!* Kto by tam wówczas pomyślał, że tenże Grendyszyński będzie za dwa lata występował przed frontem legionistów, nawołując ich do złożenia przysięgi, skuwającej sprawę polską służebnie ze sprawą i polityką Niemiec, przysięgi, której Legiony odmawiają! W dziwnych zaiste okolicznościach i w niezwyklej roli wypadło Grendyszyńskiemu stanąć przed frontem żołnierzy I Brygady Legionów. Z pewnością sam Grendyszyński nie spodziewał się tego nigdy. Wrzała w nim głęboka tragedia, którą znać było w głosie i całym wyglądzie. Mam wrażenie, że Grendyszyński nie był przekonany o słuszności

sprawy, której służył, a przynajmniej przekonaniu temu wyrazu nie dawał. Przemówił tonem bezdźwięcznym i urwał tak jak złamany. W tonie jego było coś więcej, niż przygnębienie – była rozpacz. Po Grendyszyńskim mówił pułkownik Januszajtis. Przemowa jego była płytka, błazeńska, operująca rozumowaniem nieściśłym i bardzo błędnymi analogiami. Ten nawoływał istotnie. Rozumował. Uzasadniał rotę przysięgi i w ogóle potrzebę zaprzysiężenia, straszył odpowiedzialnością wobec historii, zapewniał wreszcie, że choćby pozostał jeden tylko żołnierz, wierny ideałowi trzyletniego czynu Legionów (probiierzem tej wierności ma być podług Januszajtisa posłuszeństwo Radzie Stanu i rozkazowi przysięgi), to oni – to znaczy Rada Stanu i Komenda Legionów wraz z garstką posłusznych – nie wyrzekną się usiłowań zbudowania na tym jednym żołnierzu całej armii polskiej. Niech nie myślą ci zbuntowani aniołowie, ci, co przysięgi odmawiają i wzdragają się spełnić rozkaz jedynej prawowitej władzy narodowej, jaką dziś jest Rada Stanu, że odmową swoją zachwieją oni plan budowy wojska i złamią wysiłek prawdziwych ideału polskiego budowniczych. Niedoczekanie ich! Nie wskórają nic, upadną sami, ponosząc odium złamania wiary dla ideału, który trzyletnim krwawym czynem Legiony Polskie wyrażały. Dość długo przemawiał Januszajtis, a mowa jego była diametralnie przeciwna mowie Grendyszyńskiego. Żołnierze słuchali w milczeniu. Żaden okrzyk, żaden wyraz zdenerwowania nie wyszedł z szeregów, które pozostały karne moralnie, skupione w sobie, mocne w swym postanowieniu i spokojne. Nie zachwiał się nikt, ale nikt też nie wybuchł oburzeniem. Po zakończeniu swej mowy Januszajtis, przeczytawszy uprzednio tekst rotę przysięgi, wezwał obecnych żołnierzy i oficerów do złożenia przysięgi. Kazał tym, którzy nie chcą przysięgać, wystąpić naprzód przed front, a gdy na to cały czworobok masy żołnierskiej wraz z linia oficerów zachwiał się i poruszył naprzód, zamykając ściany czworoboku i postępując ku zamkniętym w środku Januszajtisowi i Grendyszyńskiemu. Januszajtis ruchem ręki zatrzymał wszystkich i zamienił dyspozycję w ten sposób, że odmawiającym przysięgi rozkazał cofnąć się 15 kroków wstecz, zaprzysięgającym zostać w miejscu. Czworobok natychmiast odpowiedział ruchem wstecz, a gdy ruch ten stawał się bezładnym, chwilowi komendanci kompanii wstrzymali linię żołnierzy i wydali komendy: „W tył zwrot! 15 kroków marsz!” Cały czworobok rozstał się o 15 kroków we wszystkich czterech kierunkach swoich ścian. Wraz z nami odstąpili w głąb oficerowie. Januszajtis, choć się zapewne spodziewał czegoś podobnego, zbladł. Czworobok stanął jak wryty i obrócił się znów frontem do środka. Januszajtis wydał dyspozycję złożenia przez oficerów broni. Oficerowie Królewscy, ustawieni w rzędzie w porządku szarż, zaczęli odpinać szable i jeden za drugim rzucać je w stos do stóp Januszajtisa. Pierwsi zrobili to dwaj majorowie – Bukacki i Fabrycy, za nimi kapitanowie Dąb, Dreszer, Drogat i inni, dalej porucznicy, podporucznicy i chorążowie; z szabel urósł stos; oficerowie odpinali je i rzucali z energią i gestem, którzy hańbą kładł się na honorze Januszajtisa. Gdy wszyscy porzucili broń i stanęli z pustymi zwieszającymi się pasami, osieroconymi z symbolu żołnierskiego – szabli, z szeregu żołnierzy wykwitł okrzyk: „Niech żyją oficerowie!”, powtórzony z powagą, siłą i głębokim uczuciem przez wszystkich. Oficerowie salutowali nam w odpowiedzi. Była chwila powagi wielkiej i skupienia, w którym była świadomość dokonanego obowiązku przekonania i sumienia oraz bolesna przytomność rzeczy ohydnej, jaką jest taki finał trzyletniego dzieła ochotniczej ofiary tych ludzi dla Sprawy Polskiej. Z grupy oficerów Galicjan, stojącej opodal, posypały się oklaski w kierunku rozbrojonych oficerów i poważnej, pełnej woli masy żołnierzy. Nie zawiódł nikt. Ani jeden człowiek nie wyłamał się z ogólnej solidarności. W całym pułku co do jednego tylko żołnierza zachodziła wątpliwość, wiedzano o nim bowiem, że z przekonania jest przeciwny odmowie przysięgi. Był nim starszy żołnierz Rzepecki, syn pani Izy Moszczeńskiej, jednej z filarów ideologii LPP. Ale i ten w momencie tym

stanął z innymi, nie ośmielając się, może nie tylko z osobistej obawy, ile z elementarnego zmysłu taktu i symetrii, złamać jednolitość obrazu (dopiero w kilka dni potem Rzepecki rozkazem Komendy Legionów na skutek własnej i matki jego prośby został przydzielony do Komendy Brygady, co jemu otworzy drogę poza pułkiem do złożenia przysięgi i zostania w wojsku). Po złożeniu szabel przez oficerów niejeden z nas czekał, że taki sam rozkaz złożenia broni – karabinów i bagnietów – padnie względem żołnierzy. Była chwila wahania w sercu: złożyć broń czy nie złożyć. Ale rozkaz taki nie padł. Januszajtis zwrócił się do pułkownika Śmigłego, który, jako Galicjanin, pozostał z szablą, z rozkazem zastosowania do żołnierzy, którzy odmówili przysięgi, aresztu koszarowego i odprowadzenia ich do koszar. Niektórzy mówili – sam tego nie widziałem – że Grendyszyński usunął się na stronę i zapłakał. Tak się dokonał akt odmowy przysięgi w I pułku. Po otrzymaniu rozkazu odejścia do koszar przemarszerowaliśmy w defiladzie przed oficerami Królewiami bez broni i krótszą drogą wróciliśmy do Pomiechówka, gdzie nas oczekiwali poruszeni, witający nas serdecznie koledzy Galicjanie.

17 lipca, rok 1917, wtorek

Dziś muszę streścić wypadki ostatnich dni aż do dnia dzisiejszego, ponieważ dziś w nocy odjeżdżamy do obozu koncentracyjnego w Szczypiornie gdzieś za Kalisz, gdzie mamy być na razie internowani. Nie mogę tam wziąć ze sobą dziennika, bo mogą zajść rewizje; dziennik ten byłby w obecnych warunkach dla mnie i dla wielu osób kompromitujący; odsyłam więc go stąd wraz z różnymi innymi papierami do Warszawy do Heli Ochenkowskiej na przechowanie; tam się przechowuje moja walizka cywilna z większością moich rzeczy i wraz z tym jedyny plon moich lat wojny – cała seria wojennych zeszytów dziennika, do których spokojnego posiadania dojdę dopiero aż po wojnie. Kiedy to nastąpi i co się ze mną do tego czasu stanie – nic nie wiadomo. Oto dziś bolesny rezultat dwóch lat spędzonych w Legionach, dwóch lat ochotniczego poświęcenia na mękę i trud dla sprawy: wyrzucenie jak psa do obozu koncentracyjnego, równającego się obozowi dla jeńców. Jedyne wyróżnienie – że to nie obóz niemiecki dla jeńców, ale obóz polski: wtrącenie tam zostajemy ręką nie przemocy obcej, lecz własnej pierwszej polskiej instytucji publicznej, która przywłaszcza sobie zadanie budowania państwa polskiego. Pierwszą ofiarą polityczną tej tworzącej się Polski państwowej są... żołnierze Legionów, ci, którzy pierwsi stanęli do czynu, tworzącego Polskę, kiedy jeszcze dzisiejsi panowie z Rady Stanu spali błogim snem niewoli. Dziś oni, zbudzeni, budujący Polskę, wtrącają legionistów do obozu koncentracyjnego, aby ich stamtąd potem poodsyłać precz do domów jako przedmiot zbyteczny, przedmiot, który im na zawadzie stoi. O, cześć wam, panowie! Nie jest to, niestety, dziełem Niemców, jeno własnej Polski pierwszej instytucji „państwowotwórczej”.

W dniach, bezpośrednio następujących po przysiędze, nic się na pozór nie zmieniło w naszych stosunkach i życiu wewnętrznym. Co dzień, jak zwykle, odbywaliśmy ćwiczenia, wykłady i wszelkie inne praktyki wojskowe, wchodzące w zakres wykonywanego w naszej kompanii „kursu instruktorskiego” pomysłu porucznika Młota-Parczyńskiego. Tak płynął dzień za dniem. Młot może się pochwalić, że jego kompania do ostatniego tchu pozostała wojskiem, bo jeszcze nawet dziś rano ćwiczyliśmy jak zwykle, z tą różnicą, że na ćwiczenia wyszliśmy bez karabinów. Przez pierwszych kilka dni było cicho. Nie łudziliśmy się jednak pozorami. Uprzedzano nas zresztą, że w najbliższych dniach nastaną konsekwencje odmowy przysięgi. Słysząc było wprawdzie, że elementy Rady Stanu i Komendy Legionów są skonsternowane tym, co zaszło i że są skłonne szukać jakiegoś pośredniego wyjścia, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że znalezienie go nie jest łatwe i że elementy te tak daleko się

zaangażowały, że przecież muszą chcąc nie chcąc brnąć dalej i ciągnąć konsekwencje, pozorując siłę i słuszość ich stanowiska, choćby tylko do czasu. Mówiono, że Królewicy zostaną odesłani do domów. Czekaliśmy. O Piłsudskim słychać było, że zadowolony jest z tego, co zaszło, w myśl jego planu. O głębszej istocie planu Piłsudskiego krążyły i krążą różne wersje. Niewątpliwie jest jedno, że Piłsudski rozpoczął jakąś grę z Austrią, wyzyskując antagonizmy, istniejące między nią a Niemcami, antagonizmy, których Sprawa Polska może stać się jednym z najdobitniejszych wykładników. Podług tych kombinacji pozostali w Legionach Galicjanie, stanowiący obecnie prawie jedyny ich żywioł, poza garstką nielicznych zaprzysiężonych Królewaków (z pułków dawnej II Brygady), zostaną, jako Legiony, wycofani do Galicji, względnie na okupację austriacką, a podług ostatnich wieści – pójdą na front galicyjski; ma to posłużyć za punkt wyjścia do odrodzenia sprawy Legionów pod skrzydłami Austrii. Dla mnie osobiście ta gra wydaje się bardzo marną i nędzną spekulacją polityczną, słabym aktem powtórzenia podobnej gry zeszłorocznej wygrywania Niemców przeciwko Austrii. Ale mniejsza o to. Rzecznicy Piłsudskiego przedstawiają to za głęboką myśl Komendanta, którą uzasadnia się jego rozkaz biernego powolnego poddania się wszystkim zarządzeniom o rozbrojeniu nas, internowaniu, wyrzuceniu, a również rozkaz pogodzenia się Galicjan z sytuacją i wytrwania ich. Być może, chciałbym w to wierzyć, że Piłsudski ma myśl głębszą, myśl rzeczywistego przynajmniej rozbicia Legionów dla utworzenia drogi dla nowej dojrzewającej koncepcji niepodległościowej, rezygnującej z tworzenia czegokolwiek w ramach okupacji i związku z mocarstwami centralnymi, przeniesienia inicjatywy sprawy do rąk emigracji na gruncie neutralno-koalicyjno-rosyjskim i ewentualnie wytwarzania zawiązków narodowego wojska w dogodniejszych warunkach rewolucyjnych w Rosji. Niektóre dociekania tłumaczą też myśl Piłsudskiego w ten sposób, że chodziło mu o doprowadzenie sprawy wojska polskiego na gruncie kombinacji z Niemcami i Rady Stanu *ad absurdum*, aby oczyścić atmosferę obłudy i fałszu w sprawie wojska i postawić rzecz na ostrzu: *aut – aut*: albo wojsko narodowe, albo bajzel i nic. Kto wie. Tymczasem zgadywaniem łamigłówek polityki Piłsudskiego i argumentem o tym, że „Komendant widzi dalej od nas” i wie, co robi, tłumiono, powołując się na jego kategoryczny rozkaz, wszelką inicjatywę oporu, rodzącą się naturalnie zarówno w masie żołnierskiej, jak wśród oficerów, nie wyłączając samego pułkownika Śmigłego, którego sympatie były po stronie oporu. Z masy żołnierskiej, gdy przyszło zarządzenie rozbrojenia, powstawały inicjatywy przede wszystkim biernego oporu, to znaczy odmowy dobrowolnego złożenia broni, a dalej nawet wystąpienia czynnego – marszu na Warszawę, na obalenie Rady Stanu itd. Co do idei oporu biernego, byłem jej zwolennikiem. Niechby Rada Stanu z Komendą Legionów odwołała się do pomocy niemieckiej dla odebrania nam broni gwałtem. Warunków dla wystąpienia czynnego na razie nie widziałem. Być może zrodziłyby się one z przebiegu oporu złożenia broni. Odbywały się burzliwe narady i wrzenie wśród żołnierzy. Pozawczoraj zainicjowane zostały doraźne zebrania przedstawicieli masy żołnierskiej w baonach I i III w tej sprawie. Większość skłaniała się do oporu, ale w ostatniej chwili pod wpływem wieści o dokonanym rozbrojeniu dobrowolnym w innych pułkach zdania się podzieliły i nie ustalono nic. Wczoraj zaś wdała się w to rada żołnierska z silną przewagą czynników II baonu, stając się narzędziem bezwzględного posłuszeństwa rozkazowi Piłsudskiego o poddaniu się wszystkim zarządzeniom. Krasomówczym Ciceronem tej ślepej uległości wystąpił Zagłoba-Kamiński, chłoscząc ostro inicjatywę oporu i ruchu. Masa uległa. Część elementów gorętszych machnęła ręką i zbiegła samopas. Broń złożyliśmy wczoraj, bez żadnej uroczystości, po prostu oddając ją zbrojmistrzowi. Przyszła przed dwoma dniami wiadomość, że Królewicy będą na razie osadzeni w obozach

koncentracyjnych aż do czasu dostarczenia im ubiorów cywilnych, po czym ci, co mają rodziny i utrzymanie, zostaną wysłani do domów. Obozów tych ma być dwa: w Modlinie i Szczypiornie za Kaliszem. Dziś przyszedł rozkaz odjazdu naszego do Szczypiorna. Co się ze mną stanie – nie wiem. Czy mię puszczą do Bohdaniszek? Jestem na domiar złego bez pieniędzy.

Michał Römer

17.VII.1917

Pomiechówek